

ZA KULISAMI WOJNY

Co rząd ukrywa przed nami w sprawie pomocy Ukrainie - wskazuje Warzecha



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 30/537 24-30 LIPCA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Ziemkiewicz o prawdziwych przyczynach sukcesu Konfederacji

KRZYSZTOF CUGOWSKI:

DZIŚ NIKT MNIE
NIE NAMÓWI
NA WEJŚCIE
DO POLITYKI



Ciekawa zagadka
przesmyku suwalskiego

**PIOTR SEMKA
OPISUJE NOWĄ EKIPE PAPIEŻA**

Jak Franciszek mebluje Kościół w Polsce



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 000 egzemplarzy

Bezpieczeństwo na mistrzowskim poziomie



Dumny sponsor strategiczny
mistrza Polski Rakowa Częstochowa

zondacrypto 



zondacrypto 

Trade tomorrow, today

eprasa.pl 49ff0fe1c5

zondacrypto.com

Pierwsze znaki **otrzeźwienia**



PAWEŁ LISICKI

Obserwując ostatnie wypowiedzi polskich publicystów, a także polityków, zaczynam dochodzić do wniosku, że pojawia się coś w rodzaju otrzeźwienia. Nie dotyczy to wszystkich – jeśli chodzi o urzędowy optymizm i radykalne trwanie przy raz obranej linii w stosunku do Ukrainy, to nikt nadal nie jest w stanie pobić prezydenta – ale tu i ówdzie słychać inny ton.

Pewien znany publicysta i redaktor naczelny ważnego medium, którego do tej pory zawsze widziałem z wpiętą w klapę wielką niebiesko-żółtą kokardą i który z całą mocą potępiał wszystkich, którzy wspominali o negocjacjach między Moskwą i Kijowem, jeśli miałyby one prowadzić do jakichkolwiek ustępstw terytorialnych Ukrainy, nagle napisał, że, owszem, może taka jest konieczność i że być może „tylko w ten sposób Kijów może uzyskać perspektywę końca wycieńczającej wojny, przestrzeń na reformy i wszczęcie realnych kroków zmierzających do obu akcesji”. Jeszcze kilka miesięcy temu za wypowiedzenie podobnej opinii odsądzano od czci i od wiary, piętnując taką osobę jako pożytecznego idiotę Putina.

Inny z kolei znany reporter wojenny, który przez miesiące opowiadał o tym, że lada moment Rosji skończy się amunicja, armia się rozpadnie, kontrofensywa ukraińska zmiecie oddziały kaczapii jednym śmiałym posunięciem, z dnia na dzień zmienił front i zaczął dostrzegać, że sprawa nie jest tak prosta, ofiary ukraińskie, tak ludzkie, jak w sprzęcie, są ogromne, a efekty militarne mizerne. Wreszcie rośnie też liczba tych, którzy to całkiem niedawno wieszczili powstanie polsko-ukraińskiego mocarstwa zbudowanego przez USA, a teraz zauważyli, że sprawa jest jednak

bardziej skomplikowana. Co się stało?

Sądzę, że w głównej mierze do tej zmiany nastrojów przyczyniły się trzy wydarzenia. Po pierwsze, fatalny sposób, w jaki ukraińskie władze, i to z cichym polskim przyzwoleniem, potraktowały 80. rocznicę ludobójstwa na Wołyniu. Nie zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że wspólna obecność w katedrze w Łucku Andrzeja Dudy i Wołodymyra Zełenskiego była sukcesem Polski. Przeciwnie: cały wydzźwięk tych uroczystości wskazywał, że to polska strona przejęła ukraińską relatywistyczną narrację.

Polski prezydent zachowywał się, jakby nie wiedział, kto był na Wołyniu sprawcą, a kto ofiarą. W podobnie żalonym tonie wypowiadało się polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Symetryzm w takiej sprawie nie jest objawem bezstronności, ale kunktatorstwa.

Nie udało się uzyskać jasnej deklaracji Ukrainy w sprawie zgody na ekshumacje. Gorzej: nic nie wskazuje na to, by polscy politycy byli w stanie mocno zareagować na kult zbrodniarzy z OUN-UPA. Zamiast potępienia albo chowają głowę w piasek, albo racjonalizują własną słabość, opowiadając o tym, że wprawdzie ukraińscy nacjonaści popełniali straszne zbrodnie, ale my nie będziemy się wtrącać w to, kogo Ukraińcy czczą. Czyżby? Czyżby nie istniały żadne uniwersalne reguły, łączące wszystkie narody cywilizowane? Czyżby zwolennicy tej tezy chcieli powiedzieć, że również Niemcy mieliby prawo czcić własnych zbrodniarzy wojennych i że Polska by to zaakceptowała?

Drugim faktem jest coraz wyraźniejsza zmiana nastrojów wśród członków NATO. Dokładnie można to było zaobserwować na

szczycie w Wilnie. Co ciekawe, z wyjątkiem Polski i niektórych innych, mniejszych państw, nawet USA potrafiły dostrzec, że włączenie teraz Ukrainy do sojuszu pociągałoby za sobą wybuch wojny światowej. Mimo pomocy finansowej i militarnej dla Ukrainy efekty działań zbrojnych są umiarkowane. Coraz większa liczba obywateli Niemiec, Francji czy Wielkiej Brytanii sądzi, że kłopoty gospodarek europejskich są spowodowane właśnie zaangażowaniem ich państw w wojnę.

Trzecim faktem jest wreszcie samo zachowanie prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, który najwyraźniej uwierzył, że na zawsze powierzono mu rolę sumienia świata. Dlatego też zamiast dziękować za udzielane mu poparcie, zaczął występować w roli tego, komu się ono należy. Nie wahał się besztać i pouczać tych przywódców, którzy są, jego zdaniem, nie dość zaangażowani. Jednym słowem, prezydent Ukrainy, co stało się widoczne podczas szczytu i po nim, zaczął Zachód irytować.

Jaki będzie efekt tej zmiany nastrojów, trudno powiedzieć. Gdyby nie to, że Joe Biden postawił wszystko na jedną kartę – na pokonanie Rosji przez Ukrainę – Waszyngton zapewne dawno już by doprowadził do realnych negocjacji Moskwy z Kijowem. Jednak wycofanie się teraz ze zwycięskiej narracji – lada moment pod ciosami ukraińskiej armii wyposażonej w amerykański sprzęt Rosja padnie – zaważyłoby mocno na szansach Bidena w wyborach prezydenckich. Do listopada 2024 r. realnego dążenia do pokoju zatem nie będzie. W Polsce, w sensie politycznym, na zmianę nastrojów wobec wojny będzie zyskiwała Konfederacja, bo jako jedyna siła polityczna wyrażała wobec oficjalnej polityki sceptycyzm. ©

TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA

FRANCISZEK MEBLUJE POLSKI KOŚCIÓŁ

Nowe nominacje papieża wskazują, że możemy oglądać rewolucję bergoglińską nad Wisłą

18 JAN POSPIESZALSKI

GLOBALNE DNI BRATERSTWA



KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

KONFEDERACJA? JAK TO?!

Obóz lewicowo-liberalny nie zauważył, że do Konfederacji odpłynęli przeciwnicy PiS. I to on traci, gdy narodowcy zyskują

24 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM CUGOWSKIM
NA POLITYKĘ MNIE NIKT NIE NAMÓWI

28 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
SOJUSZNICY ŚLĄSKICH „REGIONALISTÓW”

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
SPRAWA MARIKI

KULTURA

32 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
„PRZEKRÓJ” ŻYCIA MARIANA EILEGO
Rozmowa z Mariuszem Urbankiem, dziennikarzem i pisarzem

35 PIOTR GOCIEK
BŁYSK I KIJ

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 JAN PARYS

KRÓTKA HISTORIA RESETU Z ROSJĄ

Jak Polska prowadziła politykę zbliżenia z Rosją w odniesieniu do programu budowy tarczy antyrakietowej

46 ŁUKASZ WARZECHA
CO UKRYWA RZĄD

49 PAWEŁ CHMIELEWSKI
ŻYCIE ZOSTAŁO ZAPROJEKTOWANE

52 TOMASZ ROWIŃSKI
BARDZO DZIELNA DZIEWCZYNA

HISTORIA



54 JACEK KOMUDA
SEJM POD BUTEM MOSKWY
Na tron polski należy wybrać osobę, która będzie wdzięczna za swój wybór wyłącznie sąsiadom państwom – głosił carski dyplomata

ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI

DYPLMATYCZNA PORAZKA KIJOWA

Roszczeniowa i arogancka postawa kijowskich władz wobec Zachodu zaczyna być problemem

64 PIOTR WŁOCZYK
PUTINÓW DWÓCH?

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
REKORDOWE WAKACJE
Drożyzna szaleje w całej Europie. Są wciąż jednak miejsca, w których można odpocząć, wydając nieco mniej niż w polskich kurortach

ŻYCIE I NAUKA

70 ADAM ZUBEK
SEKRETY PRZESMYKU
Jakie jest źródło termicznego fenomenu Suwalszczyzny?

WAKACJE Z „DO RZECZY”

74 RADOŚĆ WÓJTAS
WYGNANIEC W LOTARYNGII
Życiorys Stanisława Leszczyńskiego to scenariusz nie tyle nawet na film, ile na kilkusezonowy serial

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (58), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (68), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Oliver Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruszel),
Tomasz Cukiermistrz, Krzysztof Czabanski, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniewicz,
Jakub Wozniak, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapart

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadlo.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),
Jacek Nadarowski (długość zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Tracz**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSOVNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**
Okładka: **Grzegorz Gałgala/Mondadori Portfolio/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Agnieszka Jabłońska**,
Jolanta Klor

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Niemiecki płot na granicy z Polską?

Szanowna i wysoko ceniona Redakcjo!
Ostatnie bajdurzenie lewactwa, które się rozlało po władzach UE jak wszy po ruskiej kufajce, spowodowało, że najpierw porwał mnie śmiech pusty, a potem litość i trwoga. Strach się bać. Bo lepiej z mądrym zgubić, niż...

Proszę o podejście z respektem do moich uwag, bo żyłem już za czasów Piłsudskiego i Dmowskiego. Goły, bosi i niemający znajomych pojawiam się na tym najlepszym ze światów 20 września 1934 r. Pamiętam przedwojenną Polskę, wprawdzie oczami dziecka, ale jednak. Okupacyjne dyskusje przy rodzinnym stole, choć raczej byłem oczywiście ich biernym słuchaczem, kształtowały mój pogląd na dziejące się wydarzenia. Tu myślę o wydarzeniach politycznych.

Tusk oddaje Polakom pieniądze z OFE ze Szwajcarii i dokonuje aktu apostata z i z sekty państwowej brzozy



Lewactwo-głupactwo podjęło decyzję o dzieleniu się „bigosem” czy też „piwem”, którego sobie nawarzyli. Otóż do Polski mają być przesiedleni tzw. uchodźcy, którzy umilają życie zachodnim (i północnym) pasybrzuchom, których to gości sami do siebie zapraszali. Teraz pasi-brzuchom się odmieniło (co nie dziwota). Pomożecie? Że zacytuję Gierka.

[...] Tylko – jak to bywa – diabeł tkwi w szczegółach. Co zrobicie, jeśli Ahmed czy Abdullah powie: „Ja nie chcę do Polski”? Kajdanki, kibitka i wysiadka

w Gnieźnie? Przesiedlony odfajkowany. Herzlich willkommen! Tylko dajcie im jakieś kieszonkowe, np. 7 tys. euro, żeby mieli na niezbędne wydatki. Zanim się u nas szczęśliwi rozgospodzą. W Polsce (wstyd nam, ale cóż) socjał jest ciut mniejszy niż na Zachodzie. Ahmed i Abdullah powiedzą sobie, że mają gdzieś taką relokację, i za trzy dni będą z powrotem w Berlinie, Kolonii czy Hamburgu. Strefa Schengen. Nie ma kontroli na granicach. Nie wpuście ich? Może płot na granicy jak u nas z Białorusią? I wpuszczanie tylko blondynów? Paskudni rasiści. Może pogrobowcy Stalina wam doradzą, jak przymusowo przesiedlać ludzi [...].

Jan Ostoj

„Hiszpania pod »okupacją«”, Jacek Przybylski, „DRz” nr 27/2023

Autor tego artykułu nie zauważył, że Polska także jest pod okupacją. Od czasu nowelizacji ustawy o ochronie lokatorów dokonanej przez PiS w 2018 r. najemca naszego lokalu nic nie płaci. Co gorsza, to my musimy płacić za niego należności na

rzecz spółdzielni mieszkaniowej, w przeciwnym przypadku bowiem spółdzielnia zabrałaby nam wynajmowane mieszkanie. Podobnych spraw jest wiele w Polsce. Interweniowała w takiej sprawie Pani Jaworowicz. Interwencja u prezesa Kaczyńskiego nic nie dała, który stwierdził tylko: „Takie jest ryzyko prowadzenia interesów”. W rezultacie efekt jest taki, że jest gorzej niż

w Hiszpanii, wynajęcie bowiem agencji pomagającej pozbycia się kłopotliwego najemcy kończy się więzieniem dla właściciela lokalu. Niestety, PiS nie chce zmienić tej błędnej ustawy. Pozostaje tylko czekać na wybory i odsunięcie PiS od władzy. Dlatego trudno mówić, że żyjemy w wolnym kraju, skoro nie mamy wolności dysponowania swoją własnością i musimy utrzymywać cwanych, zupełnie obcych ludzi.

Pozdrawiam
Tadeusz Rejman



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Polonez w sercu Wilna

Był rok 1976. Andrzej Drawicz, krytyk literacki z Warszawy, trafił pierwszy raz w życiu do Wilna. Do ZSRS wpuszczono go pod pozorem badań nad literaturą Kraju Rad. Miał już za sobą przekroczenie „opozycyjnego rubikonu”. Podpisał apel przeciw prosowieckim zmianom w konstytucji PRL. Na szczęście dla Drawicza maszyna administracji sowieckiej działała na tyle wolno, że na granicy uznano zaproszenie ze związku pisarzy ZSRS i krytyk literacki wjechał do krainy sierpa i młota. Drawicz objechał wtedy republiki bałtyckie – krainy dla Polaków epoki Gierka egzotyczne i niemal niedostępne. Oddajmy głos pisarzowi: „Trafiłem w końcu do Wilna, źródła litewskich niepokojów. [...] pod koniec pobytu pewien plastyk wydał na moją cześć party [...] w europejskim stylu. Goście cicho gwarzyli po kątach, na ścianach wisiały obrazy, gospodarz był miły, ale chłodny, atmosfera się nie wykluwała. Nie wiedziałem czemu. Ale wreszcie gospodarz spytał nieco głośniejszym głosem, niż to normalnie bywa,

i raptem wszyscy zamilkli, tak że słowa zyskały rezonans: – A co Pan Polak sądzi o przyszłości Wilna? Gdyby obecny układ się zmienił? – Cisza była kompletna. Zrobiło mi się trochę śmiesznie. Czy to ja w końcu generał Żeligowski w roku dwudziestym? Ale twarze, które mnie otaczały, były poważne. Czekało. Powiedziałem, więc, że nie reprezentuję nikogo prócz siebie i poglądów grupki ludzi, których znam. Ci ludzie sądzą, że Wilno, chociaż drogą naszym polskim sercom, powinno w każdym układzie należeć do Litwy, my zaś chcielibyśmy mieć do niego swobodny dostęp i widzieć, że ślady polskiej obecności są szanowane. Lody przysły w mgnieniu oka. Gospodarz, choć flegmatyczny niedźwiedź, rzucił mi się w objęcia”.

To wspomnienie sprzed 47 lat przyszło mi na myśl, gdy oglądałem, jak niedawno w sercu Wilna, na placu Katedralnym, poloneza tańczyły z dostojeństwem 142 pary młodych Polek i Polaków. Tak swoją tożsamość zademonstrowało paręset maturzystów, uczniów polskich szkół średnich w stolicy

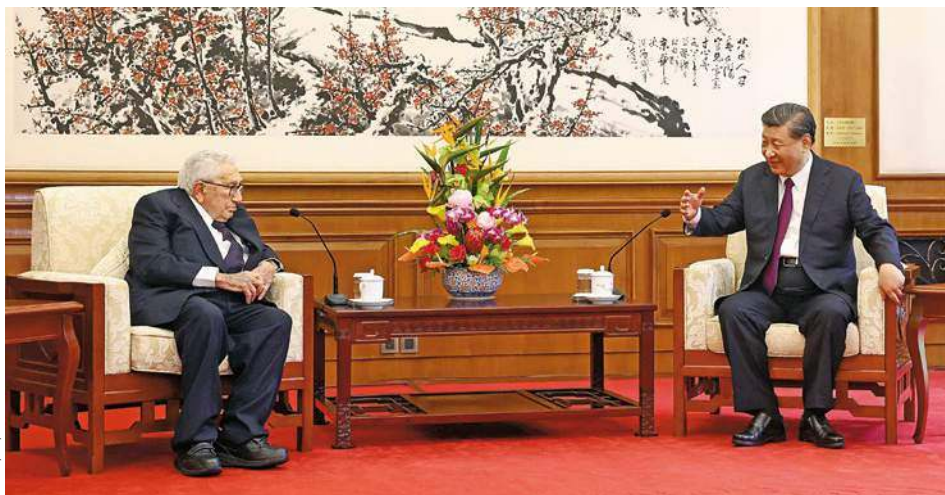
Litwy. Jeszcze 20 lat temu taki występ wywołałby furję u litewskich narodowców i pomstowanie w części litewskich gazet na polskie prowokacje. Dziś polonez w sercu Wilna nie wzbudził kontrowersji. Co więcej, wielu Litwinów się zatrzymało i obejrzało piękny taniec.

Ciekawe, czy zadali sobie pytanie, czy tradycja wodzenia poloneza nie pasowałaby też do litewskich szkół. W tym samym czasie wileńscy Polacy składali kwiaty pod pomnikami AK-owców poległych w czasie operacji „Ostra Brama” w lipcu 1944 r. Tak samo żadnych awantur nie było.

Litewski malarz w 1976 r. sondował gościa z Warszawy, bo niewiele wiedział o tym, co dzieje się w głowach Polaków w tamtych czasach. Nie miał kogo się spytać, bo przybył z Polski Ludowej, poza oficjalnymi delegacjami, byli rzadkością. Teraz setki tysięcy naszych rodaków odpoczywają na Litwie, zwiedzają Wilno i zostawiają tam sporo pieniędzy. Jest kogo się pytać. „Czas rozwiązuje za nas wiele problemów” – głosi mądre angielskie przysłowie. ©

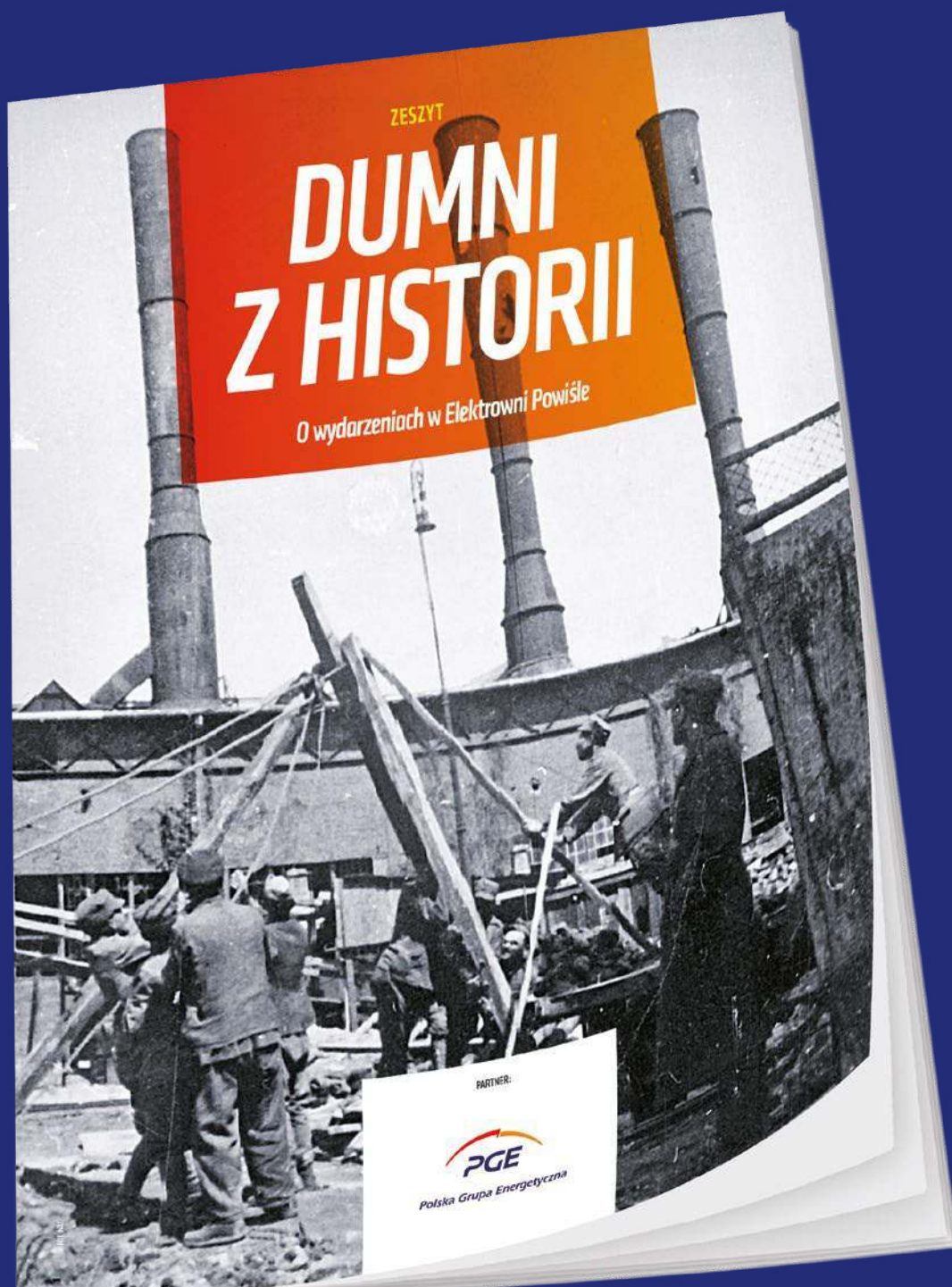
CHIŃSKA MISJA STULETNIEGO KISSINGERA

Niemal dokładnie 52 lata po tajnej wizycie Kissingera w Pekinie w lipcu 1971 r. – rozmowy umożliwiły óczesnemu prezydentowi USA Richardowi Nixonowi normalizację stosunków z Chinami – do Pekinu niespodziewanie powrócił Henry Kissinger. I znów próbował ocieplić relacje między Pekinem a Waszyngtonem. Obecny przywódca Chin Xi Jinping nazwał go „starym przyjacielem, o którym kraj nigdy nie zapomni”. (jap)



FOT. CNS/AP/STARS

Już 31 lipca w „Do Rzeczy” dodatek



PARTNER:



Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl 49ff0fe1c5



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nachodźcy chronieni

Pierwszy raz w życiu prokuratura postawiła mi zarzut z kodeksu karnego i nie byłoby o czym gadać (jak bokser wszedł na ring, nie może narzekać, że chcą mu dać w zęby), gdyby nie piramidalny absurd tego zarzutu i jego wysoka szkodliwość społeczna. Napisałem mianowicie na Twitterze, komentując wpis Straży Granicznej o liczbie wdzierających się do Polski nielegalnie „nachodźców” Łukaszenki i Putina, że tzw. puszbak, czyli grzeczne wypychanie ich z powrotem tam, skąd się wdarli, nic nie daje – zaraz wracają. Zaczynam sądzić, że powinno się im spuszczać taki „wpie.dol” (tak napisałem), żeby przed podjęciem kolejnej próby dobrze się zastanowili.

Na ten wpis złożyły donosy do prokuratury „antyfaszystowskie” jacejki spod spódnicy Władysława Mojszowicza Kantora. W Białymstoku donos trafił do kosza (nad czym bardzo biadoliła tamtejsza „Gazeta Wyborcza”), ale w Warszawie znalazł się „wyborczy” w poglądach prokurator, który wezwanie do brutalnego traktowania przestępców uznał za propagowanie fałszywu i nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, etc. – art. 256 par. 1 kk.

Mój wpis nie wspomina jednak o żadnych różnicach narodowościowych ani etnicznych – zachęca do brutalnego traktowania przestępców „Nachodźca”, ktoś, kto wdziera się nielegalnie do Polski bez właściwych dokumentów, jest bowiem

przestępcą – pan prokurator tego nie wie? I pochodzenie nie ma tu nic do rzeczy. Wzywanie, by Straż Graniczna brutalnie pałowała przestępców, abstrahując, na ile na serio dokonane, jest analogiczne do np. wezwania, by przywrócić karę śmierci. Ostatnio zrobił to premier Morawiecki. Może też dostanie zarzut z 256? A może dostanie go były premier Tusk, który chciał kastrować pederastów – bo ostatnio mieliśmy sprawę z pederastą nie-Polakiem? Czy może prokuratorska ochrona dla przestępców dotyczy też przestępców białych? Wolno mi wzywać, by policja biła chuliganów równie brutalnie, jak robią to we Francji czy w Niemczech, tylko jeśli to biali chuligani?! Panie ministrze Ziobro, kogo Pan zatrudnia? ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Kto rządzi Europą?

Sądząc po obiegowej opinii, że cała Europa (oprócz – referując dalej tę opinię – Węgier) wspiera Ukrainę – należałoby przyjąć, że to Viktor Orbán rządzi Zachodem i to on stoi za niezaprośzeniem Ukrainy do NATO. Scholz na pewno chciał, tylko Orbán mu nie pozwolił. Jeśli odrzucamy taki bzdurny wniosek, to trzeba zrewidować jego założenia.

Po pierwsze – z faktu, że Europa wspiera niepodległość i obronę Ukrainy, nie wynika, iż jest gotowa do długofalowej (i ofensywnej) konfrontacji z Rosją. Wojnę traktuje tak, jak traktować należy wojnę – jako zło (czasami i w tym właśnie wypadku) konieczne. Jak dramatyczny kryzys, który (nawet jeśli musi dalej

trwać) powinien trwać możliwie najkrócej i którego końcem musi być pokój.

Po drugie – stanowisko Węgier nie odbiega od tej polityki, jest w istocie rzeczy bliskie stanowiska Niemiec. Węgry dochowują przynajmniej innym państwom NATO i udzielają pomocy humanitarnej Ukrainie. Owszem, nie chcą zrywać gospodarczych związków z Rosją, które traktowały jako reasekurację wobec niepewnych relacji z Brukselą, dążącą do obalenia ich rządu. Czy usprawiedliwiam to stanowisko? Nie, tak jak nie usprawiedliwiam polityki Bismarcka czy metropolity Szeptyckiego, co nie przeszkadza mi rozumieć Niemca urodzonego w Poznaniu czy Ukraińca urodzonego

go we Lwowie, że chcieli, by miasto, w którym się urodzili, należało do ich państwa.

Ale po co innych rozumieć, jeśli to my mamy rację? Wydaje się, że nie warto, skoro egzaltacja daje duży napęd społeczny. Niestety, dezorientuje również politykę zagraniczną. Rozumienie innych pozwala po prostu zrozumieć okoliczności. Na przykład to, na jakie wsparcie, dla jakiej polityki, możemy liczyć ze strony innych państw? Albo jak wpisać nasze interesy w szerszy porządek międzynarodowy. Bo – wracając do pytania postawionego w tytule – Europą rządzą interesy jej państw, z których pierwszym jest bezpieczeństwo. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O postępowcach francuskich

WNicei lewicowe organizacje i stowarzyszenia chcą uniemożliwić występ jednej z najbardziej utalentowanych młodych włoskich artystek dyrygentce Beatrice Venezi, bo ich zdaniem jest neofaszystką.

Beatrice Venezi, 33-letnia kobieta wyjątkowej urody, już sześć lat temu uznana została przez „Corriere della Sera” za jedną z 50 najbardziej kreatywnych kobiet roku, a „Forbes Italia” wciągnął ją na krótką listę największych talentów muzycznych w kraju. Obecnie prowadzi ona neapolitańską orkiestrę symfoniczną.

Jednak francuskich postępców boli to, że Venezi została doradczynią ministra kultury do spraw muzyki. Władze Nicei poprosiły dyrygentkę, by popro-

wadziła noworoczny koncert orkiestry i chóru miejscowej opery w 2024 r. Nicejscy postępcy wystosowali list protestacyjny do burmistrza i prezydenta Macrona. Oto jego fragmenty: „Stanowczo sprzeciwiamy się występowi w Nicei neofaszystowskiej dyrygentki. Brała udział w zjeździe skrajnie prawicowej Partii Bracia Włosi w maju 2022 r. Korzystając ze swej popularności, aktywnie szerzy prawicową ideologię. W kontekście rosnącej popularności skrajnej prawicy i faszyzmu zaproszenie Beatrice Venezi do Nicei jest gestem politycznym, przeciw któremu protestujemy. Nicea powinna dać odpór włókiemu neofaszyzmowi”.

W Italii nie lepiej. Gdy okazało się, że Venezi poprowadzi inauguracyjny koncert dorocznego

Festiwalu Pucciniego w Viareggio, postępcy zaciekle, choć bezskutecznie domagali się, żeby z repertuaru usunąć „Hymn dla Rzymu”, bo byłoby to apologią faszyzmu. Napisany został przez Fausta Salvatoriego i umuzyyczniony przez Pucciego w 1918 r. Pech chciał, że kilka lat później utwór upodobał sobie reżim Mussoliniego. Odgrywany był na różnych państwowo-faszystowskich oficjalkach. Co symptomatyczne, nikt nie protestował, gdy „Hymn dla Rzymu” śpiewał przy różnych okazjach Andrea Bocelli. Poszło więc o dyrygentkę, a nie o utwór. Jeśli ta wysoka i spieniona fala idiotyzmu przekroczy granice Niemiec, to niechybnie pożegnamy się z wagnerowskim festiwalem w Bayreuth. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

KODEKS WRÓŻBITY

Od pewnego czasu serwisy plotkarskie rozgrzewa związek 18-letniej piosenkarki Roksany Węgiel ze starszym o osiem lat marketingowcem i muzykiem. Problemem dla wielu jest nie tylko wiek Kevina Mgleja, lecz także to, że ma on już dziecko z inną kobietą. Tak więc Roxy musi non stop mierzyć się z pytaniami wścibskich reporterów i tłumaczyć, że nie czuje się przez narzeczonego wykorzystywana, a wręcz przeciwnie – jest szczęśliwa. Najnowszy „cios” padł z dość zaskakującej strony.



FOT. ŁUKASZ KALINOWSKI / EAST NEWS

W „Twoim Imperium” pojawiła się przepowiednia tarocistki, która wróży parze rozstanie. „Pani Roksana będzie odczuwać zazdrość w sercu, że pan Kevin ma dziecko z inną, ale sama nie jest jeszcze gotowa na macierzyństwo. Dla niej ważniejsze są sukcesy i kariera” – przekonuje tarocistka Anna Kempisty. „Choć tych dwoje może zapragnąć wspólnego potomka, to nie będzie dobry plan, bo karty tarota pokazują rozstanie” – powiedziała, czytając z kart. To nieźle wkurzyło Roksane, która wytknęła wróżbitce... nieetyczne zachowanie. Wokalistka opublikowała na Instagramie „Kodeks wróżbity” i stwierdziła, że Anna Kempisty nie zastosowała się do jego

pierwszych zapisów, które brzmią: „Nigdy nikomu nie wróż bez jego wyraźnej zgody. Nie wdzieraj się w prywatność drugiego człowieka bez jego wiedzy. Nigdy nie ujawniaj osobom trzecim wyników wróżby. Zachowaj tajemnicę wróżby oraz uszanuj okazane Ci zaufanie. Nigdy nie przechwalać się swoimi przepowiedniami. Nie pracuj dla sławy”. Węgiel wyraźnie zakomunikowała, że nie życzy sobie wróżb na swój temat. „Kochana wróżko, radzę się zapoznać z kodeksem wróżbity. Na przyszłość, nie życzymy sobie stawiania żadnych tarotów, a Pani polecam praktykowanie rumpologii” – napisała. Czym jest owa „rumpologia”? A niech każdy sprawdzi już sobie sam. To poważny tygodnik.

DO DWÓCH RAZY SZTUKA?

Dość zaskakująca moda zapanowała wśród celebrytów. Moda na „drugiego ślub”. Żeby nie było – odnowienie przysięgi małżeńskiej, najczęściej po wielu latach, nie jest niczym zaskakującym, a wręcz wyrazem oddania i przykładem, że można być szczęśliwym w małżeństwie przez wiele dekad. Jednak w przypadku gwiazd na pierwszy plan zazwyczaj wysuwa się show. Bo taki „drugi ślub” i „drugie wesele” nie mogą być gorsze niż pierwsze. Musi się dziać i być na bogato. Niedawno takie imprezy wyprawili Anna i Robert Lewandowscy, a także Omena Mensah i Rafał Brzóska. Teraz do grona zainteresowanych podobną ceremonią dołączyli Marina Łuczenko i Wojciech Szczęsny (być może zainspirowali ich Lewandowscy?). W rozmowie z Pudelkiem Marina zdradziła, że razem z Wojtkiem planuje ponowne zaręczyny z drogim pierścieniem oraz odnowienie przysięgi małżeńskiej. – Za trzy lata. Ja już powiedziałam mojemu mężowi: „Kochanie, szukaj diamenty”. Na pewno jakiś nowy piękny pierścionek znajdzie się w mojej kolekcji – stwierdziła. Tak trzeba żyć.

BEZ GOSI DA SIĘ ŻYĆ

Nie ma to jak koleżanki z branży. Doradzają, pocieszą, podzielą się dobrym słowem.

Taką koleżanką jest bezsprzecznie Izabela Janachowska, która postanowiła skomentować to, że kierownictwo TVN podziękowało za współpracę Małgorzacie Rozenek-Majdan (wraz z grupą innych prezenterów straciła pracę w „Dzień dobry TVN”). – Kiedyś też jej nie było i wszyscy żyli. Była Gosia, będzie kto inny, znowu nastąpią zmiany, fortuna kołem się toczy, w telewizji zmiany są potrzebne. Dużo się zmienia – w TVN-ie, w Polsce, takie życie – oceniła Janachowska, nie kryjąc, że porażkę Gosi ma w nosie. – W takim biznesie jesteśmy, musimy być gotowi na wszystko, elastyczni, dostosowujący się. Poza tym mi się wydaje, że każda zmiana prowadzi do jakiegoś naszego rozwoju. Ja nie jestem osobą, która się załamuje zmianami. Jestem z tym OK – podsumowała. Pytanie, czy Małgorzata też „jest z tym OK”.

KOSZULKA NIEZGODY

„Przedwyborcze odęty szaleństwa”. Jaki kontra Skiba czy tam Skiba kontra Jaki... Ale do rzeczy. Europeoseł Patryk Jaki uczcił 613. rocznicę zwycięskiej bitwy pod Grunwaldem okolicznościowym wpisem i zdjęciem w koszulce z podobizną króla Władysława Jagiełły. Z niewiadomych powodów to strasznie wkurzyło Krzysztofa Skibę (powodem może być w sumie to, że pana Skibę wkurza wszystko, co robią przedstawiciele obecnych władz). „Pan Patryk Jaki kreuje się na wielkiego patriotę, bo liczy, że zaniedbania i korupcja w czasach, gdy był wiceministrem sprawiedliwości w rządzie PiS, nie będą miały konsekwencji sądowych. Przypomnijmy, że kontrola NIK wykazała wielomilionowe nieprawidłowości w podległym mu urzędzie” – zarzucił politykowi. Jaki postanowił odpowiedzieć, nie gryząc się w język. „Krzysztof Skiba jest znanym lizusem Platformy Obywatelskiej o inteligencji liścia w moim ogrodzie. Rzekome nieprawidłowości, o których wspomina, były fejkami” – przekonuje polityk Suwerennej Polski. Wiadomo, Skiba musiał odbić piłeczkę, nazywając Jakiego „wesółym turystą politycznym”. Oby do wyborów! ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, widzieliśmy mrozący krew w żyłach tytuł newslettera od Wyborcza.pl (of kors wy też zapisaliście się na ten newsletter, prawda?). Mianowicie były to słowa: „PiS nachalnie wdzięczy się do wyborców”. Szokujące, prawda?

Bo jakby tak pomyśleć, nie to jest rolą partii politycznej, aby rozpoznawać nastroje i potrzeby swojego elektoratu, ba – nawet je kreować, a następnie spełniać, tak iżby mieć jak najszerwsze poparcie, zwyciężać wybory itd. Tak robią populiści, no nie?

Prawdziwą rolą partii politycznej i jej stronnictw jest posiadanie oraz okazywanie (coż komu z posiadania bez okazywania) wyższości moralnej polegającej na tym, iż nie wdzięczy się do elektoratu, gardzi się władzą, do wyborów idzie z niechęcią, a ewentualną w nich wygraną przyjmuje z najwyższym obrzydzeniem, jako coś niegodnego prawdziwego etycznego, posiadającego wyższość moralną polityka.

No a tak w ogóle, to jakby się rozejrzeć, to faktycznie trochę tak to wygląda, jakby nikt poza pisem tych wyborów wygrać nie chciał, więc pis wyłamuje się ze społecznego konsensusu, który to już raz. I pewnie te wybory to chce wygrać i samodzielnie rządzić, coś podobnego!

Jak dobrze, kochani, wiecie, jesteśmy zagorzałymi feministami. Nie tylko my of kors, ale każdy normalny,

progresywny Europejczyk, jest feministą, a jak nie jest, to znaczy, że nie jest porządnym Europejczykiem.

My jak i całe nasze środowisko uważamy więc, iż waginoosoby powinny mieć prawo decydowania o sobie itd., ale jednak mamy pewien problem z zaakceptowaniem ich preferencji politycznych, zwłaszcza jeśli chodzi o nadchodzące wybory.

Sami się już pogubiliście, więc zrejetowaliście Tuska do ustawienia fabrycznych, a ten wlaż na kolim



*cezetę kręsztor d
x 809032W 70040688*

Okazuje się bowiem, iż coraz więcej młodych kobiet jest skłonnych głosować na Konfederację. Jest to bardzo niepokojące zjawisko i zastanawiamy się, czy nie przydałaby się jakaś akcja uświadamiająca, np. jak to było w przypadku pisu. Tak długo media i autorytety obrzydzały wyborcom pis, iż właśnie

zmierza on do trzeciej wygranej w wyborach z rządu.

Jeśli więc widać, iż coś działa, to może by w podobny sposób obrzydzać Konfederację? Wtedy np. efektem powyborczym mogłaby być koalicja PiS-Konfa, a więc bylibyśmy świadkami kolejnego epokowego sukcesu środowisk postępowych.

Wogóle to z niecierpliwością czekamy na koniec wakacji, iż bardzo nas interesuje, jak zostanie poprowadzona kampania wyborcza. Jesteśmy bardzo ciekawi, czy sprawdzony model straszeniem pisem i inflacją, a następnie wspólne przegłosowanie „800+” poprawią notowania zjednoczonej jak nigdy opozycji.

Podobało nam się też ironiczne wystąpienie pana Tuska, w którym mówił o osobach uchodźczych z Azji. To bardzo cwane i sprytne, takie zwłaszczażenie języka przeciwnika xD.

A na koniec taka refleksja – w tym roku do wyborów mogą pójść po raz pierwszy osoby urodzone w roku 2005, a więc

w tym, kiedy pis przejął po raz pierwszy władzę w tym kraju. I cała młodość tych osób upłynęła pod znakiem rozgrywek między pisem i platformą. Trochę niefart, co? xD ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Sokoły!

Andrzej, wstrzymaj się trochę z tą miłością do Ukrainy, bo ile razy się odzywasz w tej sprawie, leci nam poparcie.

Mat! niemożliwe. Przecież Polacy kochają tak samo jak ja...

No to zobacz: tu masz zestawienie swoich wypowiedzi, a tu wykres naszych wewnętrznych badań. Idealna korelacja.

Faktycznie... Ale wiesz, ja nie umiem się powstrzymać. To jest ode mnie silniejsze.

Błagam cię, chociaż przez tydzień nic nie mów. Przecież dopiero co Szymhał nas ochrzanił.

No, nie wiem, czy będę umiał. Miałem za dwa dni do Kijowa jechać.

Po co?! Przecież dopiero co byłęś na Ukrainie.

Wiem. Ale jeśli nie widzę Wołodymyra przez tydzień czy dwa, to mi jakoś tak... tęskno. Ej, sokoły, omijajcie góry, lasy, doły! ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Polska by wręcz na tym skorzystała”.

RADOSŁAW SIKORSKI, europoseł KO, o przymusowej relokacji migrantów, w rozmowie z Onet Europa

Jest problem. Jak słyszymy z kręgów Nowogrodzkiej, od pewnego czasu Jarosław Kaczyński SNP (Szeregowy Nadpremier) traci cierpliwość. A do kogo? A do Maria Kamińskiego, zwanego Krwawym. Łapanie ruskich szpionów i muzułmańskich terrorystów to bowiem jedno, a sytuacja w policji – drugie. Otóż Naczelnik nie potrafi zrozumieć, dlaczego mimo wielu lat zmian policja dalej działa tak, jak działa. No i co z tego – przed wyborami i tak się cierpliwość nie skończy.

Temat policji powraca za każdym razem, kiedy okaże się, że mundurowi są opieszali, gdy trzeba stawiać do pionu agresantów z Eine Totalopposition, za to nadaktywni w różnych innych sprawach, z których potem rząd musi się tłumaczyć. Co to są agresanci, zapytacie? No taki skrót, od agresywni manifestanci.

Ostatnio rząd musi tłumaczyć się ze sprawy niejakiej pani Joanny, której to sprawy nie chce nam się komentować, gdyż nie lubimy żerowania na osobach ewidentnie zaburzonych. Nie wszyscy mają podobne zwyczaje. Na przykład Zły Donald z Sopotu ogłosił z powodu pani Joanny „marsz miliona serca”. Niektórzy zastanawiają się, dlaczego dopiero za dwa miesiące. Odpowiadamy – najpierw musi znaleźć własne.

Po deklaracji Donalda o nowym marszu w paru miejscach w PeŁo słycać było natomiast westchnienie ulgi. Gdyż potraktowano ją jako zapowiedź rezygnacji z marszu w Gdańsku, planowanego gdzieś w okolicach rocznicy powstania Solidarności. Pożyjemy, zobaczymy, ale fakt, Donald przemęczać się nie lubi.

Tak sobie gawędzimy z różnymi ludźmi z rozmaitych sztabów, a tu ładna odzywka w ramach reakcji na ogłoszenie przez Złego Donalda z Sopotu marszu miliona serc. Marsz ma się, jak wiadomo, odbyć 1 października. „To trzeba ogłosić wybory na 24 września” – ripostuje znajoma wiewiórka. O dziwo, nie chodzi o wiewiórkę z okolic Zjed-

noczonej Prawicy. Widzicie, mniejsze kawałki Eine Totalopposition też nie przepadają za Donaldem.

Skoro już o pomniejszej Eine Totalopposition. Sprawdziła się nasza dawna zapowiedź, że Peezel chętnie widziałby u siebie gowinowców, ale bez Gowina. No i słowo stało się ciałem, bo gowinowcy po flircie z AgroUnią wylądowali w klubie Koalicji Polskiej. Nas nurtuje inne pytanie: Dlaczego wciąż nazywa się ich gowinowcami? Przecież teraz to srokowcy.

Blady strach padł tymczasem na potencjalnych przyszłych posłów Zjednoczonej Prawicy z kilku okręgów. Mianowicie tych okręgów, w których wcześniej z sukcesem do europarlamentu startował Rychu Czarnecki. Wszystko za sprawą wieści, że ma on kandydować teraz do krajowego parlamentu. A nazwisko ma biorące. Z takim nazwiskiem i doświadczeniem, powiedzmy szczerze, to nawet



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

nie trzeba miejsca na liście, od razu powinno się brać mandat.

Przyjrzelismy się jednak bliżej sprawie „europosłów w boju o Sejm”. Co do Rycha mamy pewne wątpliwości, ale słyszeliśmy, że kandydować mają Zbigniew Kuźmiuk oraz Dominik Tarczyński. Co oznaczałoby, że od jesieni Polska miałaby dwóch nowych europosłów w ich miejsce. Za Kuźmiuka wszedłby do Brukseli Arkadiusz Mularczyk, a za Tarczyńskiego – senator Maria Koc.

Skoro już o sprawach personalnych. Po naszych doniesieniach o chrapce Macieja Stuhra na nowe stanowisko jeden z czytelników zwrócił nam słusznie uwagę, że młody Stuhur ma wymagany prawem tytuł naukowy, by objąć funkcję rektorską w Akademii Teatralnej w Warszawie. Otóż jest doktorem. Przyznajmy, że nie byliśmy na czasie – w naszej epoce, by stanąć na czele uczelni, trzeba było mieć habilitację, a najlepiej profesurę

belwederską. Stuhur stopień doktora uzyskał za pracę „Ku reżyserii. Droga aktora do reżyserii poprzez nauczanie studentów”. Habilitacja powinna nosić zatem tytuł „Ku rektorowaniu. Droga doktora do rektora poprzez szyderę z PiS”.

Zaglądamy do naszej ulubionej instytucji. To Najwyższa Izba Kontroli. Mało kto wie, że w kwietniu Żelazny Marian Banaś powołał radę doradczą przy własnej osobie. Składa się prawie z samych nołnejmów. Nam jedynie mówią coś nazwiska Andrzej Anusz i Stanisław Kluza. To pierwsze sprawiło, że trochę się zmartwiliśmy. Autor „Osobistej historii PC” u Banaś? Właściciel medali od premiera Mateusza i prezydenta Andrzeja Sebastiana? Słuchać hadko!

Jak pamiętacie, informowaliśmy, że stałymi gośćmi w siedzibie NIK są chłopcy z Eine Totalopposition, czyli Szczerba i Joński. Ale okazuje się, że nie tylko oni. Bo także Korwin i Men-

tzen. I to właśnie z tymi ostatnimi miał stary Banaś negocjować miejsce na listach. Mentzen jednak przy okazji zaprzyjaźnił się z młodym Banasiem i wołał właśnie jego wziąć na listy. Dodajmy, że stary Banaś, co by o nim rzec, kariery parlamentarnej syna nie planował. Ma świadomość, że junior jest tykającą bombą. A niebawem przekonają się o tym także konfederaci.

Zdyplomacji. Podobno wreszcie jest kandydatka na placówkę w Austrii. Ma się tam udać była ambasador na Łotwie, Monika Michaliszyn. Choć niektórzy mówią, że może też objąć Oslo. Tak czy inaczej, kandydatka nam się podoba, bo jest znana z tego, że od lat walczy z parytetami płciowymi w życiu publicznym. Wychodzi z założenia, że jeśli kobieta w niczym nie jest gorsza od mężczyzny, to nie należy jej traktować wyjątkowo, lecz po prostu – przede wszystkim jak każdego innego człowieka. A każdy człowiek może zrobić karierę niezależnie od tego, jakiej jest płci. ©©

REKLAMA

OPPENHEIMER

**„STAŁEM SIĘ ŚMIERCIA,
NISZCZYCIELEM ŚWIATÓW”**

**NAGRODZONA PULITZEREM,
WYBITNA BIOGRAFIA OJCA BOMBY ATOMOWEJ
JUŻ W SPRZEDAŻY!**

Film na podstawie książki
na ekranach kin!

ODWIEDZ NAS NA

Replika

www.replika.eu

Tel. 515 339 739

OPPENHEIMER
KAI BIRD
MARTIN J. SHERWIN

Wersja w kinach film
w reżyserii CHRISTOPHERA NOLANA

OPPENHEIMER
TRIUMF I TRAGEDIA
OJCA BOMBY ATOMOWEJ



Piotr Semka

Odchodzą w cień hierarchowie, którzy byli twarzą polskiego Kościoła przez ostatnich 15 lat. Nowe nominacje papieża wskazują, że możemy oglądać rewolucję bergogliańską nad Wisłą

Było to absolutne zaskoczenie. Owszem konsultowano mnie ostatnio, ale z innej okazji [...], w sprawie nominacji do uczestnictwa w październikowym spotkaniu Synodu Biskupów. Ale w przypadku nominacji do Kolegium Kardynalskiego nikt mnie o nic nie pytał i niczego się nie spodziewałem. Było to absolutne zaskoczenie. Nawet nikt mnie nie uprzedził, abym oglądał »Anioł Pański«, po którym papież ogłosił nominację – tymi słowami abp łódzki Grzegorz Ryś poinformował dziennikarzy o okolicznościach przyznania mu kapelusza kardynalskiego.

Można uszanować deklaracje hierarchy z Łodzi jako wyraz skromności i unikania wizerunku kogoś zadufanego w sobie. Trudno jednak przyjąć, że abp Ryś nigdy wcześniej nie czytał o spekulacjach na temat mianowania go do Kolegium Kardynalskiego. Od lat już zwracano uwagę, że papież Franciszek nie trzyma się starej kościelnej tradycji, w której arcybiskupstwo krakowskie wiąże się z tytułem kardynała.

Ostatnia nominacja dla hierarchy posługującego w Polsce miała miejsce w 2005 r. i dotyczyła abp. Kazimierza Nycza. Potem nastąpił długi okres ignorowania Polski jako kraju, który obdarowuje się nominacją kardynalską. Owszem, w 2007 r. godność kardynalską otrzymał abp Stanisław Ryłko, ale ten od 1987 r. pracuje w Kurii Rzymskiej. A w 2018 r. kapelusz kardynalski otrzymał Konrad Krajewski, wielki jałmużnik papieski, także przebywający od wielu lat w Stolicy Apostolskiej.

Przy czym nominacja dla Krajewskiego po raz pierwszy wywołała spekulacje na temat możliwości obdarzenia tym tytułem abp. Rysia. Głęboka przyjaźń Krajewskiego z Rysiem znana jest od

Franciszek mebluje polski Kościół



Nowy kardynał Grzegorz Ryś i papież Franciszek

FOT. GRZEGORZ GAŁĄZKA/MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

dawna. Krajewski reprezentował papieża Franciszka w czasie uroczystości 100-lecia powołania archidiecezji łódzkiej. Było więc do przewidzenia, że mocna pozycja wielkiego jałmużnika u boku Franciszka doskonale współgrała z wyłonieniem się nominacji dla metropolity łódzkiego. Można więc zaryzykować twierdzenie, że po dekadzie dość średniego zainteresowania pontifexa krajem nad Wisłą kapelusze kardynalski dla abp. Rysia rozpoczyna okres meblowania polskiego Kościoła w myśl zasad rewolucji bergoglińskiej w Kościele katolickim.

MEDIALNE EXPOSÉ

„Chodzi mi o Kościół, który istnieje dla ewangelizacji” – głosi abp Ryś w sporym wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej. Można ten wywiad uznać za swoiste przedstawienie poglądów hierarchy, który wchodzi z impetem na podium najważniejszej postaci w polskim Kościele.

Nie jest tajemnicą, że kard. Kazimierz Nycz jest już bardzo schorowany i niedługo ustąpi ze stanowiska metropolity warszawskiego. Dobiega też końca posługa przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski abp. Stanisława Gądeckiego. Nie wiadomo też, kto obejmie fotel po kolejnym hierarsze, który dochodzi już do lat, w których nastąpi oddanie się do dyspozycji Ojca Świętego, czyli po abp. Marku Jędraszewskim. Na horyzoncie jest więc wycofanie się w cień trzech czołowych hierarchów, którzy byli twarzą polskiego Kościoła przez ostatnie 15 lat. Można zatem powiedzieć, że wraz z nominacją dla abp. Rysia wielka rewolucja, którą lansuje papież Franciszek, może dotrzeć nad Wisłę.

Jeśli dodać do tego dość poważne głoski sugerujące, że Ojciec Święty wyznaczy kard. Konrada Krajewskiego na głowę Kościoła w Krakowie po ewentualnym odejściu abp. Jędraszewskiego, to logika zmian będzie jeszcze wyraźniejsza.

Odsuńmy na razie spekulacje na temat powrotu wielkiego jałmużnika nad Wisłę na bok. Najważniejsze jest to, że abp Ryś jest stosunkowo młody. Ma 59 lat i to oznacza przynajmniej 16 lat posługi z tytułem kardynalskim. Czerwony kapelusz gwarantuje mu miejsce w radzie stałej Episkopatu, a to jest bardzo niewyalgiczne miejsce przy wytyczaniu linii Kościoła. Zresztą abp Ryś może też powrócić na krakowski fotel arcybiskupi po zakończe-

niu posługi przez abp. Marka Jędraszewskiego, która nastąpi za dwa lata. Dlatego to swoiste exposé kard. Rysia, dla którego forum był wywiad dla KAI, warto przeanalizować bardzo dokładnie.

Jako sekretarz Komisji Episkopatu Polski ds. Nowej Ewangelizacji łódzki hierarcha nie zaskoczył podkreśleniem potrzeby większego otwarcia się Kościoła na dialog i na wyzwania „nowej epoki”. Nie było też zaskoczeniem, że zadeklarował, iż pokłada duże nadzieje w zainicjowanym przez papieża Franciszka Synodzie Biskupów o synodalności, który zacznie się w październiku.

Dość znacząca była ta deklaracja hierarchy: „Jeśli chodzi o Kościół w Polsce, to powinniśmy dziś z pewnym dystansem spojrzeć na tę przeszłość, którą charakteryzował katolicyzm masowy. Nasza religijność bazować musi na doświadczeniu religijnym, które jest spotkaniem z konkretną Osobą. A tą Osobą jest Jezus

Arcybiskup Grzegorz Ryś jest stosunkowo młody, ma 59 lat. To oznacza przynajmniej 16 lat posługi z tytułem kardynalskim

Chrystus. Jest to wiara znacznie bardziej autentyczna, w której musi dojść do powstania znacznie bardziej indywidualnych pytań i do usłyszenia bardzo indywidualnych odpowiedzi”.

Każdemu, kto zna historię ostatnich 70 lat Kościoła w Polsce, te słowa muszą się skojarzyć ze sporami, które trwały w latach 60. i 70. między prymasem Stefanem Wyszyńskim, lansującym katolicyzm wspólnoty, a modelem personalizmu i modernizmu katolickiego, który lansował skupienie się na wierze jednostek. To drugie nastawienie miało swoje konsekwencje – skłaniały one do wyrozumiałości wobec poszukiwania nowych form wyrażania wiary i dostosowywania religii do wyzwań czasu. Do tamtych spraw zdaje się nawiązywać abp Ryś, mówiąc: „Z procesem przejścia od katolicyzmu kulturowego ku wierze z osobistego wyboru, opartej na relacji, musi się wiązać zmiana naszego myślenia jako duszpasterzy [...]”.

Naszym zadaniem jest kształtowanie autentycznej wiary, bazującej na znacznie głębszym doświadczeniu, a nie wynikającej głównie z norm kulturowych”. I dalej: „Potrzebujemy wyjścia ku ludziom, którzy byli [w Kościele – przyp. P.S.], a ich nie ma [...]”. Jeśli mnie obchodzi, że tych ludzi nie ma, to znaczy, że jestem człowiekiem nowej ewangelizacji”.

Zamiary te brzmią dosyć atrakcyjnie, ale pytanie, do którego skłania dotychczasowy przebieg pontyfikatu papieża Franciszka, brzmi: W jakim stopniu Kościół, idąc w kierunku tych, którzy od niego odeszli, gotowy jest dokonać korekty dotychczasowych kanonów wiary, aby ci, którzy od niego odeszli, zechcieli do niego wrócić? I drugie pytanie: Czy nie oznacza to pewnego lekceważenia dla wrażliwości tych, którzy wytrwali przy Kościele i których niepokoją niekiedy bardzo daleko idące ustępstwa na rzecz „laickiego ducha czasu”, takie jak zmiana stosunku do praktyk homoseksualnych, do osób rozwiedzionych czy do postulatów stopniowego osłabiania wyraźnego dotąd sprzeciwu Kościoła wobec zabijania dzieci nienarodzonych?

Arcybiskup Ryś nawiązuje też do kontrowersji wobec procesu synodalnego. Jak mówi: „Synod Biskupów jest przede wszystkim instytucją doradczą wobec papieża. Na zakończenie swych obrad Synod opracowuje dokument, który nie jest dokumentem doktrynalnym i obowiązującym, lecz tylko ważną pomocą dla papieża. Moje doświadczenie pokazuje, że wątpliwości wobec Synodu ustają tam, gdzie ten Synod naprawdę się dzieje i gdzie jest tak realizowany, jak proponuje papież Franciszek. A więc kiedy jest wspólnym słuchaniem Ducha Świętego, a potem słuchaniem siebie wzajemnie”. I znów brzmi to bardzo dobrze, ale trudno nie skonfrontować tych słów z tym, co działo się zeszłej jesieni w Pradze w trakcie Synodu Europy na temat synodalności. Liczne relacje ze stolicy Czech wskazują, że toczyła się tam ostra walka między zwolennikami zmian doktryny, których reprezentuje „droga synodalna” w Niemczech, a dość niezbornym oporem konserwatystów zaniepokojonych zmianami.

W tej dyskusji bardzo wielu jej uczestników sugerowało, że to oni odgadują wpływ Ducha Świętego. I to znacznie utrudnia przyjmowanie bez dyskusji

■ kolejnych słów abp. Rysia o tym, że Duch Święty nadal działa w Kościele, jest protagonistą czy – jak mówi Franciszek – suwerenem. Nowy kardynał cytuje tu papieża: „Należy go słuchać, a niekiedy ma on ochotę – jak powiedział św. Benedykt – wypowiedzieć się przez najmniejszego. Trudno Duchowi Świętemu dyktować, po przez kogo ma mówić. A działanie Ducha Świętego nie znosi bynajmniej tego, że Kościół jest hierarchiczny, że jest Piotrowy oraz że jest kolegialny”.

Arcybiskup Ryś nie odpowiada jasno na pytanie, jak wierni mają rozpoznawać, w czyich ustach Duch Święty jest prawowity, a kiedy ktoś po prostu sugeruje, że przemawia przez niego Spiritus Sanctus. Uspokaja, że ostatecznie Kościół zawsze będzie hierarchiczny, Piotrowy i kolegialny. Co jednak zrobić ma wierny, którego wiele wypowiedzi i dywagacji teologicznych papieża Franciszka niepokoi swoim odejściem od litery nauczania kościelnego?

I wreszcie ostatni wątek wywiadu z abp. Rysiem. To bardzo wyraźne wezwanie do polityków, „by nas nie wciągali w polityczną wojnę”, i krytyka niedawnej sytuacji na Jasnej Górze, w której, w trakcie pielgrzymki Radia Maryja, przemówienie (poza Mszą św.) miał Jarosław Kaczyński. Jak mówi w wywiadzie metropolita łódzki, tym, co Kościół winien rozwijać, nie są narzędzia polityczne, tylko środki ewangeliczne: głoszenie słowa, sprawowanie sakramentów, budowanie wspólnoty i dzieła miłości. I na tym Kościół się opiera. „A jeśli ktoś tego nie chce robić, tylko ogląda się na polityczną władzę, by szukać poczucia bezpieczeństwa, to głęboko się myli” – zaznacza.

Spróbujmy rozłożyć na czynniki pierwsze dwa ostatnie zdania wygłoszone przez abp. Rysia. Stosuje on metodę wyjaśnienia problemu. Stawia tezę, że są w Kościele ludzie, którzy stawiają tylko na narzędzia polityczne, czyli w domyśle – na poparcie ze strony niektórych partii politycznych przy jednoczesnym lekceważeniu głoszenia Ewangelii czy sprawowania sakramentów. Takiej sytuacji nie ma. Dyskutować można tylko, na ile Kościół powinien unikać utożsamiania się z jedną konkretną partią czy w skrajnych wypadkach agitować na rzecz jej wyborów w kolejnych elekcjach. Czy jednak przekreśla to długą tradycję myślenia kościelnego o wspieraniu pewnej wizji tworzenia

Jak by wyglądała polityka polskiego Kościoła, gdyby kardynałami posługującymi w Polsce byli zaprzysiężeni i mający podobne poglądy kardynałowie Krajewski i Ryś?

ładu wspólnego przez polityków? Czy unieważnia to możliwość poparcia takich zmian w prawie, które wcielają w życie ład publiczny, który zgodny jest ze wskazaniami katechizmu?

Słowa abp. Rysia zapowiadają wręcz rygorystyczne odcięcie się od życia publicznego, którego naturalnym elementem jest polityka. Zarówno dziś, jak i 70 lat temu Kościół nie akceptował włączania się czy to kapłanów w politykę, czy też niewolniczego podporządkowania Kościoła jakiejś partii. Jednak czym innym jest dystans wobec polityki, a czym innym wyrażanie przez hierarchów stanowiska Kościoła w sprawie sporów o kształt prawa czy też podejście do dylematów cywilizacyjnych. Wizja Kościoła, który jest głoszący po głowie przez lewicę i liberalne media za np. występowanie w obronie imigrantów, a krytykowany, gdy wspiera przepisy prawne chroniące ludzkie życie, wiele razy była już rzeczywistością w Polsce. Gdy Kościół mówi to, co lewica chce usłyszeć, jest chwalony za mądry głos w przestrzeni publicznej. Gdy zaś mówi to, z czym lewica się nie zgadza, słyszymy o trudnej do tolerowania ingerencji kleru w życie publiczne.

Arcybiskup Ryś nie wyjaśnia, jak dokładnie rozumie zasady zabierania przez Kościół głosu w sprawach publicznych, i tym samym daje pole do pytań o to, jak on sam, jako osoba – od tej chwili bardzo wpływowa w Kościele polskim – będzie reagować w razie podobnych sporów.

PAPIESKI DUCH I JEGO ZWOLENNICY

Ostatnie 10 lat pontyfikatu papieża Franciszka cechowało dosyć dziwaczne modus operandi na linii Episkopat Polski – Stolica Apostolska. Linią Episkopatu kierował abp Stanisław Gądecki, który z jednej strony unikał nowych trendów lansowanych przez papieża, a z drugiej

strony na forum Synodu Biskupów występował w obronie tradycyjnego podejścia do spraw świętości ludzkiego życia, kwestii dostępu rozwodników do Komunii św. czy projektów otwarcia na postulat środowiska LGBT. Zdecydował się nawet na list braterskiej troski, w którym wyraził swoje zaniepokojenie kierunkiem zmian doktrynalnych, które zaczyna akceptować tzw. droga synodalna w Niemczech.

Ponadto można było wskazać grupę hierarchów, którzy zabierali głos, wspierając rozmaite inicjatywy związane z osobą obecnego papieża. Na pewno ośrodkiem bardzo wyraźnego wsparcia dla „drogi synodalnej” były Katowice. To z tej diecezji pochodził Aleksander Bańka, teolog z Uniwersytetu Śląskiego, który z ogromnymi nadziejami zaangażował się w spotkanie synodalne najpierw w Rzymie, a potem w Pradze. Dawalo się zauważyć, że bp Aleksander Galbas, który najpierw był koadiutorem diecezji katowickiej, a potem zastąpił abp. Wiktora Skworca, wyraźnie patronował aktywności Bańki. Stanowisko metropolity katowickiego można było streścić tak: otworzmy się na „drogę synodalną” i na swoje polskie potrzeby, uniknijmy odchyłeń, które można zauważyć w Niemczech.

Relacja bp. Aleksandra Galbasa z europejskiego spotkania „drogi synodalnej” w Pradze była niezwykle optymistyczna. Bardzo kontrastowała z wypowiedziami innego polskiego hierarchy, który był na spotkaniu w stolicy Czech, czyli abp. Stanisław Gądecki. Gądecki obok pozytywów widział wiele zagrożeń przed „drogą synodalną”.

22 maja 2023 r., przemawiając na Jasnej Górze, abp Galbas wezwał: „Przestańmy wylewać pomyje na Kościół synodalny”. I dalej: „Nie bójmy się świeckich, nie bójmy się synodu. Nie chcemy niemieckiej drogi? OK, idźmy polską, jak nasi bracia i siostry we Włoszech idą włoską, a irlandzcy – irlandzką. Ale, na Boga, idźmy, a nie stójmy”. Fraza o wylewaniu pomyj sprowadziła głosy zaniepokojenia wobec „drogi synodalnej” wyłącznie do wyzisk spowodowanych czy to niewiedzą, czy to złą wolą. Metropolita katowicki wzywał do cierpliwości i powoływał się na owoce „drogi synodalnej”. „Kościół synodalny jest propozycją Ducha Świętego dla naszych dni”. Znów zabrzmiało to bardzo górnolotnie i – podobnie jak w wypowiedziach

abp. Rysia – nie było wyjaśnienia, jak rozeznać, czyimi ustami przemawia Duch Święty, a czyimi nie.

Kolejnym przedstawicielem ducha bergogliańskiego w polskim Kościele jest biskup pomocniczy koszalińsko-kołobrzeski Krzysztof Zadarko. Już w 2021 r. wyraźnie stanął po stronie organizacji pozarządowych, które niekiedy łamiąc przepisy, przedostawały się na terytorium zamkniętej strefy przygranicznej, aby docierać do imigrantów, którzy przeszli granicę polsko-białoruską. Niedawno zabrał głos jako przewodniczący Rady Konferencji Episkopatu Polski ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek. Bardzo ostro skrytykował referendum w sprawie nakazu przyjmowania imigrantów ze strony Komisji Europejskiej, od którego to nakazu Polska będzie mogła odejść wyłącznie po zapłaceniu określonej kary. Biskup Zadarko uznał, że referendum jest wyłącznie działaniem politycznym. „Nie można w imię fałszywie rozumianego patriotyzmu wzbudzać lęk i wrogość wobec przybyszów, zwłaszcza z powodu ich statusu, religii lub pochodzenia [...]. Spośobów mądrzej i solidarnej gościnności nie ma potrzeby czynić przedmiotem referendalnych rozstrzygnięć” – stwierdził. I ostrzegł: „Stanowczo przestrzegamy przed ich instrumentalnym wykorzystywaniem do rozgrywek politycznych oraz kształtowaniem postaw ksenofobicznych. Takie działania są nie do pogodzenia z chrześcijańskim nauczaniem. W zamian Rada wzywa do roztropnego namysłu – opartego na faktach i naukowej wiedzy, nie zaś emocjach podsycanych przekazami medialnymi i politycznymi”.

Oświadczenie Rady Episkopatu cechuje tendencja, która występowała już przy okazji pojawienia się tematu osób LGBT w kampanii prezydenckiej w 2021 r. Prezydent Andrzej Duda poruszył ten temat w związku z tym, że jego rywal Rafał Trzaskowski jako prezydent Warszawy zaakceptował plany wprowadzenia do szkół tzw. wiedzy o LGBT. Odpowiedzią Platformy Obywatelskiej, dla której był to niezręczny temat, była teza, że obóz PiS używa instrumentalnie kwestii LGBT do wywołania emocji politycznych i szerzenia nienawiści. Niemal dokładną kopią tamtego stylu opisywania problemu są teraz tezy Rady Episkopatu ds. Migracji w kwestii referendum.

Tworząc ogólną mapę zwolennika nowych trendów, które lansuje papież Franciszek, nie można zapominać, że możliwy jest powrót kard. Konrada Krajewskiego nad Wisłę, na którąś z dużych stolic archidiecezjalnych, które będą zwalniane w ciągu najbliższych trzech lat. W tym kontekście warto przypomnieć, że w 2021 r. Krajewski brał udział wraz z abp. Rysiem w pieszej pielgrzymce z Łodzi na Jasną Górę. Odnosił się on pośrednio do głosnej wówczas wypowiedzi abp. Marka Jędraszewskiego o „tęczowej zarazie”. Odpowiadając na postawione przez siebie pytanie, jak on sam zareagowałby na ewentualny przemarsz tęczowej parady przez jego miasto, zadeklarował, że zaprosiłby wszystkich uczestników marszu do swojej katedry. I powiedział wszystkim zebranim, że wszyscy są członkami Kościoła. Swoją wypowiedź wzmocnił ironicznym przypuszczeniem, że niektórzy z jego hipotetycznych wiernych pucowaliby potem ławki, aby usunąć wszelki ślad po takich niecodziennych gościach. Wypowiedź Krajewskiego doskonale wpisywała się w jego styl działania, który włoskie media nazwały stylem „Robin Hooda papieża”. Przydomkiem tym obdarzono go po tym, jak łamiąc prawo, ale stawiając wyżej dobro ubogich, zerwał plomby na liczniku prądu w opuszczonym budynku, w którym zamieszkali bezdomni. Po zerwaniu plomb przywrócona została dostawa energii, co potem zostało jeszcze wzmocnione opłaceniem przez Stolicę Apostolską zaległych opłat za prąd. Jak tego typu efektowne działania zostałyby przyjęte w Polsce? I jak by wyglądała polityka polskiego Kościoła, gdyby jej dwoma kardynałami posługującymi w Polsce byli bardzo zaprzyjaciłeni i mający podobne poglądy kardynałowie Krajewski i Ryś?

CZY JEDNOŚĆ EPISKOPATU ZATRZESZCZY?

W praktyce polskiego Kościoła hierarchowie bardzo starannie dbali jak dotąd, aby nie wynosić różnic zdań poza zamknięte cztery ściany sal obrad Episkopatu. Jednak im bardziej z jednej strony pojawiać się będą bardzo wyraźne ostrzeżenia przed zagrożeniami cywilizacyjnymi, które formułuje abp Marek Jędraszewski, a z drugiej strony pojawiać się będą tak ostre opinie, jak te, które wygłasza bp Zadarko o referendum imigracyjnym, tym bardziej utrzymanie takiego konsensusu

stonowania wokół różnic może być trudne do utrzymania.

Próbkę takiej szybkiej reakcji na wyraziste wystąpienie w stylu bergogliańskim mieliśmy okazję zauważyć niedawno, gdy ks. prof. Piotr Moskal (profesor zwyczajny KUL, aktualnie wykładowca w Wyższym Seminarium Duchownym w Pelplinie) postanowił podjąć polemikę z bp. Zadarką. W paru punktach wskazał on na elementy, których w jego opinii w oświadczeniu Rady Episkopatu ds. Imigracji zabrakło. Przypomniał, że wielu migrantów nie uznaje w krajach zachodnich władzy policji, twierdząc, że mają swoje prawa. Zaapelował, by nie ignorować intencji obcych polityków kierujących imigrantów na granicę Białorusi z Polską. Wskazał dalej, że ułuda jest przekonanie, iż ludzie różnych kultur i różnych religii myślą podobnie jak my. I wreszcie odniósł się do głównej tezy oświadczenia: „Referendum to demokracja bezpośrednia. Uważam, że w sprawie o bardzo dużym znaczeniu dla narodu na wiele pokoleń lepiej, jeśli wypowie się naród, a nie tylko bieżąca konstelacja parlamentarna”. Oczywiście jeśli w przyszłości dojdzie do takich polemik, to z góry można już przyjąć, że liberalno-lewicowe media z ochotą włączą się w takie spory, dzieląc polski Kościół na mądrych i pełnych współczucia oraz na sfanatyzowanych i bezwzględnych. To oczywiście jeszcze bardziej wzmocni polaryzację. Podział ten będzie się brał nie ze złamania jakichś poprzednich norm działania, tylko z sytuacji, w której część zarówno kapłanów, jak i wiernych nie będzie w stanie pogodzić swojego sumienia z modernizacyjnymi zmianami w Kościele. Unikanie takiej polaryzacji wymagałoby znacznie innego stylu wprowadzania zmian niż ten, który reprezentuje obecny pontifex.

Niestety, nie sposób nie zauważyć, że im dłużej trwa pontyfikat papieża Franciszka, tym szybciej zdaje się on chcieć wprowadzać radykalne zmiany. Niepokojącą tego manifestacją było przekazanie Kongregacji ds. Wiary prefektowi Wiktorowi Manuelowi Fernandezowi. Można tylko się zastanawiać, jak rozwinięta sytuacja w polskim Kościele, jeśli w to włączenie trybu turbo w zmianie doktryny włączy się część polskich biskupów, którzy uznają, że nadszedł już ich czas.



Jan Pospieszalski

Ewangelizacyjna inicjatywa Jana Pawła II, która powstała w odpowiedzi na postępującą apostazję Zachodu, będzie zagospodarowana przez Agendę ONZ

Domyślam się, że są w Kościele entuzjaści encykliki „Laudato si”, którzy rozumieją, co oznaczają ekologiczne nawrócenie, ekologiczna duchowość, ekologia integralna. Ja nie rozumiem. Niektórzy nie zastanawiają się nad tym, traktując klimatyczno-ekologiczne wątki w nauczaniu Franciszka jako wyróżnik jego pontyfikatu, co najwyżej widząc w tym niegroźne dziwactwo starszego człowieka z Ameryki Łacińskiej. Są i tacy, którzy agendę klimatyczną papieża potrafią połączyć z innymi niepokojącymi wypowiedziami, gestami i decyzjami Franciszka, którymi utkany jest ten pontyfikat (vide: ostatnie nominacje kardynalskie). Należę do tej trzeciej grupy. Dlatego, gdy rok temu dostałem od kolegi Maćka informację, że Światowe Dni Młodzieży odbywać się będą w oparciu o 12 celów zrównoważonego rozwoju, wiedziałem, że sprawa jest poważna.

EWANGELIA I AGENDA ONZ

Na stronach Lisboa2023.org gospodarze wyliczają cele: „Edukacja ekologiczna, ekologiczna duchowość, przyjęcie prostego stylu życia, ekologiczne gospodarowanie, odpowiedź na płacz ubogich, odpowiedź na płacz Ziemi, wspólne zaangażowanie i aktywne współdziałanie, jakościowa edukacja, równość płci, czysta woda i higiena, odpowiedzialna konsumpcja i produkcja, redukcja nierówności, działania na rzecz klimatu, życie na lądzie, partnerstwo dla wspólnych celów”.

Zatem ewangelizacyjna inicjatywa Jana Pawła II, która powstała w odpowiedzi na postępującą apostazję Zachodu po to, by umocnić w wierze młodych katolików, będzie zagospodarowana przez Agendę ONZ. I choć poetyckie dziwactwa typu „odpowiedź na płacz ubogich, odpowiedź na płacz Ziemi” w dokumentach papie-



Ostatnie Światowe Dni Młodzieży odbyły się w 2019 r. w Panamie

FOT. G. GALAZKA/MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

skich już się pojawiały, to terminy, takie jak „równość płci czy partnerstwo dla wspólnych celów” zaczerpnięte są z nowego języka globalnej rewolucji kulturowej. A właśnie ten nowy język, zastępujący wartości uniwersalne (prawo naturalne) nową globalną etyką, staje się skutecznym narzędziem cichej rewolucji. Przypominam to na początku, ponieważ pojęcie „zrównoważony rozwój” kojarzy się wyłącznie z odpowiedzialnym gospodarowaniem zasobami naturalnymi. Owszem, również tak. Jednak to zaślona.

EKOLOGIA I NIE TYLKO

Obok troski o naturę pojęcie „zrównoważony rozwój” (i wiele słów tego postmodernistycznego języka) jest terminem dynamicznym. Mądrość etapu również w nowym marksizmie aktualizuje znaczenia. Na przykład w milenijnych celach ONZ (obowiązywały do 2015 r.) chodziło m.in. o walkę z głodem, ubóstwem, walkę z AIDS, zapewnienie opieki medycznej itp. W Agendzie 2030 program już obejmuje m.in. równość płci (cel nr 5, czerwony piktogram). W opisie celu na stronach ONZ czytamy, że chodzi m.in. o zapewnienie powszechnego dostępu do zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego zgodnie z ustaleniami Konferencji w Pekinie (pkt 5.6). Natomiast w dokumentach konferencji pekińskiej, do których odsyła strona ONZ (par. A.4 i C.3), pojawia termin „kulturowa tożsamość płci (gender)”.

Organizatorzy z Lizbony sami przyznają, że nie chodzi im o jakiś marginalny wątek czy fakultatywny element programu spotkania młodych: „Zainspirowani tymi wartościami i poruszeni wezwaniem

Ojca Świętego, abyśmy żyli wartościami powszechnego braterstwa i troski o nasz Wspólny Dom, wspólnie zobowiązujemy się do: uczynienia zrównoważonego rozwoju głównym celem ŚDM Lizbona 2023”.

Gdy opisałem problem, felieton zauważono w krajowym biurze organizacyjnym ŚDM. Skontaktowałem się z polskim biurem. Początkowo księża bagatelizowali temat, choć nie potrafili wytłumaczyć, skąd się wzięła Agenda 2030 ONZ. Przekonywali jednak, że nawet gdyby jakieś niewłaściwe treści się pojawiły, za formację polskich uczestników odpowiedzialni będą przede wszystkim nasi biskupi.

RODZICE PISZĄ LIST

Ujawnione przeze mnie informacje sprawiły, że grupa zaniepokojonych rodziców dotarła do ks. bp. Grzegorza Suchodolskiego do Krajowego Biura Organizacyjnego. Biskup przyznał, że zna problem, zwracał się z pytaniami do szefa komitetu organizacyjnego bp. Américo Aguiara (obecnie już kardynała) i czeka na odpowiedź.

Rodzice także postanowili napisać list do koordynatora Światowych Dni w Lizbonie. Kopię listu wysłali do Rady ds. Duszpasterstwa Młodzieży przy Konferencji Episkopatu Polski oraz do kard. Kevina Farrella (Dykasteria ds. Świeckich, Rodziny i Życia) w Watykanie. Zwrócili w nim uwagę, że Agenda ONZ i Cele zawierają zobowiązania, których nie da się pogodzić z Ewangelią i nauczaniem Kościoła. Z niepokojem odnotowali też partnerstwo ŚDM z Global Tree Initiative, organizacją pozarządową promującą oparty na budyzmie radykalny ekologizm. W uzasad-

Braterstwa



nieniu rodzice odnieśli się też do polityki klimatycznej opartej na „pedagogice strachu” i lęku przed katastrofą, za którą (rzekomo) odpowiedzialny jest człowiek. Zaznaczyli, że mimo iż w kwestii realnego wpływu człowieka na zmiany klimatyczne zdania ekspertów są podzielone, w wielu miejscach intensywnie promowana jest teoria, że Ziemi grozi przeludnienie i potrzebne są radykalne kroki celem depopulacji. Zatem partnerstwo ŚDM z GTI, gdzie promowane są te idee głoszone przez wątpliwe autorytety (Dalajlama, Greta Thunberg i Desmond Tutu), jest aktem niezrozumiałym i szkodliwym.

BISKUP POETA

W odpowiedzi bp Aguiar (obecny kardynał) niestety nie odniósł się do żadnego z zastrzeżeń rodziców. Muszę jednak zacytować próbkę jego listu, bo dopóki nie przeczytałem, dopóty sam nie chciałem wierzyć: „Agenda jest oknem, jest otwarciem nadziei, aby wszystkie narody świata były gotowe do przebycia pewnej drogi razem. Ale naszą tożsamością, naszymi pojęciami są Pismo Święte i Magisterium Kościoła [...], zrównoważony rozwój Światowych Dni Młodzieży jest zakorzeniony w Żywym Chrystusie. [...] Naszym celem, naszą drogą jest zaproponowanie i umożliwienie młodemu całemu światu spotkania z Żywym Chrystusem. [...] i do tego spotkania jest potrzebne, abyśmy byli zrównoważeni we wszystkich kwestiach, w odniesieniu do wszystkiego. Nowa Ekonomia to pilna sprawa, co widzimy w wyzwaniach i marzeniach, które młodzi ludzie chcą realizować w swoim życiu [...],

musimy marzyć, walczyć i być poetami, aby spełnić marzenia, których pragnie Bóg [...]. Rano każdego dnia musimy zdecydować, że wstajemy z łóżka równo z budzikiem, aby pokonać sen oraz by w ten sposób zwyciężyły marzenia” (całość listu rodziców i odpowiedź biskupa dostępne są na Afirmacja.info).

Mimo tak lekceważącej odpowiedzi rodzice nie zrezygnowali i z pokorą napisali list jeszcze raz, powtarzając pytania i wątpliwości. Tym razem odpowiedzi już nie było.

LIZBONA BEZ KRZYŻA

Listem rodziców zainteresował się najpoczytniejszy portal katolicki w USA – Life Site News – opisując dokładnie całą wymianę korespondencji. Rodzice otrzymali też wyrazy wsparcia od kilku biskupów, również z zagranicy.

Ustaliłem, że podobne wątpliwości napłynęły do Lizbony i do Watykanu od katolików z Hiszpanii, Włoch i krajów Ameryki Południowej.

Z oficjalnej strony zniknęły grafiki ONZ, jednak wśród zakładek „zrównoważony rozwój” nadal figuruje. Niebawem podeślano mi kolejny znamieny przykład. Okazało się, że na plakatach zapraszających młodzież do Lizbony (rozwiązanych m.in. we francuskich kościołach) widniejące wieże bazyliki Estrela nie mają krzyży. Uproszczenia graficzne nieraz mogą coś pominać, ale jeśli znikają krzyże, to nabiera to wymiaru swoistego programu.

ŁĄCZĄC KROPKI

Wątpliwości rozwiązał wreszcie sam bp Aguiar, który po ogłoszeniu nominacji

kardynalskiej powiedział wprost: „Nie będziemy młodzieży nawracać do Chrystusa i Kościoła. Liczy się wspólne bycie i poszanowanie różnorodności”.

Zaglądam więc ponownie na stronę Lisboa2023.org i widzę m.in. program wizyt w świątyniach innych wyznań, konferencję w technologii metaverse, sadzenie drzew i do pobrania dla pielgrzymów kalkulator śladu węglowego.

Nawet jeżeli uznamy, że obecna w Lizbonie agenda zrównoważonego rozwoju 2030 dotyczy tylko ekologii, to pozostaje pytanie, czy Kościół musi młodym ludziom przypominać ten wątek. Edukacja, media, kultura masowa, uniwersytety, polityka, zasady CSR w biznesie nasyczone są do bólu ekologiczno-klimatyczną propagandą. Dlaczego obok (zamiast?) głoszenia Jezusa Chrystusa czeka na nich w Lizbonie przekaz, który mają wszędzie?

Kościół, owszem, odpowiadał zawsze na wyzwania epoki. Jednak czy zmiany klimatyczne istotnie są tym, co powinno pasterzom spędzać sen z powiek?

Według danych na 6 lipca w Lizbonie akredytowało się 300 tys. uczestników. Największe grupy to Hiszpanie, potem Włosi, Francuzi, obywatele USA i Polacy. Czyli najliczniej przyjadą przedstawiciele Zachodu. Bogata Europa i Ameryka (częściowo) już dawno dokonały apostazji. Rewolucja kulturowa sprawia, że w ślad za sakralizacją „prawa wyboru” i nobilitacją politycznego ruchu homoseksualnego do prawa międzynarodowego wprowadzane są wrogie nauczaniu Kościoła ustawy. Dotykają wszystkich obywateli, zmieniając moralność osobistą i społeczną. Oddziałują na życie rodzin, na edukację, zdrowie, zasady korporacyjne. W raportach Rady Praw Człowieka dla ONZ religia katolicka pojawia się jako źródło praktyk antyrównościowych i obszar ucisku mniejszości seksualnych. Ponurym paradoksem jest, że właśnie młodzi ludzie, wyznawcy Jezusa Chrystusa, narażeni są na dyskryminację i wykluczenie. W życiu codziennym, w kulturze masowej, na uniwersytetach, w korporacjach muszą się konfrontować z wrogiem przekazem. Większość z nich, żeby egzystować, często ukrywa swoją wiarę.

Wygląda na to, że Franciszek w Lizbonie zamiast umocnienia ma dla nich kalkulator śladu węglowego.

Konfederacja? Jak to?!



Rafał A. Ziemkiewicz

Obóz lewicowo-liberalny nie zauważył, że do Konfederacji odpłynęli przeciwnicy PiS. I to on traci, gdy narodowcy zyskują

Wiadomo to już od wielu tygodni, potwierdzają to kolejne sondaże, ale tzw. elity opiniotwórcze wciąż nie są w stanie zrozumieć, co się dzieje. Nie są w stanie nawet przyjąć tego do wiadomości. Konfederacja – partia stygmatyzowana jako skrajnie radykalna, „faszystowska”, bardziej „PiS-owska” niż sam PiS – trzecim co do wielkości klubem poselskim w Sejmie? Z sondażowym poparciem dochodzącym już do 15 proc., a w perspektywie, według badania elektoratów negatywnych, mogąca liczyć nawet na 20–22 proc. głosów? Silna na tyle, że bez jej poparcia nie można będzie sformułować nowej większości rządowej?

Sam w sobie fakt wydobywania się Konfederacji z niszy kilkuprocentowej „partii protestu” nie stanowiłby jeszcze dla salonów horrendum, gdyby działał się

to kosztem PiS. Byłoby to nawet zgodne ze stereotypem, że elektorat dzieli się na „demokratyczny i proeuropejski”, a więc z natury postępowy, oraz „zacofany”, który głosuje na „populistów”, a pomiędzy tymi dwoma grupami jest nieprzekraczalna przepaść. Demokraci mogą wahać się tylko pomiędzy PO, Lewicą i, ewentualnie, jakąś nową formacją „demokratyczną” – dlatego głównym zadaniem na wybory, jedynym właściwie i gwarantującym sukces, jest zebrać te wszystkie formacje na „jednej liście obozu demokratycznego”. Natomiast Kaczyński z Korwin-Mikkem, Braunem czy Bąkiewiczem mogą sobie wrywać ciemnotę hołdującą „populizmowi” – i to dobrze, niech ją jak najbardziej podziela.

Tymczasem, mimo wielomiesięcznego zaklinania rzeczywistości, m.in. poprzez

uparte podawanie wyników sondaży w formie „opozycja demokratyczna tyle a tyle, PiS z Konfederacją tyle”, wzrost Konfederacji nastąpił kosztem obozu lewicowo-liberalnego. Nie trzeba nawet dokładnych badań przepływów, wystarczy zobaczyć, komu poparcie spadało w miarę, jak rosło Mentzenowi i Bosakowi. A od chwili, gdy ukazał się sondaż pokazujący, że ponad 60 proc. wyborców deklarujących poparcie dla Konfederacji nie chce, aby weszła ona w koalicję z PiS, nie można już mieć żadnych wątpliwości.

ZLEKCEWAŻONE OSTRZEŻENIA

Nawet w samym obozie lewicowo-liberalnym nie brakowało ostrzeżeń, że największym beneficjentem postulowanego tam zjednoczenia na jednej liście PO, Lewicy, PSL i Polski 2050 będzie właśnie Konfederacja – ale zostały one zupełnie zlekceważone. Podobnie jak zdołały lewicowo-liberalne elity wyprzeć z pamięci to, że w wyborach prezydenckich Krzysztof Bosak nie wezwał swych wyborców do poparcia w drugiej turze Andrzeja Dudy i że nie był to tylko – jak chciałyby owe elity wierzyć – podstęp mający ukryć rzeczywistą ideową bliskość, bo wyborcy



Krzysztof Bosak i Sławomir Mentzen z Konfederacji mają powody do zadowolenia – poparcie dla ich partii mocno rośnie

FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

Bosaka istotnie podzielili się w drugiej turze dokładnie po połowie.

Zdumiewająca jest ta zdolność liberalnej lewicy do budowania politycznych matriksów – nie na podstawie analizy rzeczywistości, tylko dla narzucenia na nią „słusznych” oczekiwań, a potem uporczywego wypierania faktów niepasujących do wyznawanej wizji. Podstawową cechą lewicowo-liberalnego umysłu, poza oczywiście konstytuującym go urojeniem wyższościowym, wydaje się całkowity brak biegu wstecznego. Gdy rzeczywistość rozchodzi się z takim matriksem w sposób nazbyt już oczywisty, reakcją „oświeconego” nie jest, jak zrobiłby każdy normalny człowiek, przeanalizowanie swoich wcześniejszych diagnoz w poszukiwaniu błędu, ale wykombinowanie jakiejś argumentacji, choćby najbardziej naciąganej, że – wbrew ewidentnej obsucie – żadnego błędu nie było.

Poprzednim razem, gdy „elity” musiały jakoś się uporać z dowodami przeciwskuteczności swej wieloletniej antypisowskiej propagandy – która im więcej i bardziej kategorycznie wzywających do walki z PiS autorytetów rzucała na front, tym bardziej poparcie dla PiS rosło – winnymi uczynio-

no „proboszczów”, „beprzykładnie brutalną i kłamliwą kampanię propagandową”, „PiS-owskie media publiczne” i kogo tylko popadnie, byle tylko całkowicie wyprzeć podejrzenie, że może to same „elity”, dysponujące przez wiele lat całkowitą władzą i miażdżącą przewagą w mediasferze, popełniły jakieś błędy. Jedynym niedostatkim władzy i „rządu dusz” przed rokiem 2015, do którego liberalna lewica gotowa się była przyznać, było: „Okazaliśmy się zbyt dobrzy na ten kraj, zbyt uczciwi i szlachetni – nie kłamaliśmy i byliśmy zbyt grzeczni”. Oczywistym wnioskiem takiej „diagnozy” musiało być danie sobie przyzwolenia na przelicytowywanie „populistów” w populistycznych obietnicach i skrajne chamstwo uosabiane przez Martę Lempart, „babcię” Adamczyk i powtarzane w nieskończoność „j...ć PiS”.

NIE CHODZI O WOLNY RYNEK

Ktoś może odnieść wrażenie, że szok, którym jest odebranie przez Konfederację części wyborców „anty-PiS”, skłonił jednak do rewizji przynajmniej pierwszego z owych wniosków. Na Gazeta.pl, w TOK FM czy TVN24 zaczęto dopuszczać ekspertów ubolewających, że obiecując „babciowe” i „1000+” od zaraz, Tuszk osierocił elektorat wolnorynkowy, więc ten uciekł do głoszącego takie poglądy Mentzena. Taka diagnoza jest do przełknięcia, bo lewicowo-liberalna elita jednocześnie milcząc się zgadza, że Tuska nie można o to winić: musi przecież odebrać „tę ciemnotę, która wierzy w rozdawnictwo PiS”. To, co się stało, w takiej optyce można potraktować jako pewien wypadek przy pracy, dający się do wyborów naprawić. Elektorat wolnorynkowy jest przecież świadomy, wykształcony, ogląda i czyta „nasze” media – zaprosimy tam ekspertów, którzy udowodnią, że korwiniści z Konfederacji to żadni wolnorynkowcy, tylko zwykli populiści epatujący hasłem niskich podatków, ale nie orientujący się w ogóle, jak gospodarka działa. Nieoczekiwanie przyczyniło się to przekonanie do medialnego „comebacku” Ryszarda Petru, którego wygrane dysputy z konfederatami cieszyły się lawiną cytowań i pompowaniem zasięgów w Internecie.

W istocie wcale nie chodzi tu o wolny rynek. Wyborcy, którzy odwrócili się od liberalnej lewicy (nawiasem mówiąc,

na razie większość z nich przeszła do Konfederacji nie od PO, ale od Hołowni), to nie są doktrynalni wielbicieli Hayeka, Friedmana ani przekonani zwolennicy nieingerencji państwa w gospodarkę. Postrzeganie ich jako takich wynikało ze skłonności salonów do idealizowania własnego elektoratu: ludzie czujący się spadkobiercami Jacka Kuronia i Bronisława Geremka nie mogli sami przed sobą przyznać, że sporą część poparcia dla ich obozu tworzą zwykli egoiści, dla których hasła wolnorynkowe, a zwłaszcza „niskie podatki” są politycznie poprawnym kryptonimem postawy darwinistycznej, pogardliwej wobec tych, którym się w życiu nie powiodło, nie dorobili się i nie mieszkają w wielkich miastach.

Ten elektorat, jak zwykle go nazywać – „antywspólnotowy”, dostrzegła i opisała jedynie część lewicy. Kto ciekaw, zachęcam do znalezienia w sieci tekstu Piotra Wójcika „Owsiak stracił tysiąka, ochrona zdrowia zyska 7 mld zł nie z WOŚP”, zamieszczony na stronach „Krytyki Politycznej”, gdzie owo „fajnopolactwo” zostało bardzo celnie i bezlitośnie zdemaskowane w swej odmowie uczestnictwa w jakiegokolwiek wspólnocie. Ta postawa – postawa „nic się nikomu ode mnie nie należy”, „jak ktoś sobie źle radzi, niech się nie dziwi, że mu źle” (sięgam po cytaty z „Baletu Nowej Klasy”, który kończył sławną operetkę „Cisi i gęgacze” Janusza Szpotańskiego nie przypadkiem, bo elektorat antywspólnotowy III RP właśnie z tamtej „nowej klasy” wyrósł) – w pierwszych dekadach III RP wiązała się mocno z obozem magdalenkowym, który głosił pragmatyzm, odrzucenie wszelkich ideologii i kult dorabiania się, a jednocześnie bronił drogi do władzy „oszołomom” z prawicy, zachowującym się tak, jakby „to społeczeństwo było wciąż jak Sienkiewiczza” (słowa przypisane w wywiadzie przez Jarosława Kaczyńskiego Antoniemu Macierewiczowi), a właśnie romantyczny patriotyzm, biało-czerwone flagi i zapędzanie pod nimi do wspólnoty narodowej było i pozostaje tym, co „fajnopolactwo” odrzuca szczególnie intensywnie. I odwrotnie, tym, co po 2007 r. pchnęło je do Tuska, nie była żadna – jak wmawiało sobie michnikowe pięknoduchostwo – troska o niby-zagrożoną demokrację, tylko po raz pierwszy w III RP tak jawnie głoszone cwaniactwo: doimy miliony

■ z Europy, nie podsakujemy Niemcom, bo „pokorne ciele” może ssać więcej, nie droczymy się z Ruskimi, bo to drażni Niemców, żadne tam „wartości”, żadna jakaś niepodległość, nie róbmy polityki, budujmy aquaparki i stadiony.

Widząc teraz Tuska pozującego na katolika, owijającego się w biało-czerwone flagi, antywspółnotowy elektorat czuje się zdradzony – a to rodzi emocje zrobienia na złość. Przeniesienie głosu na PiS w grę nie wchodzi, ale na „faszystów” już tak. Tym bardziej że zdrada dotyczy jeszcze jednej, zupełnie przez establishment niezauważanej sprawy.

MOMENT TĄPIŃCIA

W sondażach widać było wyraźnie moment „tąpińcia” notowań PiS: końcówka roku 2020. Był to akurat czas masowych protestów „Julek” po decyzji Trybunału Konstytucyjnego, a że wizja „kobiety się zbuntowała” pasowała do chęci salonów, bez żadnych dalszych dociekań uwierzyły one, iż to właśnie „prawa kobiet” są kluczową dla odsunięcia PiS od władzy emocją. Stąd ogromne skupienie i samego Tuska, i tefaleńców na aborcji, stąd też dziś ogromny szok, gdy badania pokazały, że Konfederacja przyciąga także młode kobiety, i to te lepiej zarabiające i wykształcone. Tego już w ogóle nie umie liberalna lewica pojąć!

A odpowiedź jest prosta: poza pewną grupą „Julek”, przerażonych wejściem we wrogą dziś dziewczynie, trudną dorosłość, które w prawie do aborcji widzą obietnicę swoistego „hamulca bezpieczeństwa”, kobiety nie traktują przerywania ciąży jako czegoś superważnego. Tak jak mężczyźni „antywspółnotowi” nie myślą, że kiedyś się zestarzeją i może zaczną potrzebować publicznej służby zdrowia i innych rzeczy, na które nie chcą dziś płacić, tak też ich rówieśnice nie drżą na myśl o „wpadce”; to naprawdę nie są już czasy Boya-Żeleńskiego. Dziś kobiety bardziej się obawiają, że każdy oblech będzie mógł się ogłosić „kobietą z penisem” i wparować im do damskiej szatni albo ubikacji, a próba wypędzenia go skończy się aresztowaniem za „transfobię”, jak to już jest na Zachodzie i jak obiecuje liberalna lewica zrobić także w Polsce.

Powiązanie trwałego „tąpińcia” sondaży PiS (z ponad 40 do ok. 35 proc.)

Konfederacja swój narodowy komponent i Brauna na tym etapie kampanii bardzo profesjonalnie ukryła

z aborcją było nadinterpretacją przypadkowej koincydencji w czasie. Może o tyle nieprzypadkowej, że rozmiary „kobiet” protestów były tak duże z powodu restrykcji covidowych – gdy otwarto kina i galerie handlowe, frekwencja się skończyła. I to właśnie owe restrykcje, a nie aborcja, odepchnęły od PiS część jego wyborców z 2019. A ponieważ PO licytowała się, że są one jeszcze niedostateczne, że jeszcze za mało lockdownów, policyjnych nalotów na firmy i prześladowania nieszczepionych (w arcygłupim tekście o „ludobójstwie Kaczyńskiego” w „Gazecie Wyborczej” Jacek Żakowski oskarżał przecież PiS, że celowo nie wprowadził przymusu szczepień, by więcej Polaków umarło), gniew spadł także na lewicowo-liberalną opozycję. Tym bardziej że przejęła ona od obozu władzy bez reszty retorykę: „Musisz się poddać restrykcjom w imię odpowiedzialności za innych!”. Chroni innych za cenę utraty zarobków i rezygnacji z klubbingu? Ostatnia rzecz, jaką cwaniacka, darwinistyczna część elektoratu PO chciała od niej słyszeć!

MACIEREWICZYZACJA

Powie ktoś teraz: owszem, Tusk, owijając się dla celów wyborczych w biel i czerwień, a zarazem udając lewicowca („mieszkanie prawem”, „prawa kobiet” etc.), poszedł wbrew tym antypatriotycznym, antywspółnotowym emocjom, zdradził swych wiernych wyborców z czasów, gdy rządził – ale przecież Konfederacja to nie tylko korwiniści i niskie podatki, lecz także narodowy, no i król katolicko-narodowego „oszołomstwa”, Grzegorz Braun! W istocie, zakrawa to na sprzeczność. Jednak Konfederacja Brauna i swój narodowy komponent na tym etapie kampanii bardzo profesjonalnie ukryła. Pozwoliłem to sobie nazwać ich „macierewiczycją”, przez analogię do tego, jak PiS umiejętnie ukrył w 2015 r. późniejszego szefa Podkomisji Smoleńskiej, w taki sposób,

by jego zwolennicy nie tracili poczucia, że działając w ramach sojuszu, chwilowo ich nieeksponującego, osiągną więcej niż osobno, a zarazem gotowi byli dla dobra tego sojuszu nie pchać się na front, by nie odstraszać „nieuświadomionych”. Proszę, kto ciekaw, przesłuchać w sieci wystąpienie Grzegorza Brauna na konwencji Konfederacji, bodaj najbardziej tam okłaskiwane. Powiedział on tam wszystko, co chcieli usłyszeć radykałowie, a tak, że nawet TVN24 nie miał się czego uczyć.

Polityka to zawsze gra na wielu fortecianach, a sztuka budowania wyniku wyborczego polega na przyciąganiu różnych, często niepasujących do siebie albo nawet wrogich sobie grup. Wspomniane już badanie, wskazujące, że ponad 60 proc. obecnych wyborców Konfederacji jest wrogiem PiS, świadczy, że na razie to „korwinistyczna” część Konfederacji skutecznie przyciąga wyborców anty-PiS, głównych wspomnianych „antywspółnotowców”, zawiedzionych formacjami lewicowo-liberalnymi i pragnących je ukarać. Jednak także w elektoracie PiS aż 16 proc. przyznało ankieterom, że nie wyklucza przeniesienia głosu na Konfederację – i tu jest właśnie rola narodowców i zwolenników Brauna. Po nader niesatysfakcjonującym dla Polaków zachowaniu władz Ukrainy w rocznicę rzezi wołyńskich, po sondażach pokazujących narastające rozczarowanie Polaków „niewdzięcznością” Ukraińców można uznać, że Konfederacja, która tak, jak była jedyną partią „antyszczepionkową”, tak jako jedyna konsekwentnie głosiła dystans do ogólnego ukraińcentyzmu, niebawem na szeroką skalę zacznie pozyskiwać wyborców także od PiS. Sondaże nie podają, z jakich pozycji chcą poprzeć daną partię ankietowani, informują tylko, ilu chce, więc podtrzymany przez to „efekt kuli śnieżnej” zadziała po obu stronach.

Tym bardziej że i PO, i PiS wydają się równie bezradne. Media lewicowo-liberalne nie potrafią wymyślić niczego innego niż zojczydanie Konfederacji tymi samymi metodami – „faszyści”, biją dzieci i kobiety etc. – które od lat stosują wobec PiS. PiS nie potrafi wyjść poza sugerowanie Konfederacji prorosyjskości. Jedno i drugie wyborców skłonnych przenieść głos na Konfederację raczej nie przekona.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



„Rodzina 800+” Busy informacyjne i pikniki w każdym województwie

**W trasę ruszyły busy informacyjne, w których rodzice mogą dowiedzieć się więcej o zmianach w programie „Rodzina 500+”. To przede wszystkim podniesienie wysokości świadczenia wychowawczego do 800 zł.
– W najbliższych tygodniach w każdym województwie będą odbywały się pikniki z dedykowanymi programowi punktami informacyjnymi. Pierwsze wydarzenia już za nami, towarzyszyły im wyjątkowa atmosfera i wspaniała zabawa – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg**

Od przyszłego roku wysokość świadczenia wychowawczego w ramach programu „Rodzina 500+” wzrośnie z 500 zł do 800 zł miesięcznie. Sejm przyjął ustawę w tej sprawie.

– Program „Rodzina 500+” zrewolucjonizował politykę społeczną państwa. Dzisiaj stawiamy kolejny krok w kierunku lepszej przyszłości naszych dzieci, podnosząc wysokość świadczenia do 800 zł. To większe bezpieczeństwo finansowe, lepsze perspektywy i możliwości. To najlepsza inwestycja – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

Program „Rodzina 500+” to już przeszło 230 mld zł dla rodzin w Polsce.

Każdego miesiąca ze wsparcia korzysta 7 mld dzieci.

PIKNIKI RODZINNE W KAŻDYM WOJEWÓDZTWIE

W związku ze zmianami w programie „Rodzina 500+” przez całe wakacje w każdym województwie odbywać się będą pikniki rodzinne. Pierwsze już się odbyły. Podczas poszczególnych wydarzeń w wyznaczonych punktach jest możliwość zasięgnięcia informacji na temat programu i samego świadczenia wychowawczego.

Wkrótce każdy powiat w kraju odwiedzą z kolei dedykowane busy, w których będzie można dowiedzieć się więcej o no-

wej odsłonie programu i jego zasadach. Pierwsze z nich już ruszyły w trasę.

RODZICE NA RYNKU PRACY

Zależy nam, by rodzinom w Polsce żyło się bezpiecznie, by rodzice mogli realizować się zawodowo. Rolą państwa jest wspieranie ich w tej kwestii.

– Dlatego zmieniamy przepisy, wprowadzamy kolejne regulacje chroniące pracujących rodziców, wydłużamy urlopy rodzicielskie, wprowadziliśmy pracę zdalną i dyrektywy unijne zapewniające m.in. większą równość na rynku pracy. Dlatego przeznaczamy coraz większe środki na tworzenie nowych miejsc opieki nad najmłodszymi dziećmi – mówi minister Maląg.

W ciągu ostatnich ośmiu lat liczba miejsc opieki nad dziećmi do lat trzech w całym kraju niemal potroiła się z 84 tys. w 2015 r. do 232 tys. w roku 2023.

JESZCZE WIĘCEJ MIEJSC OPIEKI NAD NAJMŁODSZYMI DZIEĆMI

Dzięki zwiększeniu budżetu programu „Maluch+” do 5,5 mld zł tych miejsc będzie jeszcze więcej. W ramach zakończonego 19 lutego br. naboru wojewodowie będą podpisywać umowy na utworzenie w ramach programu „Maluch+” blisko 80 tys. miejsc opieki, w tym ok. 38 tys. miejsc opieki przez gminy. Blisko 40 proc. tych umów dotyczy tzw. białych plam, czyli obszarów, na których obecnie brakuje miejsc w instytucjach opieki. Tym samym liczba „białych plam” zmniejszy się z 1105 do 683.

Na początku lipca br. uruchomiono nabór stały do programu.

– Chcemy, by wszystkie środki były przeznaczone właśnie na tworzenie nowych miejsc w miastach i miasteczkach w całej Polsce. Chcemy likwidować białe plamy, w których rodzice nie mogą liczyć na żłobek czy klub dziecięcy – podkreśla minister Marlena Maląg.

DOBRO RODZIN NA PIERWSZYM MIEJSCU

– Wszystkie nasze działania podyktowane są dobrem polskich rodzin. Wszystkich zainteresowanych gorąco zapraszam do uczestnictwa w organizowanych w te wakacje w całej Polsce piknikach rodzinnych, podczas których będzie możliwość zadania pytań i dowiedzenia się więcej na temat zmian w programie „Rodzina 500+” – zachęca minister rodziny Marlena Maląg.



Z Krzysztofem Cugowskim,
założycielem i wokalistą Budki Suflera,
byłym senatorem PiS
rozmawia Ryszard Gromadzki

Na politykę mnie nikt nie namówi

RYSZARD GROMADZKI: Czy polityka to właściwe miejsce dla artysty? Chyba trudno o lepszego adresata tego pytania niż pan – gwiazda polskiego rocka i były senator w jednej osobie.

KRZYSZTOF CUGOWSKI: Nie ukrywam, że w tej chwili chyba nikt by mnie na coś takiego nie namówił. Nie ma takiego sposobu. Prawie 20 lat temu, w 2005 r., kiedy startowałem w wyborach do Senatu, wszystko w polskiej polityce odbywało się jeszcze w miarę normalnie i stosunki między politykami były normalne. Oczywiście zdarzali się różni szaleńcy, ale byli oni stosunkowo nieliczni. Reszta to byli rozsądni ludzie, którzy potrafili ze sobą rozmawiać. To, co się teraz dzieje, trudno mi nawet nazwać. Poziom tzw. debaty politycznej jest po prostu katastrofalny. Moje zaangażowanie w politykę miało

miejsce wtedy, kiedy można mnie było jeszcze na to namówić, przekonać argumentami. Teraz mam to z głowy. Jestem szczęśliwym człowiekiem, że polityka nie zastała mnie w takim stanie, w jakim jest obecnie. Nie oglądam polityków w telewizji. Słucham tylko i czytam komentarze, żeby się nie denerwować.

Jednym słowem, zachowuje pan zdrowy dystans...

Nie można inaczej. W polskiej polityce jest obecnie tyle szaleństwa, że tylko zachowując wobec niej bezpieczny dystans, człowiek może jeszcze spać spokojnie.

Obserwując naszą scenę polityczną, można skonstatować, że kapitał rozpoznawalności nawet wzmocniony osobistą charyzmą, który artyści

wnoszą do polityki, nie wystarczy, żeby odnieść w niej sukces. Losy Pawła Kukiza i jego ruchu wydają się tego wymownym przykładem. Kukiz, który wszedł do polityki z antysystemowymi hasłami na sztandarach, finalnie został przez ten system „zmielony”...

Pewnie tak, ale to był też jego wybór. Kukiz próbował działać w naszej polityce w sposób nazwijmy to „internacjonalny”. To nie mogło się udać, bo okazało się, że nasza scena zdominowana jest przez walkę plemienną. Albo jest się wśród Tutsi, albo wśród Hutu, nie ma trzeciej możliwości, jak mu się wydawało. W swoim czasie Kukiz miał ogromny potencjał. Być może gdyby inaczej to poprowadził, efekt byłby inny, a tak, zgadzam się z panem, został zmielony przez system.



FOT. KAROL PORWICH / EAST NEWS

Jestem przerażony naszą rzeczywistością polityczną. Liczy się tylko wzajemne okładanie się łomami

to walka na śmierć i życie, a przecież to tylko polityka.

Z czego pana zdaniem bierze się lewicowe odchylenie większości artystów, także rockmanów?

Pod tym względem, oczywiście, nasza branża jest taka sama jak wszędzie. Jeszcze za czasów prezydentury Ronalda Reagana, będąc w Los Angeles, gościłem często w Hollywood u dość znanego scenarzysty. Kiedyś w trakcie rozmowy powiedziałem, że nie mieliście chyba tak dobrego prezydenta jak Reagan. Powiedziałem to z pełnym przekonaniem, bo cały czas uważam, że Reagan ma ogromne zasługi w oszukaniu Związku Sowieckiego. „Gwiezdne wojny” Reagana pogrążyły Sowietów, on ich skutecznie oszukał. To był rasowy polityk, który – jak wiadomo – z zawodu był aktorem, a nie zawodowym politykiem. Kiedy to powiedziałem, to mój gospodarz o mało nie wyrzucił mnie z domu. On mówił o Reaganiu per „faszysta”. Wielu ludzi reprezentujących zawody artystyczne jest wybitnymi aktorami, muzykami czy malarzami, a w sferze polityki, pomijając nawet ich pełne prawo do własnego jej odbioru, uzewnętrzniają swoje poglądy w sposób katastrofalny. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje, co jest tego przyczyną, bo nie ma żadnych merytorycznych powodów, dla których np. branża muzyczna miałaby być lewicowa. Część z działających w niej ludzi przeżyła PRL i doskonale wie, jak ten PRL wyglądał. Nie mam zamiaru tego podsumowywać, ale ci ludzie świetnie pamiętają, jak wyglądały tzw. lewicowe rządy. W końcu żyjemy w kraju, który się spod tego lewicowego, a właściwie pseudolewicowego ustroju w 1989 r. wydobył. Wydawałoby się, że to już nigdy się nie powtórzy.

Obserwujemy, jak konflikty polityczne zaostrzają się, polaryzując społeczeństwa. Dotyczy to także świata artystycznego, gdzie coraz częściej też „idzie na noże”. Niedawno w USA głośny był

Plemienność, o której pan wspominał, brak myślenia w kategoriach racji stanu, deficyt rzetelnej debaty to największe obciążenia polskiej polityki?

Wie pan, ja nigdy wcześniej nie zakładałem, że dojdzie to do takiego stanu, jaki mamy obecnie. Sądzę, że nawet pisarze science fiction by tego nie wymyślili. Jestem przerażony rzeczywistością polityczną, jaką mamy. Liczy się tylko wzajemne okładanie się łomami i obrzucanie inwektywami. Chociaż, muszę przyznać, że jeszcze w Sejmie u nas się nie bili, co – jak wiemy – zdarzało się nawet w Izbie Gmin, nie wspominając o krajach o krótszej niż brytyjska tradycji demokratycznej. Więc jeszcze nie doszliśmy do ściany. Kiedy w Sejmie zaczną się bić, będzie tak jak gdzie

indziej na świecie i na pewno będziemy Europejczykami.

Jakie ma pan obecnie poglądy polityczne? W 2005 r. został pan wybrany do Senatu jako kandydat PiS. W wyborach 2015 r. startował pan już pod szyldem własnego komitetu wyborczego.

Wie pan, jak to jest, kiedy się człowiekowi coś wydaje, nawet jak ma dużo lat. Ale w końcu dorasta i dochodzi do przekonania, że to tylko zawracanie głowy. Nie zmieniam swoich poglądów politycznych. W międzyczasie zmieniły się większość rządowa i opozycja, kierunek tego wszystkiego jest dla mnie trudny do zrozumienia. Albo ja się nie znam, albo się nie nadaję. Absolutnie jestem przekonany, że tak nie może wyglądać dyskurs polityczny, bo to nie jest żaden dyskurs,

konflikt pomiędzy legendarnym rockmanem Neilem Youngiem a konserwatywnym komentatorem Joe Roganem. Young zarzeknął się, że jego piosenki nie będą dostępne na platformie Spotify dopóty, dopóki ta będzie udostępniała podcast Rogana.

Mam bliską rodzinę w Stanach. I tak jak wcześniej polityka w tym kraju niewielu obchodziła. Byłem tam wielokrotnie i mogę powiedzieć, że większość Amerykanów nie wiedziała, jak nazywa się prezydent Stanów Zjednoczonych. To się w sposób diametralny zmieniło. W tej chwili mamy tam podobny podział do tego, jaki mamy w Polsce. Równie ostry. To jakieś szaleństwo ogólnoswiatowe. Nie jestem zwolennikiem teorii spiskowych, ale przypadków nie ma. Nie wiem, czy za tym powszechnym zaostreniem konfliktów politycznych ktoś nie stoi.

Ktoś, kto w tym kotle miesza... Podsyca uprzedzenia.

Nie rozumiem tego. Lewicowo-liberalny mainstream stale mówi o demokracji. A przecież demokracja jest wielością poglądów. Demokracja nie polega na tym, że ci, którzy nas wyznają, są fantastyczni i wtedy jest demokracja, a ci, którzy są po drugiej stronie, to już nie jest demokracja. Patrzę na to z przerażeniem. Uważam, że każdy człowiek ma prawo do swojego światopoglądu. Nie przeszkadzają mi homoseksualiści. Mam zresztą wśród nich bliskich przyjaciół. Ale nie zgadzam się na porządek, w którym jedna grupa domaga się przywilejów, a wszyscy inni, którzy tych przywilejów nie chcą jej dostarczyć, są wrogami. Trudno mi to zaakceptować. Mam tyle lat, ile mam, i trudno. Mam nadzieję, że dożyję ich w spokoju.

Krzysztof Cugowski jest artystą spełnionym czy wciąż ciągnie wilka na scenę i do studia nagraniowego?

Jest i artystą, i człowiekiem spełnionym rodzinnie. Niczego mi nie brakuje. Ale dopóki nie wszystko zrobiłem, dopóty wydaje mi się, że żyję i że coś w moim życiu artystycznym też się dzieje. Jestem w trakcie kończenia płyty, która powstała dość długo, ale jestem na finiszu.

To solowy projekt czy wspierali pana synowie?

Nie. Z synami nie współpracuję już od pięciu lat. Od pięciu lat mam zespół, który sam nazwałem Zespołem Mi-

Lewicowo-liberalny mainstream stale mówi o demokracji. A przecież demokracja jest wielością poglądów

strzów, bo grają w nim najwybitniejsi muzycy, którzy są w Polsce. Nagraliśmy już wspólnie jedną płytę wspominkową, która jest retrospekcją moich 50 lat na scenie. Płyta, nad którą teraz pracujemy, na pewno ukaże się jeszcze w tym roku. Nie wiem, czy będzie to już po wakacjach czy na święta. To zależy od wydawcy.

Rozdział pod nazwą Budka Suflera jest już definitywnie zamknięty? Fanom, dla których jest pan symbolem i pierwszym frontmanem zespołu, pewnie trudno się z tym pogodzić?

Cóż, byłem też założycielem Budki Suflera. Założyłem zespół w swoim domu przy ulicy Grażyny w Lublinie. To była przygoda, która zaczęła się od zabawy. Pierwszy skład Budki Suflera składał się ze studentów pierwszych lat różnych wydziałów lubelskich uczelni. Perkusista był na polonistycę.

A wokalista na prawie...

Tak, to prawda. Spotykaliśmy się raz w tygodniu. To była dobra zabawa.

Co was nakręcało? Klimat epoki, w której miał miejsce bezprecedensowy rozkwit rocka? Beatlesi, Stonesi?

Byliśmy zespołem blues-rockowym. Nie mieliśmy nic wspólnego z tym, co działo się wtedy na mainstreamowym rynku w Polsce, gdzie ton nadawały inne zespoły, inne inspiracje. Nas, ten zestaw ludzi, który spotkał się w zespole, interesowała muzyka bluesowa, amerykańska, murzyńska, choć dostęp do niej był utrudniony. Nie będę opowiadał, czego w PRL nie było, bo nie było niczego. Nawet patek do perkusji nie było.

Skoro blues, to pewnie słuchaliście Johna Mayalla i jego Bluesbreakers...

Zgadza się. Był John Mayall, potem zespoły Free i Bad Company. Ta muzyka i ci muzycy pozostali do dziś w sercu pomimo tego, że większość z nich już odeszła.

Wspomnieliśmy Neila Younga. Jest on autorem rockowego hymnu, w którym śpiewa, że rock and roll nigdy nie umrze. Wydaje się jednak, że dziś rock jest martwy. Wszystko, co definiowało ten gatunek, od Presleya do Nirvany, to już przeszłość...

W Polsce muzyki rockowej można posłuchać w radiu tylko w nocy, bo stacje mają obowiązek puszczenia różnej polskiej muzyki, więc żeby procenty się zgadzały, to po północy można usłyszeć młodą polską muzykę rockową. Ale to tzw. nisza. Ja wyszedłem z sytuacji, kiedy muzyka rockowa była mainstreamem, wtedy to był główny nurt muzyki rozrywkowej, a dożyłem czasów, kiedy rock jest niszą. Cóż, tak to wygląda i tego pewnie nie da się zmienić. Świat się zmienia, wszystko wokół nas się zmienia, muzyka podobnie, czy mi się to podoba czy nie. Nie ukrywam, że nie podoba mi się to, ale to nic nie znaczy. Pokolenie, które odchodzi, nigdy nie jest w stanie zaakceptować rzeczywistości, która je otacza pod koniec życia. Dobrze pamiętam, jak moi rodzice patrzyli na mnie jak na zjawę z Marsa, widząc to, co robię, czego słucham.

Ma pan żal do kolegów z Budki Suflera, że pomimo oficjalnego zakończenia działalności zespołu kontynuują występy pod tym szyldem?

Nie mam tam kolegów. Tam jest jeden człowiek, który brał udział w zespole Budka Suflera, perkusista. To jest niestety trend ogólnoswiatowy. Niedawno w Lublinie występował zespół Atomic Rooster, każdy, kto zna muzykę rockową, doskonale wie, że ten zespół opierał się na wokaliście Chrisie Farlowe, który uważany był za jednego z największych brytyjskich wokalistów rockowych. Na występie w Lublinie z oryginalnego składu zespołu na scenie był tylko jeden muzyk. Tak samo dzieje się w Polsce. Są dwa zespoły Kombi, trzy zespoły De Mono, reaktywowany został zespół Maanam. Miałem nadzieję, że może z tego szaleństwa wyłamię się Perfect z powodu kłopotów zdrowotnych Grzesia Markowskiego. Jednak dwóch kolegów z Perfectu doszło do wniosku, że będą to ciągnąć dalej. Trudno. Uważam to za oszukiwanie ludzi. W sprawie Budki Suflera powiedziałem już wszystko. Ocena należy do publiczności.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LISKIEGO

PREMIERA
tomy 3-4

25.08
2023



PREMIERA
tomy 1-2

14.07
2023

ROK 1605. POLSKIE WOJSKA WKRAZAJĄ DO MOSKWY.

Oto historia straceńców, którzy wrogów liczyli dopiero po bitwie. Zabitych.

Oto historia ludzi tak szalonych, że poszli w tany z samą Śmiercią. Tak zuchwałych, że uwiedli Fortunę. Tak dumnych, że diabłu plunęli w twarz. I tak hojnych, że za przyjaciół płacili tylko krwią i życiem.

Oto historia awanturników i husarzy, którzy wstrząsnęli murami Moskwy i sięgnęli po koronę carów.

Cykl „Orły na Kremlu” to opowieść o zderzeniu dwóch światów – wyrosłej na gruncie wolności szlacheckiej Rzeczypospolitej i ksenofobicznej Moskwy, odgradzonej od Europy murem prawosławia. Opowieść o fenomenie husarii i wojska polskiego, zwyciężających na mroźnych stepach i lodowych pustkowiach Rosji, gdzie wieki później klęskę poniosły armie Napoleona i III Rzeszy.



Marsz Ruchu Autonomii Śląska, 15 lipca, Katowice

FOT. MICHAŁ DUBIEL/REPORTER

Po raz 17. ulicami Katowic przeszedł Marsz Autonomii. Śląskie organizacje regionalne, autonomiści oraz śląscy politycy żądali uznania Ślązaków za mniejszość etniczną i równocześnie ustanowienia śląskiej godki jako języka regionalnego – taki komunikat można było przeczytać w niektórych mediach w związku z kolejnym marszem organizowanym przez Ruch Autonomii Śląska.

Dla bystrego obserwatora tegoroczny Marsz Autonomii różnił się od poprzednich. Wśród organizacji, które oficjalnie do niego w tym roku przystąpiły, była m.in. mniejszość niemiecka. Nietrudno zauważyć – a myślę, że jest to najciekawszym aspektem manifestacji politycznej „regionalistów”, nie tylko jeśli chodzi o sam marsz – coraz większego udziału polityków lewicy, by nie rzec – skrajnej lewicy, która manifestuje na swych sztandarach hasła „obrony mniejszości seksualnych” czy też walkę z Kościołem katolickim.

Czołowym działaczem lewicy ze Śląska, aktywnie zaangażowanym w „śląski regionalizm”, jest europarlamentarzysta partii Wiosna, Łukasz Kohut, który w swojej karierze politycznej przeszedł od Ruchu Palikota poprzez Twój Ruch

Sojusznicy śląskich „regionalistów”



Andrzej Krzystyniak

Politycy lewicy doskonale wpasowali się w retorykę stosowaną przez Ruch Autonomii Śląska, którego członkowie nie kryją swej, delikatnie mówiąc, niechęci do Polski

i Wiosnę do obecnej Nowej Lewicy. Kohut nie kryje swych poglądów, potrafiąc sprawy obyczajowe łączyć z „regionalizmem” i m.in. porównując Ślązaków do mniejszości seksualnych. Jego zdaniem mogliśmy poznać, dzięki opublikowanym w 2019 r. słowom: „Ślązacy są jak LGBT,

niedostrzegani przez państwo polskie, zostawieni gdzieś na pograniczu”.

Nie to jednak jest najciekawsze i nie to stanowi najistotniejszy aspekt łączący polityków lewicy z „regionalistami”, domagającymi się uniezależnienia ich „śląskiego hajmatu od Polski”, Polski,

która – ich zdaniem – zmarnowała śląski potencjał, a tylko owo uniezależnienie może ich zdaniem rozwinąć cywilizacyjnie uwsteczniiony region.

Politycy lewicy doskonale wpasowali się w retorykę stosowaną przez Ruch Autonomii Śląska, którego członkowie nie kryją swej, delikatnie mówiąc, niechęci do Polski, często określanej mianem okupanta Śląska. Przewodniczący RAŚ Jerzy Gorzelik nigdy nie ukrywał swej pogardy wobec polskości, powstań śląskich, nazywając powstańców „terrorystami”. Z kolei polską kulturę na Śląsku ocenia jako szabrownictwo, a wszystko to w reakcji na zapowiedź planów postawienia w Opolu pomników Powstań Śląskich oraz Rotmistrza Witolda Pileckiego. „Co następnego »pomnik szabrownika« jako pioniera polskiej kultury w regionie?» – konkludował Gorzelik na swoim profilu na Facebooku.

ODSZKODOWANIA DLA NIEMCÓW?

Obecny na ostatnim marszu RAŚ polityk lewicy ze Śląska, Maciej Kopiec, w sierpniu ubiegłego roku, w reakcji na żądania reparacji od Niemiec przez państwo polskie, na Twitterze opublikował swoje jednoznaczne stanowisko: „Mieszkańcy ziem utraconych przez Niemcy po II Wojnie Światowej powinni domagać się od państwa polskiego reparacji za zniszczony przemysł, infrastrukturę i zabytki architektury”. Poseł Kopiec tłumaczył później swój wpis „troską o polskich mieszkańców, zaniedbanych ziem zachodnich”. Nie był to, jak się okazuje, głos odosobniony przedstawiciela lewicy, dotyczący „wypłacenia Niemcom odszkodowań za zmarnowanie ziem utraconych na rzecz Polski”. W marcu tego roku, w jednym z programów publicystycznych podczas dyskusji na temat wypłacenia Polsce reparacji od Niemiec, posłanka Partii Razem, Paulina Matysiak, stwierdziła, że państwo polskie „powinno być otwarte na uczciwe postawienie i załatwienie sprawy przejętego przez Polskę z tzw. Ziemi Odzyskanych”. Dla czołowych działaczy RAŚ to nic nowego, poglądy wspomnianych posłów lewicy doskonale wpasowują się w „regionalizm” domagający się uniezależnienia od „ciemiejącej ich Polski”. Każda okazja jest dobra, by oskarżać Polskę za „zniszczenie Śląska, Ziemi Odzyskanych”, jak również

obarczeniem winą za rzekome zbrodnie. Łukasz Kohut 11 lipca, w 80. rocznicę ludobójstwa na Wołyniu, oskarżył Polskę o wysiedlenia i unicestwienie dziesiątek tysięcy ludzi. „Cześć wszystkim ofiarom zbrodni ludobójstwa na Wołyniu. Ta rzeź musi w końcu zostać upamiętniona, bo przyjaźń polsko-ukraińska jest silniejsza niż dawna nienawiść. Ale upominam się także o ofiary innej zbrodni: »tragedia górnośląska« nie może zostać zapomniana, musi trafić do polskich podręczników, bo Polska jak każdy kraj ma swoje czarne karty w historii – dziesiątki tysięcy ludzi starto na proch, a setki tysięcy wypędzono – na wschód i zachód” – napisał na Twitterze.

PIENIĄDZE W WALCE

Oskarżanie Polski i Polaków o „starcie na proch” dziesiątek tysięcy ludzi jest niebywałą arogancją bezczelnością, na dodatek w dniu rocznicy ludobójstwa popełnionego na Polakach. Znamienne, że pochodzi od osoby wyrastającej dziś na lidera ruchu „regionalistów”, domagających się od Polski „uznania i niezależności dla Śląska”. Wspomniana niezależność może zostać zrealizowana w inny, myślę, że najgroźniejszy sposób – bezpośredniego finansowania regionów, w tym Śląska,

„Regionaliści” nie tracą swoich wpływów, dodatkowo zyskują sojuszników po lewej, skrajnej stronie polityki

przez Unię Europejską. Zapędy takowe przybrały na sile po zmianie władzy w Sejmiku Województwa Śląskiego. Byłaby to doskonała okazja do pozbawienia Polski kontroli nad tym obszarem, zamieszkanym przez grupę ludności nieczującej lojalności względem państwa polskiego. Wielu zapewne podziela pogląd europosła Kohuta o „starcu przez Polskę na proch dziesiątek tysięcy ludzi i wypędzeniu setek tysięcy”.

Większość komentatorów lekceważy Marsz Autonomii, samą działalność i postulaty głoszone przez autonomistów, tłumacząc aktywność polityczną „regionalistów” jako znikomą i cieszącą się niewiel-

kim poparciem społecznym. Dowodem tego ma być brak przedstawicieli w organach samorządu wojewódzkiego, spowodowany klęską w ostatnich wyborach. Jednak są to jedynie pozory. Środowiska „regionalistów” okazują się zadziwiająco wpływowe w wielu kwestiach.

Po utracie władzy przez Prawo i Sprawiedliwość w Sejmiku Województwa Śląskiego marszałek Jakub Chęłstowski zapowiedział rewizję dotychczasowych decyzji dotyczących polityki historycznej województwa. W ślad za tym 13 lipca Zarząd Województwa Śląskiego z inicjatywy radnych Platformy Obywatelskiej podjął uchwałę o zmianie nazwy Regionalnego Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfańskiego na Regionalny Instytut im. Wojciecha Korfańskiego. Wycięcie nazwy „myśli polskiej” argumentowano tym, że „biorąc pod uwagę wielokulturowość Województwa Śląskiego oraz silne poczucie tożsamości etnicznej mieszkańców regionu – nazwa instytucji szczybla regionalnego winna jednoznacznie identyfikować instytucję w przestrzeni publicznej, przy jednoczesnym zagwarantowaniu kultywowania, podtrzymywania, pielęgnowania i promowania regionalnego dziedzictwa kulturowego. Zatem uzasadniona jest zmiana nazwy instytucji na: Regionalny Instytut Kultury im. Wojciecha Korfańskiego”. Polskość w nazwie instytutu widać wykluczała pielęgnowanie i promowanie regionalnego dziedzictwa kulturowego.

Dodajmy, że to z inicjatywy marszałka Chęłstowskiego w 2019 r. przemianowano Regionalny Instytut Kultury w Instytut Myśli Polskiej im. Korfańskiego. Można więc zauważyć, że propolski zapał marszałka Chęłstowskiego nie trwał zbyt długo i zakończył się wraz ze zmianą barw partyjnych. Sądzę, że to dopiero pierwszy krok.

„Regionaliści”, jak widać, nie tracą swych wpływów, dodatkowo zyskują sojuszników po lewej, skrajnej stronie polityki. Patrząc na wypowiedzi piewców „wielokulturowości” Śląska, trudno być optymistą, widząc, w jaki sposób środowiska „regionalistów” oraz politycy popierający ich działania chcą „pielęgnować regionalne dziedzictwo kulturowe”. Wielu może przy tej okazji zadać pytanie: Czyje naprawdę będzie to dziedzictwo, skoro nie ma w nim miejsca na polskość?



Łukasz Zboralski

Trzy lata bezwzględного więzienia za próbę wyszarpania tęczowej torby na paradzie LGBT. Taki wyrok trudno obronić, zwłaszcza na tle kar za poważniejsze przestępstwa. Czy sędziowie właśnie marnują okazję, by pokazać, że sami potrafią naprawiać błędy systemu?

Nie ma chyba lepszego obrazu społecznej niezgody na taką wysokość kary, jak reakcja na pierwszą informację stowarzyszenia Ordo Iuris dotyczącą skazania 21-letniej Mariki (i jej 17-letniego wówczas znajomego) przez Sąd Rejonowy Poznań-Stare Miasto na trzy lata bezwzględного więzienia za nieudaną próbę wyszarpania kobiecie tęczowej torby. Część osób natychmiast uznała, że to skandal. Ci, którzy – łagodnie mówiąc – nie są zwolennikami PiS, próbowali podważać wiarygodność Ordo Iuris. Pisali w Internecie, by czekać na więcej faktów, że to może być manipulacja. Zatem nawet przeciwnikom prawicowej władzy trudno było sobie wyobrazić, by taki wyrok mógł zapaść. Próbowali szukać drugiego dna. Jego jednak nie było. Fakty okazały się nieubłagane. I od nich zaczniemy.

SZARPANIE, PALEC, WIĘZIENIE

Sprawa, która zakończyła się sądowym wyrokiem w sierpniu 2021 r., dotyczy wydarzeń z 10 sierpnia 2020 r. Wówczas grupa ludzi – w tym Marika i jej 17-letni kompan – postanowiła pojechać do Poznania na Marsz Równości. Jechali tam z konkretnym zamiarem, chcieli wyrazić sprzeciw wobec ludzi propagujących LGBT.

Podczas marszu zauważyli dwie kobiety, które na ulicy Ratajczaka weszły do sklepu. Jedna z nich miała torbę z tęczowym symbolem LGBT. Gdy kobiety wyszły na ulicę, trzech mężczyzn w maskach i Marika próbowało wyrwać tęczową torbę. Krzyczeli do kobiet „lesby” i „oddajcie tę szmatę”. Właścicielka torby nie chciała jej puścić (od szarpania doznała m.in. skręcenia stawu w palcu), a napast-



Sprawa Mariki

nicy widząc, że im się nie uda, uciekli. Jak przyznała sama poszkodowana, napastnicy nie grozili żadnymi konsekwencjami w razie niepuszczenia torby.

Takiego zajścia nie wolno było zbagatelizować. I słusznie, że zajęły się tym organa ścigania, a potem sąd. Nikt nie chciałby zostać otoczony przez ludzi, którym nie podoba się jego torba z jakimkolwiek napisem czy koszulka z zespołem muzycznym i przeżyć próby poniżania jego poglądów oraz odebrania mu przedmiotu.

Jednak wyrok, który zapadł, szokuje. Siedemnastolatek przyznał się do próby wyszarpania torby, tak samo jak Marika, która też na sali sądowej poszkodowaną przeprosiła (przeprosiny nie zostały przyjęte). Oboje byli niekarani. Nawet przy obciążających okolicznościach – nie ujawnili danych dwóch pozostałych napastników

– trudno byłoby się spodziewać, że zostaną wsadzeni do więzienia, i to aż na trzy lata. A jednak tak zdecydował sąd.

Uznano, że niekaralności młodych ludzi nie można przecenić w obliczu tego, iż Marika „w dalszym ciągu wyraża poglądy przesyczone nienawiścią wobec mniejszości, w tym mniejszości seksualnych”. Zdaniem sędziego Marika sprawiała wrażenie osoby, która „czerpie satysfakcję z tego, że znajduje się na ławie oskarżonych”, bo „przez cały czas się uśmiechała”. Sąd zauważył też, że oskarżeni „przybierają odznaki organizacji nacjonalistycznych takich jak Młodzież Wszechpolska czy jeszcze bardziej radykalne, głoszące poglądy totalitarne, w tym faszystowskie i nazistowskie Obóz Narodowo-Radykalny i Front Oczyszczenia Narodowego”.



Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro zarządził przerwę w odbywaniu kary przez Marikę (na fotografii w tle)

FOT. MARCIN OBARA/PAP

kraju, gdy dowiedział się, że musi stawić się w więzieniu.

KONSTERNACJA I SPRZECZNOŚCI

Po nagłośnieniu sprawy przez Ordo Iuris minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro zarządził przerwę w odbywaniu kary obojga skazanych. Wrócili do domów. Tam będą czekać na ewentualne ułaskawienie przez prezydenta. Wniosek w tej sprawie wsparł ten sam sąd, który Marikę wcześniej skazał.

W środowisku prawniczym zawrzało. Ci, którzy do tej pory wciąż oskarżali Ziobrę o zaostrażanie prawa i „penalny populizm”, zostali postawieni pod ścianą. Latami przekonywali, że kary nie powinny być wysokie i że najważniejsza jest resocjalizacja. Zatem nie było im zręcznie poprzec wprost wsadzania kogoś za szarpanie torby na trzy lata za kratki. Ostatecznie schowali się za twierdzeniami, że sąd po prostu nie mógł inaczej zakwalifikować tej sprawy, jak rozbój właśnie. I tym sposobem wskazywali jako winnego sprawy ministra, ponieważ to z jego inicjatywy za rozbój nie można orzec mniej niż trzech lat więzienia, a zawieszenie kary można wyznaczać tylko przy wyrokach do roku pozbawienia wolności.

– To kłamstwo, że sąd nie mógł inaczej zdecydować w sprawie Mariki – mówi „Do Rzeczy” minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. – Gdyby nawet przyjąć, że było to usiłowanie rozboju, to Kodeks karny kwalifikuje takie sytuacje jako przypadek mniejszej wagi, zagrożony karą od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności, a nie od trzech lat do 12 lat. Błędne było uznanie, że doszło do rozboju, bo Marika – wraz z 17-letnim kolegą – nie chcieli zrabować torby, tylko zniszczyć ją z uwagi na tęczową symbolikę LGBT. Nawet pokrzywdzona przyznawała, że nie chodziło im o zawartość torby, a więc materialne aspekty. Młodzi ludzie z radykalnymi poglądami dopuścili się rzeczy nagannej. Powinni być za to ukarani. Ale z adekwatnego przepisu, a nie w oparciu o stalinowską zasadę „dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”. Przyjechali na marsz LGBT, żeby się mu sprzeciwić. Chcieli zniszczyć symbol czegoś, z czym się nie zgadzają.

Warto zaznaczyć, że minister w takiej ocenie nie jest osamotniony. O to, czy sędzia musiał stwierdzić rozbój, na Twitterze spierali się sami sędziowie i teoretycy prawa karnego (czasem spory przenosiły się

na tak abstrakcyjny wymiar, że rozważano trzy przypadki, gdy ktoś traci trzymany w dłoniach cenny wazon: ktoś rozbija go kijem – zniszczenie mienia; ktoś wyrwa i rozbija o ziemię – kradzież; wyrwa, stosując przemoc, i rozbija o ziemię – rozbój).

A przecież w tej sprawie nie chodzi jednak o niuansy prawa karnego. Chodzi o coś, co społeczeństwo odczuło samo, intuicyjnie i bardzo celnie – o zbyt drastyczną karę, nieproporcjonalną do czynu. Nikt nie miałby pewnie pretensji, gdyby młodych ludzi za takie coś skazano na ograniczenie wolności, by musieli pomagać np. w hospicjum i mieć szansę zmienić swoje nastawienie do innych (czy nie świetnym przykładem jest znana sprawa człowieka, który tak trafił do hospicjum ks. Kaczkowskiego i dziś ma udane życie rodzinne oraz dobrą restaurację?).

Wyrok ym bardziej godził w społeczne poczucie sprawiedliwości, że tak wysokiej kary więzienia do tej pory nie dostawała połowa gwałcicieli. Skazywani są na kary do dwóch lat pozbawienia wolności.

– Jest coś nieproporcjonalnego w tym, że Marikę i 17-letniego chłopaka, wcześniej niekaranych, za nieudaną próbę wyszarpania torby sąd skazuje na trzy lata bezwzględnego więzienia. Tymczasem np. w Warszawie, w sprawie napaści na kierowcę ciężarówki organizacji sprzeciwiającej się aborcji, gdzie sprawca dopuścił się pobicia tego kierowcy, m.in. uderzał go ciężkimi drzwiami samochodu oraz usiłował zabrać nie wartą 15 zł torbę, ale telefon wart 1 tys. zł, sąd umorzył postępowanie, nie widząc żadnego przestępstwa. Bo, jak uznał sąd, sprawca działał z ideowych pobudek – wskazuje minister Ziobro. – Dlatego uważam, że w sprawie Mariki zapadł drakoński polityczny wyrok.

Epilogiem był wydany w ubiegłym tygodniu wyrok wobec agresywnej opozycjonistki „Babci Kasi”, która za okładanie policjanta drzewcem tęczowej flagi otrzymała od sądu karę grzywny w wysokości 500 zł.

W sprawie Mariki nie chodzi jednak o polityczne sprzeczki. Chodzi o coś dużo ważniejszego. O to, czy sędziowie w Polsce potrafią przyznać się do błędów i czy potrafią pracować nad ich ograniczaniem w systemie. Czy może potrafią tylko zżymać się na polityków, którzy interweniują zmianami prawa wobec bierności środowiska?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Określa pan bohatera swej książki mianem „pocziwy cynik”. Dlaczego?

MARIUSZ URBANEK: To termin pożyczony od Leopolda Tyrmanda, który w „Dzienniku 1954” napisał: „Wstąpiłem też do »Przekroju«, twierdzy pocziwych cyników niewysokiego lotu”. Zarzucił redaktorom tygodnika, że za grubą forszę, którą zarabiają w służbie komunistycznej propagandy, sprowadzają z Paryża i Londynu dobre książki, płyty i modę, rozkładając komunizm od środka. Nie wiadomo więc, czy to była krytyka czy przewrotna, jak to u Tyrmanda, pochwała. Bo pieniądze wcale nie były duże, a jeśli dawało się za nie aplikować Polakom antymarksistowską szczepionkę, to tylko świetnie. Eile pomógł Polakom zachować wiarę, że kultura i sztuka nie muszą mieć wyłącznie jednego, sowieckiego oblicza.

W dziennikarstwie był uczniem Mieczysława Grydzewskiego?

Zaczynał przed wojną w „Wiadomościach Literackich”. Grydzewski stworzył najważniejsze kulturalne pismo II Rzeczypospolitej, redagując je jednoosobowo. Eile, który najpierw w redakcji tego tygodnika tylko rysował i układał quizy dla czytelników, w czym „Wiadomości” były pionierem, z czasem został nieformalnym sekretarzem tygodnika. Zastępował Grydzewskiego przez kilka tygodni lata, gdy szef wyjeżdżał do Paryża zorientować się, co nowego w kulturze piszczy. Oczywiście nie zostawiał Eilemu więcej władzy, niż było to konieczne, czyli może pół strony, czasem mniej, na jakieś superważne aktualności. Resztę przygotowywał wcześniej sam.

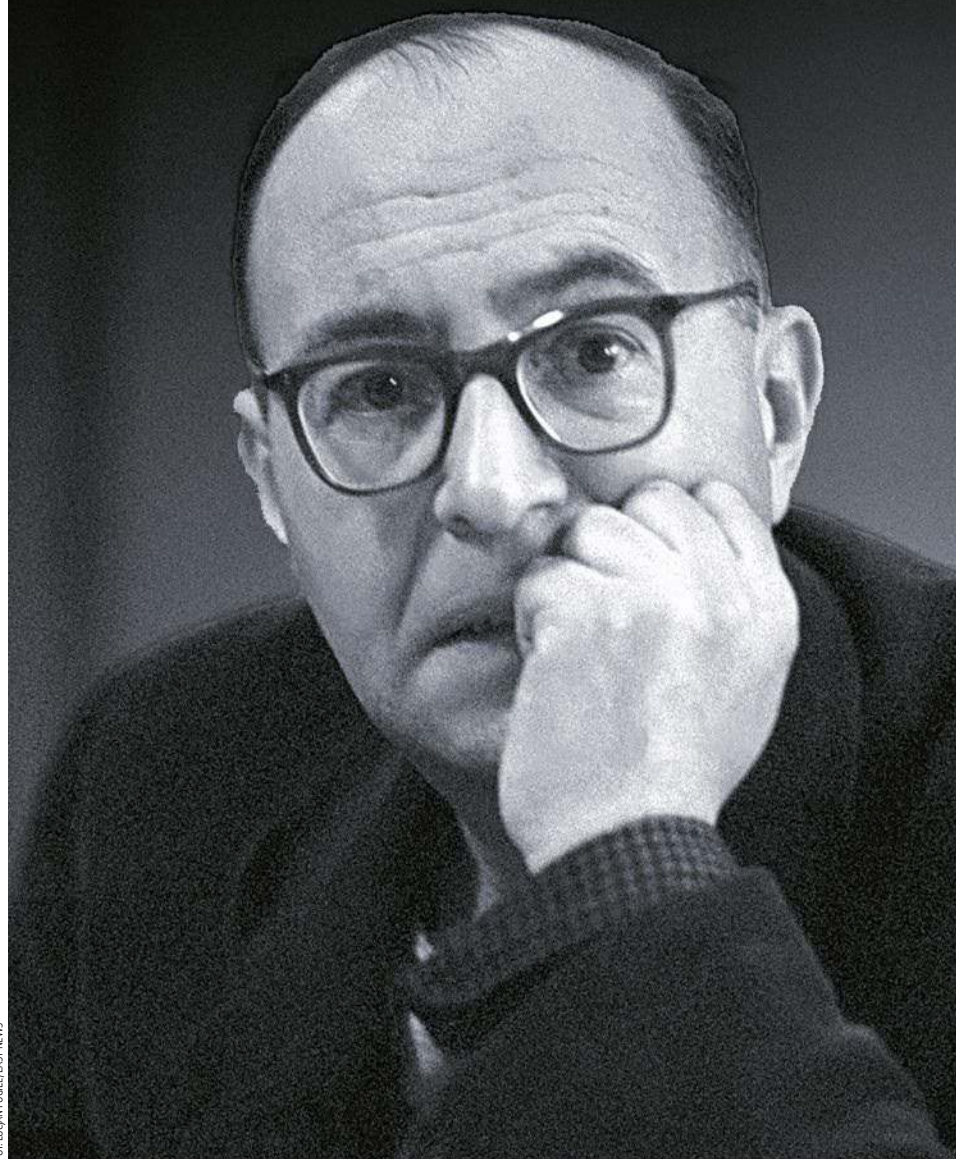
W „Przekroju” Eile naśladował swojego mentora?

Przejął styl pracy Grydzewskiego. Pewnie byłby najszczęśliwszy, robiąc pismo od początku do końca sam, ale to było niemożliwe, bo „Przekrój” od początku miał dwukrotnie, a później trzy- i czterokrotnie więcej stron od „Wiadomości”. Podobnie jak Grydzewski spędzał w redakcji po kilkanaście godzin, a w dniu wysyłki pisma do drukarni cyzelował każdą stronę do północy. To była redaktorska szkoła najwyższej próby, a „Przekrój” stanowił dzieło życia Eilego.



Z Mariuszem Urbankiem, dziennikarzem i pisarzem rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

„Przekrój” życia Mariana Eilego



FOT. LUDJAN FODOL/ISTOCK

Bohater pańskiej książki deklarował wyznanie rzymskokatolickie?

Wywodził się z rodziny żydowskiej. Zasymlowanej i mocno związanej z polskością. Wyznanie rzymskokatolickie nie było jakąś zastoną, pozwalającą uniknąć możliwych problemów: antysemityzmu w II RP i śmierci z rąk Niemców podczas drugiej wojny światowej. Informację o wyznaniu umieszczano na jego świadectwach szkolnych i dokumentach uniwersyteckich w czasie, kiedy nie było jeszcze mowy o gettach ławkowych na uczelniach czy numerus clausus dla studentów Żydów. W jego rodzinie nie wyznawano już judaizmu, ojciec był legionistą Piłsudskiego, potem oficerem Wojska Polskiego, dosłużył się rangi pułkownika.

Dlaczego mimo katolicyzmu musiał się podczas wojny ukrywać?

O tym, że jest Żydem z pochodzenia, wiedzieli wszyscy, którzy chcieli wiedzieć i mogli zrobić z tego użytek, toteż nie mógł czuć się bezpieczny. We wrześniu 1939 r. wziął udział w wojnie, był porucznikiem Wojska Polskiego, potem pracował jako scenograf teatralny w okupowanym przez Sowiec Lwowie. Kiedy miasto zajęli Niemcy, najpierw zmienił nazwisko na Kwaśniewski, czyli panieńskie nazwisko poślubionej podczas okupacji żony, a gdy uznał, że robi się niebezpiecznie, wyjechał i resztę okupacji spędził pod Radomiem, gdzie został kreślaczem w niewielkiej firmie budującej drogi.

Sanacyjny rodowód nie przeszkadzał mu w Polsce Ludowej?

Tuż po wojnie, jeśli ktoś nie strzelał do komunistów, nie zwalczał zainstalowanej przez Sowiec władzy, chciał tylko pracować, nie był traktowany jako wróg. Komuniści wiedzieli, że nie są akceptowani, musieli sfałszować najpierw referendum w 1946 r., a potem wybory do Sejmu, więc każdy z takich ludzi był dla nich na wagę złota. Andrzejewski był przeciw przed wojną pisarzem katolickim, Gałczyński współpracował z antysemickim „Prosto z Mostu”, Waldorff flirtował z faszyzmem... W ówczesnej prasie pracowali nie tylko dziennikarze z gazet sanacyjnych, lecz także endeckich.

Fotel redaktora naczelnego zawdzięcza wypadkowi Jerzego Putramenta?

Na początku miał być jedynie redaktorem ilustrowanego dodatku do ukazującego się w Krakowie „Dziennika Polskiego”, którym kierował Putrament, pisarz raczej skromnego talentu, za to dużej skłonności do komunizmu i partii. Ale został ranny, trafił do szpitala i do pisma już nie wrócił, partia „rzuciła go” na stanowisko ambasadora Polski w Szwajcarii. Eile zadbał zaś, żeby dodać do „Dziennika Polskiego” wybił się na samodzielność. Pierwszy numer „Przekroju” ukazał się już 15 kwietnia 1945 r., kiedy jeszcze trwała wojna. W Krakowie, gdyż tylko tam uchowały się maszyny pozwalające drukować kolorowe pismo.

Najważniejszą kobietą w życiu opisywanego była Janina Ipohorska?

Poznał ją we Lwowie, była szkolną koleżanką żony, lecz po wojnie to Ipohorska, czyli słynny Jan Kamyczek, redaktor rubryki „Demokratyczny savoir-vivre”, częściej towarzyszyła Eilemu. Tworzyli

Obserwowano go aż do momentu wyjazdu z Polski w roku 1968. Czyniono kolejne podchody, by skłonić go do współpracy – bez skutku

zgrany duet. Redagowali „Przekrój”, Ipohorska szybko została zastępcą redaktora naczelnego. Razem pracowali w kolejnych teatrach (Eile projektował scenografię, Ipohorska – kostiumy), wspólnie wyjeżdżali na urlopy. „Przekrojujcy” bardzo oględnie odpowiadają na pytania, czy byli parą także prywatnie. Eile nigdy nie rozwiódł się z żoną, pokazywali się nawet we troje, ale sądzą, że to Janka była naprawdę obecna w jego życiu. Zresztą tak ją traktowało w swoich raportach także SB, inwigilując przy różnych okazjach Eilego.

Bezpieka zarejestrowała go w pewnym momencie jako tajnego współpracownika.

„Przekrój” miał zbyt duży nakład – pół miliona rozchwytywanych egzemplarzy co tydzień, a niektóre numery dochodziły do miliona – żeby partia i bezpieka nie patrzyły na tygodnik

łakomym okiem. Mógł pewnie stać się narzędziem bezwzględnej indoktrynacji komunistycznej i zdechnąć nieczytany, ale Eilemu udało się – choć kosztem gorzkich kompromisów – pismo przez te rafa przeprowadzić. Został zarejestrowany w sprawie Oleny Stanis, pracownicy Instytutu Badań Jądrowych – a łatwo sobie wyobrazić, jakiej wagi była to instytucja w okresie zimnej wojny – lecz po dwóch latach bezpieka wykreśliła go z rejestru jako agenta kompletnie bezużytecznego, któremu nawet nie chciało się przychodzić na spotkania z oficerami prowadzącymi. Obserwowano go aż do momentu wyjazdu z Polski w roku 1968. Czyniono kolejne podchody, by skłonić go do współpracy – bez skutku. Konkluzja sporządzającego jego charakterystykę esbeka była jednoznaczna: „Nie ukrywa niechętnego stosunku do naszej służby”.

Dlaczego nie ukazała się książka Eilego „Czar twoich kółek”?

Napisał ją na cztery ręce z Ipohorską. On jako Salami Kożerski, pod pseudonimem, którego używał często, ona jako Paulinka Rojek. To był rok 1959, Eile przesiadł się właśnie z roweru do fiata 600 i natychmiast się w nim zakochał. Postanowił opowiedzieć w „Przekroju” o tej miłości. Zaczął – można powiedzieć – tabloidowo, bo w pierwszym odcinku opublikował 106 nazwisk aktorów, pisarzy, dziennikarzy z informacją, kto jakim autem jeździ. Czytelnicy sprzed 60 lat nie różnili się od dzisiejszych wyznawców portali plotkarskich, a takich celebryckich informacji było wtedy jak na lekarstwo. Potem pojawiły się kolejne artykuły: o problemach z częściami, serwisem itp. I zapowiedź książki, na którą autorzy zawarli już nawet umowę z wydawnictwem Iskry. Nie ukazała się jednak, ponieważ auta były w PRL dobrem rzadkiem, choć pożądanym. Nadto trąciły nieco burżuazją. Władza nie chciała drażnić proletariatu, więc najpierw nakazała przerwać cykl artykułów propagujących niemile widzianą w ustroju komunistycznym prywatną motoryzację, a następnie zakazała druku książki.

Niebagatelne są zasługi Eilego dla polskiego jazzu...

Kochał ten styl muzyczny. Z każdego zagranicznego wyjazdu przywoził płyty: ■

Armstronga, Ellingtona, Parkera i innych. W jego mieszkaniu – gdy rodził się legendarny zespół Melomani – odbywały się prywatne, półtajne, ale ściągające krakowską elitę sesje słuchania amerykańskiej, a więc z definicji antysocjalistycznej muzyki. Eile propagował, gdy tylko było można, jazz na łamach „Przekroju”. Razem z Tyrmandem i Stefanem Kisielewskim zasiadł w komitecie honorowym pierwszego festiwalu jazzowego w Sopotcie (1956), a wkrótce został nawet jurorem i wiceprezesem Krakowskiego Jazz Klubu. Był pierwszym, który zachwycił się sekstem Krzysztofa Komedy i objął go patronatem „Przekroju”. Zresztą zasług kulturalnych miał dużo więcej. To na łamach „Przekroju” po raz pierwszy zaistniała i miała nawet własną rubrykę Piwnica pod Baranami.

Co uważa pan za największe osiągnięcie opisanego?

Agnieszka Osiecka napisała o nim: „Cudotwórca. Starał się przetrwać komunizm, nie ubłociwszy kaloszy i nie przestając jeść ryby dwoma widelcami”. To była misja „Przekroju”. Zachować



MARIUSZ URBANEK
„MARIAN EILE. POCCZYWY CYNIK Z »PRZEKROJU«”
WYDAWNICTWO ISKRY

wane, zostało niewiele, bo albo wymordowali ją okupanci, albo nie wróciła z Zachodu. A Eile robił to konsekwentnie, po śmierci Gałczyńskiego zastąpił go na kilkanaście lat Sławomir Mrożek. Eile i „Przekrój” wychowywali nową polską inteligencję, w PRL nazwaną inteligencją pracującą, w odróżnieniu od przedwojennej, będącej częścią klasy wyzyskiwaczy, żerujących na wysiłku robotników i chłopów. „Przekrój” budował zdrowy snobizm czytelników, oni naprawdę chcieli dorastać

do poziomu swojego pisma i trzeba było uważać, żeby ich nie zniechęcić i nie odepchnąć. Linia dzieląca taką umiejętną edukację od odstraszaającej wielu kultury elitarnej jest zawsze bardzo cienka. Gałczyński nazwał to „cywilizacją »Przekroju«”, co wielu wyśmiewało, a to przecież największy komplement.

W funkcjonowaniu tygodnika istotną rolę odegrał oportunizm?

Tak, ale bez niego nie dałoby się „Przekroju” wydawać. Przecież to było pismo, które nie miało prawa istnieć. Nie miało odpowiednika ani w Związku

Jak rzutowała na biografię Eilego kampania antysemicka końca lat 60.?

Krzysztof Masłoń w felietonie o mojej książce napisał, że Eile to wcale nie pocziwy cynik, a raczej „cwana gapa”. Myślę, że znalazłby lepsze przykłady cwaniaków. Gdyby Eile tylko zechciał, przeprowadziłby „Przekrój” przez marzec 1968 r., zachowując posadę, ale niszcząc pismo, które stworzył. Jednak nie wytrzymał atmosfery antysemickiej nagonki, którą rozpętał w Polsce Gomułka. Nie była wymierzona bezpośrednio w niego, choć w Krakowie już w roku 1967 plotkowano, że poczta nie przyjmuje prenumerat „Przekroju” na kolejny rok. Moim zdaniem nie chciał kolejny raz płacić serwitutów, jak w latach 50. Musiał wtedy zgnać kark do samej ziemi i obiecał sobie, że nigdy więcej. Wolę takich ludzi od tych, którzy świetnie odnajdują się przy każdej politycznej pogodzie i zawsze potrafią uzasadnić swoje podłe czyny. Wyjechał – korzystając ze służbowego paszportu – do Paryża.

Tam odnalazł się plastycznie, ale do PRL jednak wrócił. Licząc na powrót do „Przekroju”?

Tak naiwny nie był. Partia nie wybaczała. Mimo stałej współpracy z „France-Soir”, gdzie codziennie umieszczał w stu procentach przekrojowe „Myśli psa Fafika”, oczywiście po francusku, nie potrafił istnieć poza Polską. Powróciwszy do Krakowa, funkcjonował na uboczu, malował, słuchał muzyki. Do „Przekroju” zaglądać nie chciał i nawet rzadko o nim mówił, choć po śmierci Janki Ipohorskiej przez jakiś czas prowadził „Demokratyczny savoir-vivre”. Bo jeśli na kogoś się obraził, to na pewno nie na Polskę, ale na komunistów. To, co powiem, zabrzmi nieco patetycznie, ale on nie chciał być Żydem na emigracji, chciał być Polakiem w Polsce.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Mimo stałej współpracy z „France-Soir”, gdzie codziennie umieszczał „Myśli psa Fafika”, nie potrafił istnieć poza Polską

podczas najazdu Hunów ze Wschodu i ich popleczników jak najwięcej kultury, wiedzy, zwykłej normalności. Temu służyło propagowanie trudnej literatury, choćby Franza Kafki, nowoczesnego malarstwa, „którego nikt nie rozumiał”, czyli Picassa, klasycznej opery, też obcej proletariotowi. A Eile wyprzedził dzisiejsze czasy kultury obrazkowej. Jerzy Waldorff streszczał libretta najśłynniejszych oper, a Antoni Uniechowski genialną kreską je ilustrował. To „Przekrój” przygarnął w 1946 r. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, choć był to pomysł dość abstrakcyjny. Co tydzień w piśmie ukazywały się wiersze, groteskowe felietony i absurdalne Teatrzyki Zielona Gęś. I to w kraju, gdzie inteligencji, do której były adreso-

Sowieckim, ani w żadnym z tzw. demoludów, a w Polsce Eilemu udawało się je robić przez ćwierć wieku. Płacił za to, zwłaszcza w okresie stalinizmu, wysoką cenę. „Przekrój”, jak wszystkie pisma wydawane przez władzę, musiał atakować Kościół i podziemie AK-owskie, zachwycać się sukcesami socjalistycznej gospodarki i „gniciem” kapitalizmu, wielbić Bieruta i płakać po śmierci Stalina. Robił to przede wszystkim na trzech-czterech pierwszych stronach, które Eile nazywał ogłoszeniowymi. Na Zachodzie – mówił – żeby mieć pieniądze na wydawanie pisma, trzeba publikować reklamy. On, żeby robić „Przekrój”, musiał na początku pisma publikować propagandowe peany pod adresem partii.



Mariusz Urbanek – dziennikarz i pisarz specjalizujący się w biografach. Autor książek o Wieniawie-Długoszańskim, Tyrmandzie, Broniewskim, Kisielewskich, Tuwimie, Brzechwie, Waldorffie, Makuszyńskim, Weiglu, lwowskiej szkole matematycznej oraz najnowszej „Marian Eile. Poczciwy cynik z »Przekroju«”.



Oppenheimer to postać dwuznaczna, która zapłaciła wielką osobistą cenę za sukces FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

Przy okazji premiery „Oppenheimera” Christophera Nolana spójrzmy, jak manipulowano motywem nuklearnej zagłady

Dlaczego akurat Oppenheimer? Gdy spojrzymy na poprzednie filmy Christophera Nolana, wybór bohatera okaże się naturalny. Postać dwuznaczna, jak w trylogii o Mrocznym Rycerzu. Postać, która zapłaciła wielką osobistą cenę za sukces – jak bohater filmu „Prestiż”. Człowiek zastanawiający się nad tym, jak odwrócić skutki swych dokonań – pamiętacie wypadki biegnące pod prąd czasu w „Tenecie”? Wreszcie ktoś, kto stworzył swoje życie na nowo i żył wewnątrz zbudowanego własnoręcznie konstruktu, niczym bohaterowie „Incepcji”. Wiemy z biografii J. Roberta Oppenheimera, że po pełnej depresji i zawodów młodości (łącznie z próbą

samobójczą) nasz bohater wynalazł się na nowo, wymyślił nową personę, którą był błyskotliwy naukowiec w kapeluszu z nieodłącznym papierosem w ustach, ktoś, kogo można było podziwiać, a nie tłuc bezlitośnie na wakacyjnych obozach. Sam Nolan ogłosił Oppenheimera najbardziej wieloznacznym bohaterem, o jakim opowiadał.

FAUST NASZYCH CZASÓW

Kino jest sztuką emocji i potrzebuje niezwykłych bohaterów, jednak pytania, które chciałem zadać z okazji premiery „Oppenheimera”, zmierzają w innym kierunku. Porzucił na chwilę rozważania o nowym Fauście naszych czasów i moralnych rozterkach twórcy najpotężniejszej broni w dziejach. Sam Oppenheimer protestował, gdy kreślono taki jego portret, przypominał, że nigdy nie załował pracy w Projekcie Manhattan. Dostrzeżmy, że niezależnie od tego, jak fascynującą postacią jest ojciec bomby atomowej, jego dziecko odcięło się od rodziny i rozpoczęło wielką karierę jako osobny bohater popkultury.

Z ideą wykorzystania atomowej energii fani igrali już w pierwszej połowie XX stulecia,

czasem tak swawolnie, że wiadomo było, że to bajdy, a czasem tak celnie, że agenci FBI pukali do drzwi twórców i redaktorów, by sprawdzić, czy przypadkiem nie opierają się na przeciekach z Projektu Manhattan. (Wiemy o przynajmniej dwóch takich wizytach: u Johna Campbella, redaktora naczelnego pisma „Astounding”, po opublikowaniu opowiadania „Deadline” Clive’a Cartmilla oraz u Philipa Wylie, którego po napisaniu opowiadania „The Paradise Crater” nawet osadzono w areszcie domowym).

Najbardziej przenikliwi z fantastów, zanim jeszcze w 1945 r. wybuchła pierwsza bomba w Los Alamos, już się zastanawiali nad politycznymi i ekonomicznymi konsekwencjami pojawienia się energii atomowej. Lester Del Rey w 1942 r. (opowiadanie „Nerves”) opisywał katastrofalną w skutkach awarię elektrowni atomowej. Robert A. Heinlein już w roku 1941 (opowiadanie „Solution Unsatisfactory”) zmagił się z kwestią centralną dla równowagi sił i polityki odstraszania w XX stuleciu. W rozważanej przez niego przyszłości Amerykanie jako jedyny naród na świecie dysponują bronią nuklearną (jest to atomowy pył),



REŻ.
CHRISTOPHER
NOLAN
„OPPENHEIMER”
USA 2023

■ a specjalnie utworzony Patrol Pokoju ma pilnować tego, by żaden naród nie zagroził innemu. Powstaje wymuszony Pax Americana. „Nie mogę być szczęśliwy w świecie, w którym jeden człowiek lub grupa ludzi posiada potęgę, która umożliwi im odebranie życia mnie, tobie, naszym sąsiadom, każdemu człowiekowi, każdemu zwierzęciu” – gorzko konkludował Heinlein.

Po zrzuconiu bomb atomowych na Hiroshimę i Nagasaki, a także po uzyskaniu broni atomowej przez Sowietów, nuklearny holokaust stał się jednym ze standardowych tematów w popkulturze, a lęk przed bombą miał się położyć cieniem na życiu kolejnych generacji. Z efektami artystycznymi bywało różnie – wspaniałe melancholijne opowiadania pisał Ray Bradbury („Nadejść deszcze”, „Droga”), światową sławę zdobył Nevil Shute powieścią „Ostatni brzeg” (1957), którą wypromowała wersja filmowa Stanleya Kramera z roku 1959.

Powoli krystalizowały się główne nurty opowieści o atomowym zagrożeniu. Dla jednych – nieodwołalny koniec świata. Dla innych – jak twórców filmu „Panika w roku zerowym” (1962) – okazja do nowego początku, bo niedobitki znajdują schronienie w miejscach, gdzie radiacja nie sięga. Czasem sama wojna nawet nie jest potrzebna: w filmie „The Day the Earth Caught Fire” nuklearne testy przeprowadzane przez USA i Związek Sowiecki doprowadzają do katastrofy – Ziemia po zwichrowanej orbicie zbliża się do Słońca, jeśli ktoś czegoś nie wymyśli, to wszyscy spłonimy. (Interesujący fakt – lekarstwem na katastrofę wywołaną atomowymi eksplozjami okazują się... atomowe eksplozje, tyle że dokonane w innym miejscu planety).

NUKLEARNA SZOPKA

Atomowa zagłada szybko stała się nadużywaną kliszą, jednym z wielu elementów arsenału straszenia, jak wampiry, wilkołaki, inwazje obcych, upadek komety czy powrót zlodowacenia albo niespotykana susza. Ekstremalnym przykładem przeżucia atomowego motywu przez popkulturę była fala utworów postapo (zarówno literackich, jak i filmowych, ale łatwiej zauważyć dużo- i małoekranowych bękartów „Mad Maxa”), w których cała nuklearna szopka nie była potrzebna do niczego innego, jak tylko wytłumaczenia,

Po uzyskaniu broni atomowej przez Sowietów nuklearna zagłada stała się jednym z głównych motywów filmowych Hollywood

że ludzie grzmocą się rurami na pustyni po głowach i ścigają dziwnymi pojazdami pełnymi gości przypominających zespoły punkowe lub członków grupy Kiss.

Kiedy sprawę zaczynano rozważać poważniej, tam i efekty bywały poważne, a nawet zakazane. W 1966 r. Peter Watkins nakręcił „The War Game”, stylizowaną na dokument opowieść o skutkach ataku atomowego na Wielką Brytanię. BBC uznało film za zbyt szokujący dla widza. Pokazywano go na festiwalach filmowych, ale emisja telewizyjna miała miejsce dopiero w roku 1985. Czyli już po globalnym fenomenie, którym była premiera amerykańskiego filmu „Nazajutrz” („Day After”) w roku 1983.

Przy tym ostatnim tytule warto się zatrzymać nie tylko ze względu na niezwykle rożgłos, jaki zdobył w owym czasie. Produkcja telewizyjna NBC w reżyserii Nicholasa Meyera okrzyknięta została później najbardziej ponurym filmem w dziejach telewizji. „Nazajutrz” opisuje wojnę atomową między NATO a Układem Warszawskim i katastrofalne skutki tego konfliktu. Znaczący temat uważają, że namalowany obraz i tak był zbyt delikatny. Jednak publiczność telewizyjna i tak była zaszokowana (w USA film obejrzało ponad 100 mln ludzi). „Nazajutrz” stało się naraz centralnym punktem dyskusji politycznej, swoje wrażenia z premiery w pamiętnikach spisywał Ronald Reagan i tak dalej.

Starcie stanowisk, do którego doszło w amerykańskiej prasie i telewizji po emisji „Nazajutrz”, oddaje idealnie sedno dwóch głównych narracji w kwestii broni atomowej. Pierwsze z nich – nazwijmy je „stanowiskiem zatroskanego naukowca” – prezentował w telewizyjnej dyskusji Carl Sagan: „Wyobraźmy sobie pokój pełen benzyny, a w nim dwóch nieprzejednanych wrogów. Jeden ma dziewięć tysięcy zapalek, drugi siedem tysięcy zapalek. Każdy z nich martwi się o to, kto produkuje, kto jest silniejszy”. Drugi

został lapidarnie przedstawiony przez „The New York Post”: dlaczego Nicholas Meyer wykonuje robotę za Jurija Andropowa? (Andropow był wtedy gensekiem Związku Sowieckiego).

Wspomnijmy ostatnie ujęcie filmu „Nazajutrz” – transmitowane w kodzie Morse’a słowo „MAD”, czyli szaleństwo, ale jednocześnie skrót od „mutual assured destruction” – tak zwie się doktryna wzajemnego zniszczenia, czyli zachowania równowagi militarnej poprzez doprowadzenie do sytuacji, w której obie strony wiedzą, że przeciwnik dysponuje bronią zdolną go całkowitego zniszczenia agresora. Doktryna ta była przedmiotem szczególnej nienawiści Moskwy, ponieważ jej zastosowanie w praktyce oznaczało, że podbój świata, o którym marzono od Lenina i Tuchaczewskiego do Stalina i Chruszczowa, jest skutecznie zastopowany. Tak, nazwisko Chruszczowa nie pojawia się tu bez powodu, to on nakazał przeprowadzenie w 1954 r. próby atomowej na poligonie Tockoje. Był to test z udziałem 45 tys. sowieckich żołnierzy. Po detonacji bomby „Tatiana” weszli oni do strefy skażenia ćwiczyć przełamywanie obrony NATO wspierane atakiem atomowym.

Trudno się więc dziwić, że politycy i wojskowi Zachodu reagowali alergicznie na wyśmiewanie i kwestionowanie doktryny MAD. Historia przyznała im rację: mimo lokalnych i często krwawych konfliktów cała epoka zimnej wojny okazała się czasem względnej równowagi. MAD działał. Co niekoniecznie bywało rozumiane w świecie kultury, gdzie szybko symbolem „atomowego szaleństwa” stał się gen. Jack D. Ripper z czarnej satyry Stanleya Kubricka „Doktor Strangelove, czyli jak przestałem się martwić i pokochałem bombę” (1964). Propaganda sowiecka okazywała się zadziwiająco zbieżna z odruchami szlachetnego oburzenia pacyfistycznie nastawionych artystów, a odrażający, żądni krwi i szaleni generałowie szczególnie wdzięcznym obiektem szyderstw. Kuriozalnym przypadkiem tej antymilitarnej paranoi był film Johna Frankenheimera „Siedem dni w maju” (1964), w którym na wieść o pokojowych negocjacjach między USA a Związkiem Sowieckim prawicowi i antykomunistyczni generałowie zabierają się za szykowanie zamachu stanu. Jakże daleko jesteśmy od rozterek J. Roberta



Kadr z filmu „War Games” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Film „Nazajutrz” opisuje wojnę atomową między NATO a Układem Warszawskim i katastrofalne skutki tego konfliktu FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Oppenheimera na temat odpowiedzialności naukowca za swoje dokonania. Karty zostały rozdane, winni są agresywni NATO-wscy kowboje, podczas gdy cały postępowy i pokojowo nastawiony świat z niepokojem patrzy na rosnące sterty amerykańskich bomb atomowych.

SZALEŃCY PO OBU STRONACH

I tu wracamy do narracji „zatroskanych szlachetnych naukowców”, którzy uderzali w tony fałszywego symetryzmu: ach, po obu stronach są szaleńcy; ach, gdyby tylko mądrzy ludzie pragnący pokoju (oczywiście naukowcy, ewentualnie „pokojowi ludzie kultury”) mieli coś do powiedzenia, to na pewno od razu by się dogadali. Nie pierwszy to przypadek, gdy naukowcy udowadniają, że osiągnięcia uniwersyteckie nie idą w parze z rozumieniem reguł skutecznej polityki, a nawet i ze zdrowym rozsądkiem. W tym miejscu możemy w należyтым świetle spojrzeć na polską (właściwie PRL-ow-

ską) premierę „Nazajutrz”. Film pokazało 26 stycznia 1984 r. jako koronny dowód na to, do czego prowadzi wyścig zbrojeń, jeśli się „nie opamiętamy”.

Oczywiście to Amerykanie mieli się opamiętać, gdyż Związek Sowiecki zawsze miłował pokój. A do opamiętania wzywał tylko wtedy, gdy czuł, że w przęczeniu muskułów zajmuje słabszą pozycję i potrzebował czasu na odzyskanie przewagi.

Kto zna historię bloku sowieckiego, ten wie, że do zmiekczenia Zachodu służyć miały rozmaite inicjatywy „artyści dla pokoju” czy „naukowcy dla atomowego rozbrojenia”. Któż nie chciałby być za pokojem? Dzieje nieszczęsnego Oppenheimera też są wtłaczane w ten szablon: dobry (bo o lewicowych ciągach) naukowiec kontra zły (czyli prawicowy) sojusz wojskowych i polityków. Ojciec bomby atomowej marzył o stworzeniu broni, która położy kres wszystkim wojnom. Wszystkim się nie udało, ale

gdy z perspektywy dziejów zimnej wojny przypomnimy sobie jego słowa, że „w świecie broni atomowej wojny ustaną”, dojdziemy do wniosku, że jest coś na rzeczy. Gdyby Ukraina dysponowała bronią atomową, Rosja Władimira Putina by jej nie zaatakowała. MAD zadziałałby w skali mniejszej niż globalna. Skonfliktowane Chiny i Indie także trzymają się nawzajem w szachu bronią atomową.

Albert Einstein miał powiedzieć: „Nie wiem, jaka broń będzie użyta w trzeciej wojnie światowej, ale czwarta będzie na kije i kamienie”. Efektowny i chwytliwy cytat, doskonale oddający sedno lęków przed atomową zagładą, czyli końcem wszystkiego. Jednak śmiem twierdzić, że to postawienie zaprzęgu przed końmi.

Historia XX stulecia uczy nas, że gdyby nie kij, nie byłoby potrzeby budowania bomby. Kij, prosty kij. Pałka, powiedzmy. Broń tania i poręczna. Pałka, którą strażnik GUŁagu mógł zatłuc zeka. Ta pałka, którą jurny niemiecki młodzieniaszek w mundurze SA rozbijał witryny żydowskich sklepów w noc kryształową. I którą gestapowiec bił Janka Bytnara-Rudogo, i którą ubek tłukł rtm. Pileckiego. „Nieludzkie szkolenie przy pomocy pałek i podkutych butów, serwowane rekrutom w koszarach (zawsze w jego trakcie zdarzały się samobójstwa) zamieniały cesarskich żołnierzy w maszyny do zabijania, bardziej bojące się oficerów niż nieprzyjaciela” – pisał Jakub Polit o japońskich sprawcach rzezi Nankinu. Ile było ofiar? Szacuje się, że może nawet i 400 tys. Obešlo się bez broni atomowej. Wystarczyły bagnety, pałki, noże, miecze. Przy okazji – tak, Japonia także miała własny program budowy bomby atomowej. Miał go i Hitler. Mieli i Sowieci. Czy mamy jakiegokolwiek powody, by sądzić, że swoje bomby wykorzystaliby do harmonijnego i pokojowego rozwoju ludzkości? Że okazaliby się wrażliwsi od Oppenheimera i bardziej powściągliwi niż Harry Truman?

Zatem, trawestując Einsteina: nie wiem, jaka broń będzie użyta w trzeciej wojnie światowej, ale wiem, że tą, która doprowadziła do Projektu Manhattan, była pałka w rękach zbirów Hitlera i Stalina. „Stałem się śmiercią, niszczycielem światów” – miał rzec Oppenheimer po wybuchu bomby. Zbytek pychy. On nie. Ale oni byli nimi naprawdę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Paragraf się znajdzie

player

CINEMAN

polsat box go

wpadł na pomysł przeprawy przez granicę z Estonią. Jednakże gdyby nie wyobraźnia scenarzystów, szukających koniecznie romansu, to nie byłoby miejsca w filmie na rolę Joanny Kulig, która gra zadurzoną w Rousselu Rosjanke.

Ważniejsze jest to, że dostajemy na ekranie putinizm odarty z zachodnich złudzeń na jego temat, bezpieczeństwa może wszystko, jednostka nic, na każdego da się sfabrykować kompromaty. Dostaje się też francuskim dyplomatom, dla których dobre relacje z Moskwą są ważniejsze od losów obywatela ich własnego kraju. Posępne, zimne barwy przydają tej historii odpowiednio ponurej atmosfery. Rosja to inny świat, obcy świat, okrutny świat, w którym wiele musiało się zmienić, by wszystko pozostało po staremu, jak za czasów ochrony czy KGB. Proszę wspomnieć: mniej więcej w tym samym czasie, gdy wkręcano pana Barbereau, Rosjanie podrzucili dziecięcą pornografię na komputer legendarnego dysydenta Władimira Bukowskiego. Rok później sąd w Londynie oczyścił go z zarzutów. ©



★★★★★
REŻ. JÉRÔME SALLE
„KOMPROMAT”
FRANCJA 2023

wyst. Gilles Lellouche, Joanna Kulig, Mikhail Gorevoy

Francuz mądry po szkodzie: na ekranie Rosja, jaka jest naprawdę. Z odrobiną kreacji, bo drobnomieszczańska Litwa udaje na ekranie syberyjski Irkuck, ale pokazywane mechanizmy są prawdziwe, to znaczy złowieszcze. Szef francuskiego instytutu w Irkucku trafia do więzienia oskarżony o rozpowszechnianie zdjęć pedofilskich i molestowanie własnej córki. Prawda to w Rosji rzecz bardzo płynna, więc od razu podejrzewamy, że coś jest nie w porządku. Czy chodzi o to, że brodaty Francuz wpadł w oko synowej lokalnego bossa bezpieczeństwa? A może ma dostać nauczkę za gejowski balet wystawiony na inauguracji działania instytutu? Lub

chodzi o wielką politykę – właśnie Francja unieważniła sprzedaż Rosji okrętów klasy Mistral.

Wszystko to wydarzyło się mniej więcej naprawdę, a zatrzymanym (w roku 2015) mężczyzną był Yoann Barbereau, dyrektor irkuckiego oddziału Alliance Française. Opisał swe losy w książce „Dans les geôles de Sibérie” („W więzieniach Syberii”). Twórcy filmu zmienili jednak wiele wątków, czyniąc opowieść bardziej hollywoodzką – niepotrzebnie, bo prawda była ciekawsza. Szkielet pozostał: skatowany w więzieniu i przeniesiony do aresztu domowego Francuz (w filmie nazywa się Mathieu Roussel i gra go Gilles Lellouche) uciekł z Irkucka do Moskwy, a potem



NOWE SERIALE: „CUDOTWÓRCY: KONIEC CZASÓW”

Czwarta odsłona komediowej antologii, w której wykpiwano już średniowiecze, Dzikie Zachód oraz kłopoty Pana Boga z jego najbardziej denerwującym aktem stworzenia, czyli Ziemią. Sezon czwarty to szyderstwo z filmów postapo. W świecie jak z „Mad Maxa” niedobra para (Daniel

Radcliffe i Geraldine Viswanathan) odkrywa uroki małżeńskiego życia „na przedmieściach” spustoszonych ziem. Show jak zwykle kradnie Steve Buscemi, tym razem jako handlarz złomem.

Piotr Gociek

• miniseria „Cudotwórcy: koniec czasów”, USA 2023

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 11 „Futurama”, USA 2023



• sezon 2 „Dobry omen” („Good Omens”), Wielka Brytania 2023



• film dokumentalny „Inkwizycja – nowe odkrycia”, Francja 2023



Jak zostać sobą

KINO

Barbie ma już 64 lata i grozi jej przesunięcie do kategorii „produkt dziaderski”. Firma Mattel, żyjąca ze sprzedaży słynnej lalki, zareagowała prawidłowo. Zapaliła zielone światło dla filmu niebędącego beczelną reklamą. Dzieło duetu Gerwig/Baumbach to reklama wyrafinowana, utrzymana w sprawdzonej, hollywoodzkiej konwencji – komedii udającej moralitet. Zaczyna się obiecująco, od parodii „Odysei kosmicznej” Kubricka. Potem poznajemy Barbie-land: świat z marzeń feministek, w którym problem nierówności płci rozwiązano w ten sposób, że władzę sprawują panie. Panowie zaś próbują się im przypodobać, bez szans na sukces. Główną bohaterkę dopada kryzys

tożsamości: czuje strach przed śmiercią i cellulitem, jej stopy dotykają ziemi – po prostu zaczyna się psuć. Wyprawa do prawdziwego świata pogłębia frustrację. Panuje tu ukryty patriarchy, kobiety nienawidzą kobiet, a zbuntowana nastolatka rzuca Barbie w twarz, że jest faszystką i symbolem komercjalizacji. Komediiowy potencjał tej historii wyczerpuje się mniej więcej w połowie seansu, potem twórcy jadą na oparach tuższych stereotypach, zarazem się z nich naśmiewając. Autoironia ma swój urok, zwłaszcza w wykonaniu przefarbowanego na blond Goslinga, lecz morał („każdy może być, kim chce”) wydaje się mało odkrywczy...

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. GRETA GERWIG
„BARBIE”
USA/KANADA 2023

wyst. Margot Robbie,
Ryan Gosling,
America Ferrera



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ŚMIERĆ W BABILONIE

FILM CLASSIC

Faryzeusze wszystkich krajów – łącznie się! D.W. Griffith, zachęcony sukcesem „Narodzin narodu”, założył jeszcze cięższą zbroję i ją rozliczać ludzkość z grzechu mordowania bliźnich o odmiennych religii i poglądach politycznych. „Nietolerancja” poległa w kinach, gdyż jej pacyfizm abstrahował od realiów. W 1916 r. w Europie grzmiały działa, a Stany Zjednoczone szykowały się do interwencji. Poza tym reżyser zbyt wysoko zawiesił widzom (i sobie samemu) poprzeczkę. Cztery przeplatające się opowieści, z akcją na starożytnym Bliskim Wschodzie, w XVI-wiecznej Francji i w współczesnej Ameryce to była przesada. Trzeba jednak przyznać, że tłumy statystów świętujących i walczących w gigantycznych dekoracjach Babilonu robią wrażenie nawet 75 lat po śmierci Griffitha. Fabuła „Nietolerancji” jest naiwna, lecz sensowna, w odróżnieniu od scenariuszy dzisiejszych superprodukcji, których była zwiastunem. © ©



★★★★★
REŻ. D.W. GRIFFITH
„NIETOLERANCJA”
(„INTOLERANCE. LOVE'S STRUGGLE THROUGH THE AGES”)
USA 1916

wyst. Mae Marsh, Howard Gaye, Joseph Henabery

SZYTE NA MIARĘ

skySHOWTIME

Rok 1956, Chicago. Leonard Burling, najlepszy męski krawiec w dzielnicy, z powodu wojny oraz ekspansji jeansów znalazł się w defensywie i musiał opuścić Londyn. Jankesi widzą w nim staroświeckiego pedanta, którego jedyną pasją jest praca, lecz to nie cała prawda. Mistrz ma kilka sekretów: jego pracownia np. służy za dziuplę lokalnym gangsterom. Koegzystencja zdaje się wspaniała, ale jak to u krawcy – uderz w stół, a nożyce się odezwą. Rzecz załatuje teatrem, ale „Skrytka” nie jest ekranizacją dwuaktówki, która zachwycała krytyków monitorujących repertuar Off-Broadwayu. To kameralne kino z dobrze wymyślonymi postaciami, czego aktorzy, z Rylance'em na czele, nie omieszkali wykorzystać. I na tym kończą się jego zalety. Reżyserki debiut Moore'a trochę przypomina garniturzy szyte przez Burlinga. Solidny, wzorowo skrojony, lecz nie nazwałbym go dziełem sztuki.



★★★★★
REŻ. GRAHAM MOORE
„SKRYTKA”
(„THE OUTFIT”)
USA 2022

wyst. Mark Rylance, Zoey Deutch,
Johnny Flynn

Wiesław Chelminiak

GRA TYGODNIA: „MASTER DETECTIVE ARCHIVES: RAIN CODE”

Metropolia rządzona przez megakorporację, przypominająca współczesną Japonię, ale niepozabawiona elementami fantastycznymi, skrywa mnóstwo tajemnic, z którymi mierzą się różni detektywi. W tym młody Yuma Kokohead, w którego

wcieli się gracz. Pierwszą zagadką jest dla Yumy on sam, gdyż chłopak cierpi na amnezję. Towarzyszy mu wyjątkowo złośliwe, ale pomocne bóstwo śmierci. Produkcja firmowana nazwiskiem Kazutaka Kodaka od „Danganronpy”, a zatem nie brakuje



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

tu mocno specyficznego poczucia humoru. © © **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** Akcji, detektywistyczna
• **Platforma:** Nintendo Switch
• **Producent, dystrybutor:** Too Kyo Games, ConQuest Entertainment a.s.

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Etyka i estetyka

Autor „W poszukiwaniu utraconego smaku” w jednym z pomieszczonych w tomie esejów wyznaje: „Coraz częściej odczuwam obowiązek bycia kustoszem pamięci odkurzającym zdarzenia, które ukształtowały naszą kulturę i nasze człowieczeństwo”. I rzeczywiście, książka jest na to dowodem, niesłuchanie ważnym, bo na naszych oczach dokonuje się zamiana znaczeń wiedzy i wiary, rodziny, demokracji, narodu, właściwie wszystkiego. A przecież Julian Tuwim wyrażał powszechne tęsknoty, pisząc dość dawno temu, ale nie w starożytności przecież: „Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość”.

Tymczasem to, w jakim punkcie się znaleźliśmy, ukazuje prof. Stefan Grajek w szkicu „Sędziowie i poeta”. Jest to polemika z esejem poety Adama Zagajewskiego „Pochwała prawa”, w istocie laudacją, którą wygłosił on w 2017 r. na cześć Ewy Łętowskiej, niegdyś rzecznik praw obywatelskich. Naprawdę jednak był to panegiryk sławiący prawo, jakoby poniewierane przez PiS bezlitośnie niszczący nadzwyczajną pod każdym względem kastę jurystów. Dlaczego Zagajewski, bynajmniej nie prawnik, zaczął nagle wznosić akty strzeliste, rozwodząc się nad „piękem prawa” i nie dostrzegając tego, co wie każdy, a mianowicie że poza wszystkim innym jest prawo instrumentem sprawowania władzy, o czym przekonują nie tylko dzieje Sowietów czy III Rzeszy, ale i komunistycznej Polski? Przeszedł on jednak nad tym do porządku dziennego, uporczywie podważając za to legalizm III RP pod rządami Prawa i Sprawiedliwości, m.in. podkopując autorytet takich instytucji jak Trybunał Konstytucyjny, przy

czym zaprezentował – jak powiada prof. Grajek – „szczeniacką pyszałkowatość”. A jakich mamy sędziów naprawdę? Autor „W poszukiwaniu utraconego smaku” przypomina najbardziej drastyczne przykłady działań ludzi, którzy powinni zostać ukarani dożywotnim zakazem zbliżania się do sądów, a może i wszystkich instytucji użyteczności publicznej. Nie zostali nawet należycie napiętnowani, choć reforma systemu sądownictwa trwa już lata całe. Co warta jest władza, która potrafi tylko się odgrażać?

To ostatnie pytanie zadaje już od siebie. Profesor Stefan Grajek ogranicza się do stwierdzenia, że „obecne prawo już niewiele ma wspólnego z tradycyjnie pojętą moralnością, lecz poczucie sprawiedliwości społecznej winno być zachowane”.

Czytelnik eseistyki Stefana Grajka wielokrotnie zostaje zaskakiwany zarówno podejmowaną przez niego tematyką, jak i dogłębną analizą obrazów, książek, filmów dokonywaną jakby mimochodem w trakcie jego podróży, przede wszystkim do ukochanych Włoch, gdzie np. stawia retoryczne pytanie, czy La Serenissima osiągnęłaby tak wysoki poziom rozwoju bez odpowiedzialnych moralnie obywateli. Kwestie etyczne są zawsze najistotniejsze dla tego wybitnego autora, przy tym – podkreślmy – znakomitego lekarza, kardiologa, co zresztą może nastroić melancholijnie, zważywszy na dość powszechne negatywne doświadczenia z kontaktów z przedstawicielami służby zdrowia. Ale cóż, na tym polega wyjątkowość, z samej swej natury unikatowa.

Niekłamanym zachwytem wzbudził we mnie szkic „Vincenza i brzemię

Edypa”, w którym autor wnika do samego jądra mitu o królu Teb, 2,5 tys. lat temu spisane przez Sofoklesa, który całkiem niedawno znakomicie na nowo spolszczył Antoni Libera. Przypomnijmy: Edyp, choć nie był świadomy tego, co robi, dopuścił się ojcobójstwa i kaziroductwa. Zrozpaczony oślepił się i udał na wygnanie. Z późniejszej sztuki Sofoklesa („Edyp w Kolonos”) dowiadujemy się, że nie tyle umarł, ile zniknął! To bogowie ujęci jego pokorą i pokutą umożliwili mu tę dematerializację. „W moim odczuciu – powiada prof. Grajek – Edyp prezentuje klasyczną postawę odpowiedzialności moralnej za popełnione (choć niezamierzone) czyny”. Tak właśnie jest i dlatego historia Edypa, Lajosa i Jokasty wraz ze Sfinksiem i jego zagadką była dla autora „W poszukiwaniu utraconego smaku”, jak mniemam, tak ważna jak dla mnie. Ale czy to znaczy, że dla każdego? Stefan Grajek swoje rozważania odnoszące się do tragedii Edypa kończy następująco:

„Współczesny konsument światowego marketu nie rozumie Edypa, a jego mit jest mało dlań atrakcyjny. Jego rozumowanie jest następujące (przytaczam opinie studentów medycyny z rozmów w pracowni hemodynamiki podczas zajęć z kardiologii): jeśli Edyp nie miał świadomości popełnianych czynów, co bez wątpienia jest okolicznością łagodzącą, to może ponieść odpowiedzialność karną jedynie za nieumyślne – bo w obronie własnej – zabicie ojca. Nieświadome małżeństwo z matką jest rzeczywiście pewnym (jeszcze) obyczajowym potknięciem, ale organizacje LGBT ogłosiłyby zapewne wspierające Edypa opinie”.

Nie inaczej, Szanowny Panie Profesorze, nie inaczej. ©©



★★★★★
STEFAN GRAJEK
„W POSZUKIWANIU
UTRACONEGO
SMAKU”
WYŚWIETLONA
POZNAŃ 2023



PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE

Odszedł Lech Jęczynek

Jakże wielu zawdzięcza mu bardzo wiele, nawet o tym nie wiedząc. Łatwo odnaleźć listę przekładów, których dokonał, przybliżając polskiemu czytelnikowi książki Vonneguta, Dicka czy Ballarda. A także niefantastów: Hellera, Palahniuka czy Ishiguro. Przez długie lata pracy redaktorskiej (Iskry, Czytelnik, miesięcznik „Fantastyka”, tygodnik „Spotkania”) był siłą sprawczą niezliczonej liczby przekładów oraz wznowień, ale debiutowali u niego i Polacy: Edmund Wnuk-Lipiński, Marek Oramus. Autora opowiadań Janusza Zajdla namówił na napisanie powieści. Gdyby nie zestawiona przez niego seria antologii „Kroki w nieznane”, nie wiedzielibyśmy wiele o zagranicznej fantastyce. Porzucił ją, gdy nakazano mu zmniejszyć liczbę tłumaczeń z angielskiego na rzecz jedynie słusznych pisarzy sowieckich.

Mówił, że tłumaczy tylko takie rzeczy, które sam chciałby przeczytać. Gdy czegoś wydać w PRL nie mógł, opowiadał nam te książki tak, że byliśmy przekonani, że już je przeczytaliśmy. Niezrównany erudyta, źródło niesamowitych anegdot. W 1984 r. w domu Jęczyńka zebrał się potajemnie polski PEN Club, by poznać gościa z zagranicy, Kurta Vonneguta. „Nie wiem, czy Vonnegut coś zapamiętał, bo się ululał i wylądował z głową w bigosie” – opowiadał

Jęczynek. Jako redaktor – bezlistosny. Niejeden z aspirujących autorów z owych czasów ma w szufladzie wstydu miażdżącą recenzję wewnętrzną. A gdy trzeba było, to i uznanemu pisarzowi wytykał, że jego nowe dzieło to rzecz „o niskim poziomie doskonałości”.

No i było jeszcze życie tajemne. Wchodząc do redakcji „Fantastyki” w drugiej połowie lat 80., spotkałem nieoczekiwanie w pokoju Jęczyńka działacza Polskiej Partii Niepodległościowej Romualda Szermietiewa. Z dala od oczu bezpieki mogli tam bezpiecznie porozmawiać. Za swój radykalizm Jęczynek zapłacił w latach III RP kilkoma latami bezrobocia. Po mistrzowsku diagnozował choroby współczesności, jego felietony (właściwie miniesej), zebrane w „Nowym Średnio-wieczu”, biją na głowę przenikliwo-

ścią tomiszcza Fukuyamów i Baumanów. Nie zawsze miał rację, moim zdaniem mylił się co do nadziei na odrodzenie chrześcijaństwa dzięki impulsowi z Rosji. Ale i tak bił na głowę rozmaitych proroków nowoczesności, których znano, bo byli ulubieńcami salonu. Jęczynek nigdy niczym ulubieńcem nie był, opisując samobójstwo Zachodu i szukając nadziei w woli Pana. Zmarł 17 lipca 2023 r. Miał 87 lat. ©



FOT. DANUTA LOMACZEWSKA

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jak upadła Wenezuela? Jak to możliwe, by najbogatszy kraj Ameryki Południowej był dziś symbolem katastrofy i chaosu? Opowiada autor znany z reportażu z Donbasu „Apartament w hotelu Wojna”.



TOMAS FORRO
„GORĄCZKA
ZŁOTA”
CZARNE

Szkice z dziejów ludu podbitego przez Rosję, walczącego o religię, kulturę, historię. Eseje pisane przy okazji wędrowki po Tbilisi, a jednocześnie oddające sedno zmagania Gruzji o ocalenie tożsamości.



LECH KOŃCZAK
„O GRUZJI,
LUDZIACH
I DZIEŁACH”
MIĘDZYNARODOWE CENTRUM
KULTURY

Kanadyjski Kraków, kanadyjska Osada Kopernika, kościoły, domy i groby – dziś przede wszystkim groby, tyle zostało. Obficie ilustrowana opowieść o zapomnianym kierunku polskiej emigracji.



**STANISŁAW
STOLARCZYK**
„POLACY
W KANADZIE”
INSTYTUT
POLONIKA

Klasyka opowieści grozy. Gogol, Zmorski i inni, ale przede wszystkim wznowienie „Cieni zapomnianych przodków” Kociubynskiego, wedle których powstało kinowe arcydzieło Sergieja Paradzanowa.



AUTORZY RÓŻNI
„DUCHY NOCY
ŚWIEĆJOJAŃSKIEJ”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:

„TYKKO Z PUSTYNI”

Powrót świata Troy, planety, na której niemal każdy dysponuje jakąś magiczną mocą. Miarą sukcesu Christophe’a Arlestona, francuskiego scenarzysty, który ten świat wymyślił, niech będzie to, że to już bodaj ósmy cykl, którego akcję osadzono w tym uniwersum (zaczęło się od „Lanfeusta z Troy” w 1994 r.).



**ARLESTON,
MELANYN,
KERAMIDAS**
„TYKKO
Z PUSTYNI”
EGMONT 2023

Lata mijają, zmieniają się rysownicy, pozostają ten humor, fantazja, przygoda i świetne dialogi.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Szopki latem

Krakowskie szopki podziwiamy zazwyczaj w czasie Bożego Narodzenia, ale franciszkanie postanowili pokazać je tego lata. Jest ku temu powód – przypadająca w tym roku 800. rocznica pierwszej żywej szopki. W 1223 r. w Greccio św. Franciszek po raz pierwszy urządził żłóbek.

Wystawę otwarto w szczycie sezonu turystycznego z na-

dzieją, że wtedy krakowskie szopki zobaczy jeszcze większa liczba turystów. – Prezentujemy 40 dzieł wykonanych przez 20 czołowych krakowskich twórców na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat. Niemal wszystkie wystawione szopki to laureatki dorocznych, grudniowych konkursów. Wśród pokazywanych obiektów znajduje się najwyższa szopka w dziejach – szopka pięciometrowa – mówi Marek Markowski, twórca szopki i inicjator wystawy.

Ekspozycję dopełniają figurki stawiane przy żłóbkach z całego świata – świadectwo, jak szeroko franciszkanie rozprzestrzenili zwyczaj tworzenia szopek. ©©

GDZIE? Kraków, Franciszkańska 4
KIEDY? do 31 sierpnia



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



FOT. RADER ZAWADZKI

ODZYSKANE

Siódma już ekspozycja z cyklu corocznych wystaw prezentujących najcenniejsze odzyskane przez Polskę straty wojenne. Tym razem w Kordegardzie prezentowane są obiekty z przedwojennych zbiorów Ordynacji Czartoryskich w Gołuchowie, w tym dyptyk „Mater Dolorosa” i „Ecce Homo”, który na początku roku powrócił z Hiszpanii na Zamek w Gołuchowie. Tylko w ostatnich latach do Polski powróciło ponad 600 różnego rodzaju obiektów. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego prowadzi obecnie ok. 150 spraw w 15 krajach świata. ©©

GDZIE? Warszawa, Kordegarda
KIEDY? do 6 sierpnia



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

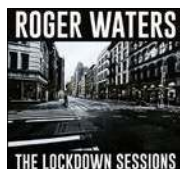
Prywatna wojna agitatora

Płyta zawiera sześć „wojennych” piosenek z „The Wall”, „The Final Cut” i „Amused to Death” zarejestrowanych podczas lockdownu. Nowe, stonowane aranżacje, w których dominują kruchy wokół Watersa oraz żeński chór swym klimatem przypominają cohenowskie ballady. Jednak emocjonalnie i pod względem treści to odrębne światy.

Eric Waters zginął na froncie drugiej wojny światowej podczas kampanii włoskiej, kiedy jego syn miał zaledwie pięć miesięcy. Stąd w twórczości Rogera tematyka antywojenna zajmuje znaczące miejsce. Podczas tegorocznego tournée m.in. demaskował polityczne machinacje współczesnego świata. Jego kontrowersyjne stanowisko

wobec wojny na Ukrainie („wojna była nielegalna, ale nie niesprowokowana”) nie przerodziło się w otwarte wspieranie Putina, co sugerowało wiele mediów w Polsce.

„The Lockdown Sessions” jako koncept z pewnością zadowoli fanów rocka progresywnego. Poczynając od utworu „Mother”, a kończąc na „The Gunner’s Dream”, są to osobiste antywojenne songi. Podniosły nastrój albumu burzy jednak finałny hymn „Comfortably Numb 2022”. Waters nagrał go w tonacji A minor („by był mroczniejszy”) i celowo pozbawił ikonicznego gitarowego solo Davida Gilmoura. To kolejny żałosny rozdział wojenki na szabelki z byłym kompanem, z którym przegrał batalię sądową o prawo używania nazwy Pink Floyd. ©©



★★★★★
ROGER WATERS
„THE LOCKDOWN SESSIONS”
SONY



★★★★★
JOHNSONS
„MY BACK WAS A BRIDGE FOR YOU TO CROSS”
ROUGH TRADE

Dwadzieścia lat temu, jako Antony, był objawieniem na nowojorskiej scenie. Teraz, jako Anohni, nagrała poruszający album czerpiący inspirację z politycznego soula przełomu lat 60. i 70. Są na nim pełne pokory pieśni protestu.



★★★★★
HOWARD SOUNES
„CIAĞŁE W DRODZE – ŻYCIE BOBA DYLANA”
KOSMOS KOSMOS

Drugie, polskie wydanie najsłynniejszej biografii noblisty. Nowego tłumaczenia dokonał Filip Łobodziński. Wznowienie zawiera dwa dodatkowe rozdziały oraz zdjęcia z opisami z całej kariery muzyka.

... i nie wracaj więcej



Reżyser parodiuje śmierć Jana Pawła II dla własnych, niejasnych celów

FOT. MAGDA HUECKEL



Grzegorz Kondrasiuk

Jakubowi Skrzywankowi kiepsko wychodzą i teatr dokumentalny, i kreowanie się na poważnego gracza, filozofa egzystencjalistę oraz społecznego analityka. Niestety, jego recepta na to, jak stać się ogólnopolskim odkryciem teatralnym, sprawdza się najczęściej

Na scenie ażurowa konstrukcja o kształcie kopuły bazyliki św. Piotra. Pod nią miejsce opieki paliatywnej, ze szpitalnym łóżkiem pośrodku. Nad sceną góruje ekran. Przez półtorej godziny Michał Kaleta będzie odgrywał na scenie i na ekranie – zgodnie z tytułem spektaklu poznańskiego Teatru Polskiego – „Śmierć Jana Pawła II”. Skuteczny to chwyt, wkroczenie do intymnych, tajnych miejsc, do rodzinnej pamięci, ale też w obszary instynktownego strachu przed śmiercią i rozpadem własnego ciała. Ale skrajnie naturalistyczna, wręcz medyczna „gra” Kalety to tylko jeden z uruchomionych tu trybów narracji. Twórcy przedstawienia, jako swego rodzaju jego budulec, wykorzystali też rzymsko-katolicki obrzęd. Jako część „fabuły” odtworzyli fragmenty „Ordo Exsequiarum Romani Pontificis”, z przypisanymi mu gestami, śpiewnymi formami muzycznymi i inkantacjami. Posiłkowanie się powagą obrządku uruchamia przemieszczanie się sensów, desakralizuje obrzęd i próbuje sakralizować teatr. W moim poczuciu – nieudolnie. Mimo dosłownego odtworzenia fragmentów liturgii, co zakładało sporą i rzetelną wykonaną pracę nad przygotowaniem wokalnemu wykonawców, mam wrażenie wykorzystania sakralnej formy, jej sparodiowania dla własnych, nie do końca jasnych celów.

Reżyser sili się na portret socjologiczny, na dotarcie do zapisanego w polskiej mentalności stosunku do postaci Jana Pawła II – poprzez dodanie przerywników filmowych, zapisu kilku wywiadów, w których rozmaite osoby dzielą się swoimi przemyśleniami i wspomnieniami. Daje

też obrazki rodzajowe, mało śmieszne żarty, w których źródłem komizmu ma być posługiwanie się językiem włoskim albo podpatrywana z wojerystyczną perwersją rutyna zabiegów nad zwłokami. Nie odmawia sobie, jakże łatwej, przyjemności satyrycznego sportretowania kard. Dziwisza, odmalowanego z subtelnością publicystyki rodem z „Faktów i Mitów”. Wszystko razem sprawia nużące wrażenie teatralnej logorei, nadmiaru starań, chęci zadowolenia wszystkich.

Jakub Skrzywanek zabiera głos w imieniu wyimaginowanej polskiej wspólnoty pamięci, choć język tych wypowiedzi albo wnętrza mieszkań, w których nagrywał, jednoznacznie sytuują owo „my” w obrębie dobrze sytuowanej wielkomiejskiej klasy średniej. Nie odmawia sobie też przyjemności dowalenia katolom, na użytek postępowej widowni. Przy okazji załatwia i własne, prywatne porachunki z Pa-

nem B., Kościołem i rodzicami (o czym dowiadujemy się z obficie udzielanych wywiadów). Galimatias ten powoduje, że Skrzywankowi kiepsko wychodzą i teatr dokumentalny, i kreowanie się na poważnego gracza, filozofa egzystencjalistę oraz społecznego analityka. W finale, wycofując się z odpowiedzialności za użytą tu świętą, subtelną materię, ogłasza: „Zróbcie z tym, co chcecie”. Proponuje widzom, pół żartem, pół serio, korowód wokół leżącego w trumnie „umarłego”. Zachęta do własnego, prywatnego pożegnania, przeżycia tej sparodiowanej śmierci, a nawet do robienia zdjęć, wygłoszona świątobliwym tonem, który tak dobrze wychodzi aktorom i kabareciarzom – brzmia tutaj jak szyderstwo. Czy przypadkiem nie jest to odpowiedź Poznania na sławetną „Kłātwę” Friljcia z warszawskiego Teatru Powszechnego? Ot, taki sobie, dywersyjny podstęp z dziedziny inżynierii

społecznej: odtworzymy, z całą powagą obrzędu, śmierć polskiego papieża. Zaprośmy wierzących i niewierzących, udając zadawanie dotkliwych, dotyczących każdego pytań – a potem symbolicznie, jeszcze raz, tym razem już na zawsze, uśmierćmy Jana Pawła II, a także instytucję, na której czele stał, teatrem, jak osinowym kołkiem, aby już się nie podniosły. „Idź, i nie wracaj więcej!” – jak w pamiętnym cytacie.

Przez miniony sezon przyglądałem się spektakłom krążącym po największych festiwalach jako „wydarzenie sezonu” i nagradzanym w konkursach. Z kilku recept na to, jak stać się ogólnopolskim odkryciem teatralnym – metoda Skrzywanka sprawdza się najczęściej. To obranie kursu na „odważny gest”, bezkompromisowe rzucenie snopu światła skierowanego w mroki polskiej duszy. Działalność wciąż i wciąż ponoć prekursorska, choć znana od czasów Boya. Mimo ponadstuletniej tradycji wciąż można zachwalać świeżość swojego towaru – i kuratorzy to kupują. Gorzej z publicznością, zdaje się: w jesiennym repertuarze Teatru Polskiego spektaklu brak.

Tekst z cyklu „Kropłówka”, poświęconego oświeceniowo-socrealistycznym wykwitom współczesnego polskiego teatru politycznego. ©

TEATR POLSKI W POZNANIU,
„ŚMIERĆ JANA PAWŁA II”
REŻYSERIA, SCENARIUSZ: JAKUB SKRZYWANEK
DRAMATURGIA, SCENARIUSZ:
PAWEŁ DOBROWOLSKI
PREMIERA: 5 LUTEGO 2022 R.
SPEKTAKL W RAMACH
43. WARSZAWSKICH SPOTKAŃ
TEATRALNYCH, ORGANIZOWANYCH
PRZEZ TEATR DRAMATYCZNY
IM. G. HOŁUBKA W WARSZAWIE

Krótką historia resetu z Rosją



Jan Parys

W związku z emitowanym w TVP serialem „Reset” pragnę przypomnieć chronologię wydarzeń, które ilustrują politykę zbliżenia z Rosją w odniesieniu do programu budowy tarczy antyrakietowej w Polsce



spraw zagranicznych Witold Waszczykowski.

8 lutego 2008 r. – Tusk podczas wizyty w Moskwie ignoruje fakt, że Polska należy do sojuszu północnoatlantyckiego, i konsultuje z Putinem instalację amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Polsce. Przyjmuje rosyjski punkt widzenia – że tarcza jest nieuzasadnioną prowokacją wobec Rosji, mimo iż stanowi broń defensywną.

Kwiecień 2008 r. – prezydent USA George Bush i prezydent RP Lech Kaczyński proponują na szczycie NATO, by uruchomić dla Gruzji i Ukrainy drogę do członkostwa w sojuszu. Projekt upada wskutek weta Francji i Niemiec.

Czerwiec 2008 r. – negocjacje z USA w sprawie tarczy są zakończone, tekst porozumienia z USA gotowy, jest akceptacja ze strony prezydenta. Premier po rozmowach w Moskwie i w Berlinie nie wyraża zgody na podpisanie porozumienia z USA w sprawie instalacji tarczy w Polsce.

4 lipca 2008 r. – premier Donald Tusk w dniu święta narodowego USA ogłasza, że Polska nie jest zainteresowana instalacją amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Polsce.

Prezydent Lech Kaczyński inaczej ocenia zagrożenia ze strony Rosji niż premier Donald Tusk. Uważa tarczę za potrzebną i traktuje ją jako początek dwustronnego sojuszu militarnego z USA.

Premier Donald Tusk uważa – podobnie jak politycy z Berlina – że Rosja jest dla Europy partnerem i nie stanowi zagrożenia, zatem tarcza nie jest potrzebna, a nawet zwiększa ryzyko agresji na Polskę. Tusk wyjaśnia społeczeństwu, że podjął taką decyzję po rozmowach z politykami rosyjskimi.

Sierpień 2008 r. – agresja Rosji na Gruzję.

Listopad 2008 r. – wybory w USA. Następuje zmiana władzy w Waszyngtonie. Celem nowej administracji są reformy wewnętrzne i zakończenie operacji w Afganistanie, stąd potrzebny jest reset w relacjach z Rosją. Celem USA nie jest już przywództwo na świecie, lecz kontrola i ograniczenie zbrojeń, bo to zapewni oszczędności i środki na reformy wewnętrzne.

2004 r. – w USA wśród ekspertów trwa dyskusja nad programem budowy tarczy antyrakietowej w Europie.

Sierpień 2006 r. – z inicjatywy Władimira Putina strona rosyjska podpisuje ze stroną niemiecką umowę na budowę rurociągu Nord Stream 1.

2006 r. – dyplomaci USA prowadzą rozmowy konsultacyjne w Polsce na temat tarczy antyrakietowej i proponują negocjacje w tej sprawie.

Marzec 2007 r. – Władimir Putin przemawia na konferencji do spraw bezpieczeństwa w Monachium. W imieniu Rosji żąda, by

państwa zachodnie uznały rosyjskie interesy i rosyjską strefę wpływów w Europie.

9 maja 2007 r. – premier Jarosław Kaczyński podpisuje „Instrukcję Negocjacyjną” dla prowadzenia negocjacji z USA na temat tarczy antyrakietowej. Premier uważał, że tarcza w Polsce zniweluje rosyjską przewagę w broni rakietowej na terenie Europy.

Lipiec 2007 r. – Putin ogłasza, że Rosja nie będzie przestrzegać traktatu o ograniczeniu sił konwencjonalnych w Europie.

Listopad 2007 r. – premierem RP zostaje Donald Tusk, pełnomocnikiem rządu ds. negocjacji tarczy jest nadal wiceminister

3 grudnia 2008 r. – Komisja Europejska przyjmuje koncepcję Partnerstwa Wschodniego, czyli wsparcia finansowego i współpracy z Białorusią, Ukrainą, Mołdawią, Gruzją, Azerbejdżanem i Armenią. Partnerstwo miało być formą kooperacji zamiast drogi do członkostwa w UE, był to program ekspansji gospodarczej na Wschód zamiast integracji z Zachodem.

Marzec 2009 r. – podczas Konferencji do spraw Bezpieczeństwa w Monachium w imieniu prezydenta USA występuje wiceprezydent Biden i ogłasza, że USA są za polityką resetu w relacjach z Rosją. Ta deklaracja USA spotyka się z entuzjazmem we Francji i w Niemczech, bo te kraje realizują zbliżenie z Rosją od dawna, czyli od chwili podpisania paryskiej „Karty Nowej Europy” w listopadzie 1990 r. Państwa zachodniej Europy rozwijają współpracę z Rosją w sferach energetyki, przemysłu, polityki zagranicznej, a nawet w sprawach militarnych. Celem polityków zachodniej Europy jest budowa osi Paryż – Berlin – Moskwa. Upowszechnia się opinia, że skoro Rosja

nie jest zagrożeniem, lecz partnerem, to obecność USA w Europie jest zbędna.

1 września 2009 r. – prezydent Lech Kaczyński organizuje uroczystości na Westerplatte z okazji rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej. Wzywa polityków, by pamiętali o 50 mln ofiarach wojny i bronili pokoju, co wymaga, by wszyscy przeciwstawiali się imperializmowi.

Kwiecień 2010 r. – śmierć prezydenta Lecha Kaczyńskiego i jego całej delegacji pod Smoleńskiem.

8 września 2010 r. – prezes PiS Jarosław Kaczyński wysłał list do przywódców zachodnich i wzywa ich do przeciwstawienia się zagrożeniom ze strony Rosji.

8 listopada 2011 r. – uruchomienie rurociągu Nord Stream 1.

2014 r. – agresja Rosji na Ukrainę.

2015 r. – podczas Konferencji do spraw Bezpieczeństwa w Monachium wystę-

puje wiceprezydent Biden. W imieniu USA ogłasza koniec polityki resetu z Rosją i wzywa kraje zachodniej Europy do seryjności wobec Rosji. Państwa Europy Zachodniej nie przyjmują tego wezwania do wiadomości, lekceważą zmianę polityki amerykańskiej i dalej realizują politykę zbliżenia z Rosją.

2016 r. – prezydent USA Barack Obama na wniosek rządu premier Beaty Szydło decyduje o rozpoczęciu budowy tarczy antyrakietowej w Polsce i o rozmieszczeniu u nas 5 tys. żołnierzy amerykańskich. Oznacza to umocnienie pozycji Polski wobec Rosji oraz głównych państw UE, jak Niemcy i Francja. Jest to sygnał dla Rosji, że USA będą bronić flanki wschodniej NATO.

2017 r. – żołnierze USA rozpoczynają stacjonowanie w Polsce.

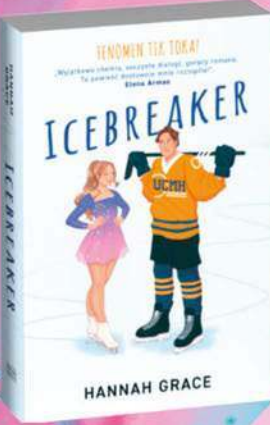
© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor w latach 1991–1992 był ministrem obrony narodowej.

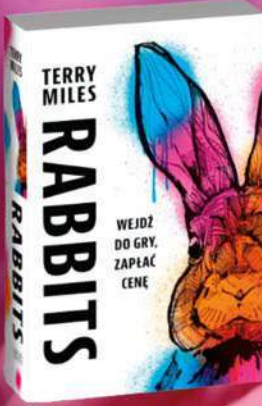
REKLAMA

MEGAPREMIERY NA LATO

Pikantna i wciągająca!



ICEBREAKER
HANNAH GRACE



TERRY MILES
RABBITS
WEJŚĆ DO GRY, ZAPŁAĆ CENĘ

Mroczna i szokująca!

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO





Łukasz Warzecha

Od początku wojny na Ukrainie Polska przekazała Kijowowi gigantyczne ilości uzbrojenia. Według systematycznie aktualizowanego zestawienia, tworzonego przez Kiloński Instytut Gospodarki Światowej nasza wojskowa pomoc dla walczącego sąsiada (dane z czerwca) wynosiła ok. 3 mld euro, czyli 13 mld zł, co dawało nam w liczbach bezwzględnych czwarte miejsce. W relacji do PKB było to 0,48 proc. i tu byliśmy na piątym miejscu na świecie

Co ukrywa

W ramach przekazywanego sprzętu na Ukrainę pojechało m.in. 250 zmodernizowanych czołgów T-72, kilkanaście czołgów Leopard, osiem myśliwców MiG-29, wiele wyrzutni rakiet przeciwlotniczych, ogromne ilości amunicji. Wydawałoby się, że nic do przekazania już nie pozostało, ale nawet w tej sytuacji choćby ministrowi Mariuszowi Kamińskiemu udało się jeszcze zorganizować w ramach własnego resortu karabiny maszynowe i amunicję. Nie jesteśmy w stanie oszacować wielkości pomocy nieoficjalnej, a więc tej, którą za własne pieniądze przekazywały na Ukrainę spółki Skarbu Państwa

czy państwowe jednostki budżetowe (sygnały o takich praktykach docierały do mnie również w formie wewnętrznych dokumentów). Wokół skali pomocy nie toczyła się nigdy żadna dyskusja. Rząd stwierdził, że tak ma być – i koniec.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się także, ile tak naprawdę oddaliśmy, ile sprzedaliśmy, za co dostaliśmy pieniądze, a za co ich nie dostaniemy. Konkretnie liczby dotyczą jedynie najważniejszego, ciężkiego sprzętu. W pozostałych przypadkach słyszymy tylko o „znaczących ilościach”, „dużych liczbach”. Rząd nie uznał za stosowne poinformować o tym obywateli ani też – co ważniejsze – przedstawić

skutków dla polskiej armii. Jedynie nieoficjalne szacunki lub sygnały pozwalają stwierdzić, że jej zdolności obronne zostały w ten sposób istotnie obniżone, a ich przywrócenie do odpowiedniego poziomu potrwa kilka lat. Pomijając już kwestię pieniędzy, które to pochłonę.

RYZIKOWNE PRZEDSIĘWZIĘCIA

Być może sprawa wchodzi teraz na nowy poziom. Goszcząc niedawno w Radiu Wnet, wiceminister obrony Marcin Ociepa został zapytany o ewentualne przekazanie Ukrainie jakiegokolwiek liczby polskich myśliwców F-16, których mamy 48. Jak wiadomo, Kijów domaga się tych maszyn od swoich



maszyn zgodziłaby się większa liczba państw, to Polska chętnie podjęłaby się roli pilota takiej inicjatywy, choć oznaczałoby to uszczuplenie jedyne chyba składnika naszych sił zbrojnych, jaki nam jeszcze pozostał w całości – zasobu naszych F-16. Jednocześnie z wypowiedzi wiceministra obrony narodowej wynika, że żadnych wcześniejszych zapowiedzi czy dyskusji nie będzie. Decyzja zostanie podjęta i wówczas zostanie obywatelom zakomunikowana. Pod koniec maja Josep Borrell, wysoki przedstawiciel UE do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, oznajmił, że bardzo się cieszy, iż ukraińscy piloci szkółą się już do obsługi F-16 – m.in. w Polsce. MON oczywiście nabrało wody w usta.

Przypomnijmy sobie inny spektakularny przykład bardzo ryzykownego przedsięwzięcia, przeprowadzonego całkowicie za plecami obywateli: wysłanie na Ukrainę blisko stuosobowej „misji pokojowej” polskich policjantów w celu rozminowywania obszarów opuszczonych przez Rosjan. Dowiedzieliśmy się o tym w lutym tego roku, już po powrocie funkcjonariuszy z Ukrainy po kilku miesiącach. Polskie władze nie tylko wysłały do walczącego kraju członków państwowej uzbrojonej formacji w służbie czynnej (nie ma znaczenia, że pojechali ochotnicy), nie tylko zrobiły to bez mandatu międzynarodowego – co powodowało, że potencjalnie policjanci mogli zostać przez Rosjan potraktowani po prostu jako uczestnicy konfliktu po stronie ukraińskiej – lecz także odmówili potem jakichkolwiek wyjaśnień.

Próbowałem wówczas dowiedzieć się w MSWiA m.in., jakie przepisy określały zasady działania kontyngentu podczas jego pobytu na Ukrainie, pod czym był dowództwem oraz jaki był jego status prawnomiędzynarodowy. Odpowiedź, którą otrzymałem z ministerstwa, była nadzwyczaj lakoniczna:

„Informujemy, że podstawę prawną dotyczącą utworzenia i działalności kontyngentu policyjnego wydzielonego do udziału w akcji humanitarnej w Ukrainie stanowią: umowa między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej a Gabinetem Ministrów Ukrainy o współpracy i wzajemnej pomocy w dziedzinie zapobiegania katastrofom, klęskom żywiołowym i innym nadzwyczajnym wydarzeniom

Josep Borrell oznajmił, że bardzo się cieszy, iż ukraińscy piloci szkółą się już do obsługi F-16 – m.in. w Polsce

oraz usuwania ich następstw, ustawa o Policji oraz inne dokumenty o charakterze niejawnym. Jednocześnie wyjaśniamy, że w tej kwestii zastosowanie mają przepisy art. 5 ust. 1 ustawy o dostępie do informacji publicznej, zgodnie z którym »prawo do informacji publicznej podlega ograniczeniu w zakresie i na zasadach określonych w przepisach o ochronie informacji niejawnych oraz o ochronie innych tajemnic ustawowo chronionych«.

CZYLI – NIC WAM NIE POWIEMY. I CO NAM ZROBICIE?

Ten epizod był o tyle ważny, że może zostać potraktowany jako swego rodzaju przełom w postrzeganiu polityki polskich władz wobec Ukrainy. Wcześniej można było podchodzić ze skrajną nieufnością do pojawiających się co jakiś czas informacji o niejawnych działaniach, w jakich ma uczestniczyć na Ukrainie Polska. Niektóre z tych informacji – szczególnie łączone z dziwacznymi relacjami czy nawet rzekomymi dokumentami – można było zresztą łatwo zidentyfikować jako ewidentne fałszywki, podrzucane najpewniej przez rosyjskie trolle. Inna sprawa, że walka z tego typu dezinformacją jest w Polsce wyjątkowo trudna, ponieważ jako „rezonowanie rosyjskiej propagandy” władza przedstawia wiele opinii, poglądów czy informacji po prostu odbiegających od oficjalnej linii. Dlatego wszelkie informacje o fałszywych narracjach czy wiadomościach ogromnie się zdewaluowały.

Jednak po ujawnieniu sprawy policyjnego kontyngentu zaufanie do rządu w takich sprawach mogło całkowicie zniknąć. Skoro nagle się okazało, że zbrojna polska formacja prowadziła od miesięcy działania na Ukrainie w kompletnej tajemnicy przed obywatelami, to co jeszcze spośród kolportowanych w sieci rewelacji może być prawdą? – można sobie było zadać pytanie.

sojuszników od dawna. Amerykańska zgoda w zasadzie jest, natomiast do żadnych konkretów do tej pory nie doszło.

Wiceminister Ociepa powiedział: „Jeżeli jest potrzebny przykład własny, to Polska jest gotowa ten przykład dać [...]”. Jak będzie decyzja formalna organów państwowych, to będziemy ją komunikować. Ale tak, Polska także w tym obszarze jest gotowa odgrywać rolę liderską, przywódczą, ale niewyłączną”. Dalej Ociepa zaznaczył, że ciężar wspomagania Ukrainy nie może spoczywać tylko na Polsce i Stanach Zjednoczonych.

Jak odczytywać te słowa? Chyba w ten sposób, że jeśli na przekazanie swoich

Tajemnica w nieco innej dziedzinie otaczała także nowy traktat polsko-ukraiński, o którym bardzo chętnie, acz na poziomie kompletnych ogólników, opowiadał pan prezydent. Ostatnio temat zniknął z publicznych wypowiedzi głowy państwa – prawdopodobnie dlatego, że po stronie ukraińskiej w miarę rozwoju sytuacji międzynarodowej zniknęła chęć zawarcia takiej umowy. Nie ma co załamywać rąk – wzięwszy pod uwagę sposób działania rządu w sprawie Ukrainy, można by się obawiać, jak by ta umowa wyglądała. Nie zmienia to jednak tego, że w żadnym momencie ani obywatele, ani nawet dociekający w tej sprawie posłowie opozycji (głównie Konfederacji) nie zostali poinformowani, na jakim etapie prac projekt umowy jest ani też co miałyby ona zawierać, skoro według deklaracji władzy miałyby się zasadniczo różnić od obecnego traktatu dwustronnego i iść znacznie dalej.

Te wszystkie przykłady pokazują, do jakiego stopnia polska polityka wobec Ukrainy i jej wojny z Rosją jest prowadzona niejawnie, bez informowania Polaków. W tym miejscu pojawia się zawsze argument, że tak przecież być musi, bo mówimy tutaj o sprawach obronności, które nie mogą być podawane do publicznej wiadomości. Owszem, z pewnością dotyczy to szczegółów organizacyjnych czy logistycznych. Jednak czy powinno też dotyczyć nie tylko ogólnego kierunku politycznego, lecz także konkretnych decyzji z niego wynikających, takich jak rodzaj i ilość przekazywanej broni? Gdzie rząd stawia granicę pomiędzy tym, co zasadnie pozostaje tajne, a tym, co wcale tajne być nie musi, za to powinno się stać przedmiotem debaty? Można odnieść wrażenie, że rzekoma konieczność zachowania tajemnicy jest niezwykle wygodnym pretekstem dla władzy, aby pewnych tematów publicznie nie podejmować i nie poddawać ich pod publiczną dyskusję.

Najlepszym tego przykładem są sprawy związane z pomocą wojskową dla Ukrainy. Owszem, można by uznać, że pewien jej poziom, szczególnie na początku wojny, był absolutnie uzasadniony i wtedy nie było o czym debatować. Jednak w miarę eskalacji skali polskich darów sprzętowych brak jakiegokolwiek dyskusji i stawianie obywateli przed faktami dokonanymi przekraczają po prostu

granice mandatu, którym dysponuje jakakolwiek władza. Mówimy tu przecież o decyzjach, które nie tylko nadwerężają polski potencjał obronny oraz polskie finanse, lecz także zwiększają zagrożenie włączenia Polski do gorącego konfliktu.

Trudno zaakceptować argument, że tak daleko idące działania mieszczą się w granicach mandatu, który władza otrzymała podczas ostatnich wyborów w 2019 r. Sytuacja od tego czasu radykalnie się zmieniła. Nikt wtedy nie przewidywał wybuchu gorącej wojny pomiędzy Ukrainą i Rosją na 2022 r. Nie mieliśmy wypracowanej linii postępowania, a taki scenariusz w ogóle nie był przedmiotem dyskusji przedwyborczych. Innymi słowy, w 2019 r. wyborcy nie mieli pojęcia, jak skrajną postać przybierze polityka wspierania Ukrainy przez rząd Mateusza Morawieckiego. To samo dotyczy zresztą wyborów prezydenckich w 2020 r.

Mówimy o decyzjach, które nie tylko nadwerężają polski potencjał obronny i polskie finanse, lecz także zwiększają ryzyko włączenia Polski do wojny

Nie jest to jedynie polski problem. Jeszcze w styczniu francuskie partie opozycyjne z lewej i prawej strony zaczęły się domagać, żeby skala pomocy wojskowej Paryża dla walczącej Ukrainy stała się przedmiotem parlamentarnej debaty. Argumentowano, że zobowiązania podejmowane przez prezydenta Macrona są tak daleko idące, że trudno się pogodzić z tym, aby w tym procesie nie uczestniczył parlament. Impulsem do tych żądań były sugestie francuskiego prezydenta na temat wysłania na Ukrainę swoich głównych ciężkich czołgów Leclerc, porównywalnych z leopardami. Takiemu ruchowi zdecydowanie sprzeciwiały się po prawej stronie Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen i Republikanie Érica Ciottiego, po lewej – komuniści i Francja Niepokorna (La France Insoumise) Jeana-Luca Mélenchona. W sprawie czołgów Leclerc Francja dotąd nie podjęła ostatecznej decyzji,

a klimat dla Ukrainy staje się coraz mniej korzystny.

Sondaże przeprowadzane w ostatnich miesiącach pokazują, że maleje akceptacja dla głębokiego angażowania się naszego kraju po stronie Ukrainy. Nadal chcemy wspierać walczącego sąsiada, ale w mniej angażujący sposób. W połowie maja Radio RMF FM opublikowało sondaż, w którym nikt z pytanym nie opowiedział się za wysłaniem na Ukrainę polskich wojsk. Blisko 50 proc. respondentów uznało, że Ukrainie należy udzielić przede wszystkim pomocy humanitarnej, a tylko nieco ponad 27 proc. opowiedziało się za uznaniem za priorytet pomocy w postaci sprzętu – w tym 16 proc. było za wysłaniem ciężkiego sprzętu wojskowego.

Jeszcze wyraźniej zmiana nastrojów objawiła się w badaniach prowadzonych cyklicznie przez zespół dr. Roberta Staniszwskiego z Uniwersytetu Warszawskiego. W ostatnim badaniu (maj–czerwiec) większość wciąż była za pomocą dla Ukrainy, ale wyraźnie spadł w relacji do stycznia odsetek osób odpowiadających „zdecydowanie tak” – z 62 do 40 proc. – za to z 28 do 45 proc. wzrósł odsetek odpowiadających „raczej tak”. Odpowiedzi przeczące to nadal margines (w sumie 9 proc.).

Bardzo wyraźnie natomiast zwiększyła się liczba odpowiadających przecząco na pytanie, czy Polska powinna udzielić Ukrainie dodatkowego wsparcia poza dotychczasowym. Suma odpowiedzi „nie” i „raczej nie” to wzrost z 36 proc. w styczniu do aż 55 proc. w ostatnim badaniu. Odpowiedzi „tak” oraz „raczej tak” spadły z 48 proc. do 28 proc. Odpowiadając na pytanie o rodzaj dodatkowego wsparcia, zadane tym, którzy się za takim opowiedzieli, najwięcej osób wskazało na wsparcie humanitarne (74 proc.), dyplomatyczne (72 proc.) oraz materialne (65 proc.).

Niektórzy powiedzą, że w czasie wojny nie ma miejsca na dyskusję. To nie do końca prawda, aczkolwiek faktycznie wiele demokratycznych procedur musi wówczas zostać zawieszonych. Na tę okoliczność mamy w polskiej konstytucji stan wojenny. Tyle że obecnie nie obowiązują żaden ze stanów nadzwyczajnych. Nie ma żadnego powodu, żeby rząd ukrywał przed obywatelami skalę swoich działań na rzecz Ukrainy ani też żeby w tej kwestii stawiał nas przed faktami dokonanymi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Michaelem Behe, amerykańskim biochemikiem
rozmawia Paweł Chmielewski

Życie zostało zaprojektowane

PAWEŁ CHMIELEWSKI: Jest pan jednym z najbardziej znanych krytyków darwinizmu na świecie. Uważa pan, że od teorii Darwina pochodzenie istot żywych lepiej wyjaśnia teoria inteligentnego projektu. Czym ona jest?

MICHAEL BEHE: Teoria inteligentnego projektu (ang. Intelligent Design, ID) jest ideą, zgodnie z którą same elementy przyrody mocno wskazują na to, że zostały celowo zaplanowane, a nie, że są dziełem przypadku. To starożytna idea, dyskutowana przez klasycznych filozofów greckich, takich jak Anaksagoras (który łączył uporządkowanie z nous, czyli z umysłem) czy Arystoteles, a także przez takich naukowców, jak wybitny rzymski lekarz Galen. Teoria ta umacniała się lub słabła na przestrzeni wieków, zależnie od rozwoju naszego rozumienia natury. Wróciła z wielką siłą współcześnie, a to w związku z odkryciami przez naukę skomplikowania podstawy życia, gdzie złożona maszyna molekularna wykonuje instrukcje przechowywane jako zakodowane informacje w DNA.

Czy teoria inteligentnego projektu różni się czymś od biblijnego kreacjonizmu znanego z niektórych środowisk protestanckich?

O tak, zdecydowanie. Inteligentny projekt to idea naukowa oparta na dowodach empirycznych, podczas gdy biblijny kreacjonizm jest wyrazem wiary religijnej. ID można porównać z teorią Wielkiego Wybuchu. Księga Rodzaju, która otwiera Biblię, stwierdza, że wszechświat bierze swój początek ze stworzenia przez Boga. Także współczesna fizyczna

teoria Wielkiego Wybuchu mówi, że wszechświat ma początek. Teoria ta nie opiera się jednak na tekstach religijnych; głosi, że wszechświat ma początek, bo wskazują na to takie dowody jak przesunięcie ku czerwieni światła z odległych galaktyk, spowodowane ich oddalaniem się od nas, jakby na skutek gigantycznej eksplozji. Również w przypadku biologicznej teorii inteligentnego projektu konkluzje są oparte na takich dowodach, jak odkrycie złożonej maszyny molekularnej w komórce, a nie na tekście Biblii.

Często pisze i mówi pan o tzw. nieredukowalnej złożoności, która miałaby wskazywać na celowość życia. O co w tym chodzi?

Termin „nieredukowalna złożoność” odnosi się do maszyny lub systemu, który wymaga do działania wielu odrębnych części, tak że jeżeli którakolwiek

części są potrzebne do funkcjonowania pułapki. Również molekularna struktura komórki jest nieredukowalnie złożona; ma wiele koniecznych części. Systemy nieredukowalnie złożone stanowią dla Darwinowskiej ewolucji trudność, bo nie mogą powstawać stopniowo w wielu małych krokach, jak zakładałby to Darwin. Uporządkowanie wielu części w jakimś celu – tak jak jest to w przypadku pułapki na myszy albo maszyny komórkowej – jest znamieniem inteligentnego projektu.

Mimo wszystko wydaje się, że system Darwinowski jest logiczny. Widzimy, że w praktyce to po prostu działa: zwierzęta się adaptują, zmieniają barwę, długość futra itd. Nie jest to dowód prawdziwości teorii Darwina?

Niektóre niewielkie zmiany życiowe, takie jak te, które pan wymienił, rzeczywiście można wytłumaczyć mechanizmem

To, jak właściwie powstało życie – nawet jeżeli przyznamy, że zostało celowo zaprojektowane – pozostaje tajemnicą. Współczesne badania wskazują, że pierwsze komórki pojawiły się na Ziemi nagle, miliardy lat temu

z nich zostaje usunięta, to system pada. Dobrym przykładem nieredukowalnej złożoności w naszym codziennym życiu jest mechaniczna pułapka na myszy. Pułapki na myszy mają z reguły kilka części – sprężyny, metalowe drążki, kłamy, drewnianą podstawę itd. Wszystkie te

Darwina. To jeden z dowodów, który przekonał starsze pokolenia naukowców, że teoria Darwina jest obiecująca. Jednak w miarę szybkich postępów biologii odkryto, że wiele cech życia można zmienić albo poprzez wprowadzenie niewielkich zmian w złożonych systemach, które

■ już istniały w komórce, albo poprzez uszkodzenie tych systemów. Przykładowo – tak jak pisałem w książce „Dewolucja. Odkrycia naukowe dotyczące DNA wyzwaniem dla darwinizmu” – zdecydowana większość mutacji odpowiedzialnych za różnice między niedźwiedziem brunatnym a polarnym wiąże się z uszkodzaniem istniejących wcześniej genów, takich jak gen odpowiedzialny za brunatny kolor futra. Uszkodzanie genów lub drobne poprawki w istniejących systemach nie mogą jednak wyjaśnić, jak te systemy powstały na samym początku.

Jaka jest pańska teoria dotycząca samego pochodzenia życia? Darwin uważał komórki za rodzaj galarety, którą określał mianem protoplazmy. Wskazuje pan, że w związku z tym sądził, iż mogły po prostu „pojawić się” w oceanach. Skoro dzisiaj wiadomo, że taka geneza życia jest nierealistyczna, to jaka jest alternatywa?

Tak, najprostsza komórka okazała się o wiele bardziej złożona, niż naukowcy epoki Darwina mogli sobie w ogóle wyobrazić; jest napędzana przez skomplikowaną maszynę molekularną i zawiera ogromną ilość danych zakodowanych w DNA. Jednak to, jak właściwie powstało życie – nawet jeżeli przyznamy, że zostało celowo zaprojektowane – pozostaje tajemnicą. Współczesne badania wskazują, że pierwsze komórki pojawiły się na Ziemi nagle, miliardy lat temu, i na przestrzeni długich okresów czasu przekształciły planetę w habitat nadający się do życia dla roślin i zwierząt, w tym ludzi. Bardzo trudno powiedzieć, czy taka „terraformacja” była jednym z wyraźnych celów wczesnego życia. Łatwo jednak zauważyć, że ta działająca celowo maszyna komórkowa wymagała jakiegoś projektu.

Skoro Darwinowskie tłumaczenie pochodzenia życia należy odrzucić, to co proponują dziś neodarwiniści? Czy są obecnie formułowane jakies poważne kontrpropozycje dla teorii celowego zaplanowania życia?

W słynnym eksperymencie przeprowadzonym na początku lat 50. XX w. Stanley Miller wykazał, że można wytworzyć niektóre aminokwasy, wysyłając iskry przez kolbę laboratoryjną, która zawierałaby gazy mające być obecne na „pierwotnej” Ziemi. Te badania wywołały wtedy wiele emocji, ale w kolejnych latach naukowcy zdali sobie sprawę, że atmosfera wcze-

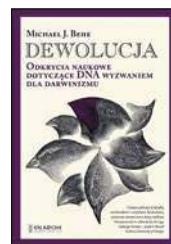
snej Ziemi była raczej zupełnie inna niż ta, której użył Miller. Co więcej, głównym problemem w wyjaśnieniu pochodzenia życia bez inteligentnego projektu nie jest to, jak powstały proste prekursory częsteczek życia; chodzi raczej o to, jak można je w ogóle ułożyć w bardzo specyficzne sekwencje, których używają komórki. Porównuje się to do rozrzużenia kilku drewnianych tabliczek, na których wypisane są różne litery alfabetu, w nadziei na to, że w jakiś sposób ułożą się one w spójną historię. W rzeczywistości jest to po prostu niemożliwe. W ciągu 70 lat od eksperymentu Millera stosunkowo niewielu naukowców próbowało jakichś sposobów rozwiązania problemu. Niektórzy naukowcy promują jedno podejście, drudzy wolą inne, ale nie ma absolutnie żadnego konsensusu co do tego, jak mogło powstać życie. To ogromnie kłopotliwy temat dla tych, którzy próbują wyjaśnić pochodzenie życia, nie odwołując się do jakiegos planu.

Jednak spory panują również wśród krytyków teorii Darwina, np. w kwestii pochodzenia gatunków, zwłaszcza samego człowieka. Czy według pańskiej wiedzy należy sądzić, że Adam i Ewa zostali bezpośrednio stworzeni, czy też trzeba przyjąć, że ludzie mają wspólnego przodka z małpami?

Rozważając kwestię wspólnego pochodzenia dwóch gatunków, należy wziąć pod uwagę dwa czynniki – podobieństwa i różnice. Podobieństwa uważa się często za dowód dziedziczenia od wspólnego przodka. Skoro istnieją jednak również ogromne różnice między gatunkami, które są trudne do wyjaśnienia za pomocą założeń Darwinowskich, to podjęcie jakiejś decyzji tylko na podstawie nauki jest niemożliwe. Trzeba odwołać się do założeń filozoficznych dotyczących powstania obu gatunków z ich podobieństwami i różnicami. Ludzie i małpy czelkowskkształ-

ne mają wiele biologicznych podobieństw, ale oczywiście są też biologicznie dość odmienni, zwłaszcza pod względem zdolności umysłowych. Z powodów naukowych i/lub filozoficznych wielu zwolenników inteligentnego projektu uważa, że małpy i ludzie nie mają wspólnego przodka. Jeśli chodzi o mnie, to chociaż nie jestem filozoficznie przywiązany do tego poglądu, na potrzeby dyskusji chętnie zgodzę się, że wspólne pochodzenie jest prawdą. Robię tak, bo uważam, że kwestia wspólnego pochodzenia jest w rzeczywistości znacznie mniej istotna niż to, czy życie zostało celowo zaprojektowane czy też nie. Z mojego doświadczenia wynika, że spory

FOT. ADRIAN STUCK



**MICHAEL BEHE
„DEWOLUCJA.
ODKRYCIA
NAUKOWE
DOTYCZĄCE DNA
WYZWANIEM
DLA
DARWINIZMU”
FUNDACJA
EN ARCHE 2022**



dotyczące wspólnego pochodzenia odwracają uwagę od centralnej kwestii, czyli istnienia planu.

Wspomniał pan o swojej książce poświęconej zjawisku dewolucji. Jeżeli rozumiem pański koncept dewolucji poprawnie, to chodzi o to, że proces naturalnej selekcji oraz przypadkowych mutacji, tak jak opisywał te rzeczy Darwin, prowadzi raczej do degeneracji organizmów niż do ich rozwoju. Czy Darwinowska ewolucja byłaby zatem programowo niezdolna do tego, aby stworzyć coś rzeczywiście nowego?

Przed odkryciem roli DNA w przechowywaniu informacji biologicznej w latach 50. naukowcy nie mieli pojęcia, jaka jest fizyczna natura mutacji, więc po prostu zakładali, że będzie ona konstruktywna. Nawet po odkryciu kodu genetycznego w latach 60. biologom brakowało narzędzi potrzebnych do śledzenia poszczególnych wybranych mutacji (które okazały się zmianami molekularnymi w miliardach jednostek tworzących genom danego organizmu) przez tysiące pokoleń w populacjach liczących miliony osobników. Jednak ze względu na ogromny postęp techniczny i sprzętowy w ostatnich dziesięcioleciach biologia była w stanie skutecznie śledzić i identyfikować, jakie mutacje – zmiany molekularne w DNA – pojawiają się, aby pomóc gatunkowi w adaptacji.

Darwiniści podkreślają, że dobór naturalny jest bezmyślny – nie ma żadnego

celu i nie może przewidywać przyszłości. Oznacza to, że gdy jakaś mutacja pojawi się w gatunku jako pierwsza po to, aby pomóc mu przystosować się do zmieniającego się środowiska, zostanie „wybrana” bez względu na to, jakie dokładnie skutki może ostatecznie wywołać. Okazało się, że w przeważającej większości są to mutacje, które albo uszkadzają, albo degradują istniejące wcześniej geny. Tak jest choćby w przypadku mutacji, która uszkodziła gen związany z pigmentacją przekształcający futro niedźwiedzi polarnych na białe. Z perspektywy czasu łatwo dostrzec przyczynę takiego stanu rzeczy. Geny to duże i skomplikowane systemy. Wiele zmian w genie prowadzi do jego uszkodzenia: dochodzi do tego łatwo. Tylko niewiele mutacji konstruktywnie ulepsza geny lub tworzy nowe: jest to trudne. Ewolucja Darwinowska, będąc ślepa, musi postępować najszybszą i najłatwiejszą ścieżką. To oznacza, że przeważa degradacja genów. Jest niezwykle mało prawdopodobne, aby taki proces zbudował coś, co jest tak złożone jak maszyna molekularna.

W powszechnym odbiorze darwinizm jest obiektywną, ustaloną naukową prawdą, której nie można zmienić. Pan uważa inaczej. Na ile pańskie zdanie jest odosobnione, a na ile zawodowi biolodzy również mają dystans do darwinizmu?

Większość zawodowych biologów nie zajmuje się ewolucją ani się nad nią

dogłębnie nie zastanawia. Generalnie akceptują darwinizm, który wśród wyspecjalizowanych biologów ewolucyjnych wciąż jest najpopularniejszą teorią. Jednak w ciągu ostatnich kilku dekad rosnąca mniejszość biologów ewolucyjnych – być może jedna trzecia – przestaje zadowalać się darwinizmem i szuka czegoś innego. Narodziła się idea zwana „rozszerzoną syntezą ewolucyjną” (EES), która próbuje dodać do teorii Darwina różne mechanizmy, tak by wyjaśnić złożoność życia. W książce o dewolucji dokonałem przeglądu wielu z tych pomysłów. Krótko mówiąc, chociaż każda z nowszych koncepcji jest interesująca i może wyjaśnić jedno lub kilka zjawisk biologicznych, to żadna z nich nawet nie próbuje wyjaśnić pochodzenia złożonych systemów, takich jak oko czy maszyna molekularna. Moim zdaniem niepokój biologów ewolucyjnych wskazuje na słabość teorii Darwina, a ograniczona natura EES dowodzi, że nie istnieje lepsza alternatywa dla Darwina niż inteligentny projekt (ID).

Jest pan uczestnikiem konferencji „Wiara i nauka” poświęconej inteligentnemu projektowi, odbywającej się w Niepołomicach. W Polsce to wyjątkowe wydarzenie. Na ile w skali świata debata na ten temat jest otwarta i naprawdę się rozwija?

W ciągu ostatnich 25 lat odbyło się wiele konferencji na temat inteligentnego projektu i problemów z darwinizmem. Tak zakorzenione idee jak ewolucja Darwinowska trudno obalić, często są przecież podparte filozoficznym i emocjonalnym zapleczem ich zwolenników. Mimo wszystko, w mojej ocenie, ID notuje istotne postępy. Pierwszorzędną tego przyczyną jest to, że w miarę postępów nauki w kwestii złożoności i szczegółowości podstaw życia inteligentny projekt zdaje się być coraz bardziej oczywisty. Nauka nie może wiecznie ignorować danych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Michael Behe jest profesorem biologii na Lehigh University w Pensylwanii. Współpracuje z Discovery Institute. Zajmuje się teorią inteligentnego projektu i krytyką darwinizmu. Opublikował na ten temat wiele książek naukowych i artykułów; część z nich została wydana również w Polsce.

Moralny i ideowy upadek chrześcijańskiej demokracji rządzącej w Rzymie przez kilkadziesiąt lat jest tematem dość dobrze znanym, ale losy „dalszej” prawicy, zawsze z niechęcią traktowanej przez liberalne i lewicowe media, już nie. Dziś można jednak i o tych wątkach pisać z większą swobodą. Kita zaś z dobrze stonowaną życzliwością opowiada swoim czytelnikom o tych, którzy pomimo wojennej katastrofy rządów Mussoliniego nie chcieli porzucać idei rewolucji narodowego solidaryzmu, która – w gruncie rzeczy – nie była tożsama ani z lewicą, ani z prawicą, czego świadomość trwała jeszcze długo w powojennych środowiskach postfaszystowskich.

Rzecz jasna, idee faszystowskie zostały już wielokrotnie przemyślane. Włoski Ruch Społeczny (Movimento Sociale Italiano, MSI), z którego wywodzi się partia Meloni, czyli Bracia Włosi, przeszedł długą drogę. Od dość zdecydowanego neofaszyzmu w latach powojennych, gdy stronnictwem po raz pierwszy kierował Giorgio Almirante, do coraz słabiej ideowo zarysowanych stanowisk centroprawicowych z czasów Gianfranco Finiego. Fini sprawił, że dawni faszyci stali się niemal nieodróżnialni od swoich centroprawicowych sojuszników z Forza Italia Berlusconi. Co więcej, Fini tak dalece szukał szerokiej akceptacji dla postfaszystowskiej tożsamości swojej partii, że w rozmaitych deklaracjach obchodził Berlusconi z pozycji, które można by określić mianem centrolewicowych. Postawa Finiego właściwie wydawała się być niczym innym jak wchodzeniem w buty dawnej chadecji. W pierwszej połowie lat 90. chadecja była już ugrupowaniem upadłym i bez większego znaczenia po tym, gdy na jaw wyszły rozmaite skandale korupcyjne najważniejszych polityków związanych z tym ugrupowaniem.

NARODOWY KONSERWATYZM

Fini przegrał swoją grę z dwóch powodów. Po pierwsze, Berlusconi okazał się od niego ostatecznie sprytniejszy, a po drugie, aktyw, szczególnie młody aktyw MSI, coraz lepiej rozumiał, że jeśli sprawy potoczą się dalej w kierunku wyznaczonym przez jej nowego lidera, to tożsamość Włoskiego Ruchu Społecznego, narodowa, sceptyczna wobec liberalizmu i kapitalizmu, stanie



FOT. WWW.GOVERNODITCE.IT

Bardzo dzielna dziewczyna



Tomasz Rowiński

Książka Kacpra Kity o Giorgii Meloni to coś więcej niż biografia urzędującej premier Włoch. To książka dla każdego, kto chciałby zapoznać się z najnowszą historią polityczną Italii z perspektywy, która rzadko jest przyjmowana – szczególnie w Polsce

się po prostu przeszłością. Dzisiejsze ideowe stanowisko, które zajmują Giorgia Meloni i jej partia, można określić mianem narodowego konserwatyzmu. Dziedziczka spuścizny MSI utrzymała także prodemokratyczną linię Finiego, choć odrzuciła szerszy dryf partii w stronę ideowej nieokreśloności. Ostatecznie także, ze względu

na szersze ideowe przemiany polityki na Zachodzie, Bracia Włosi nie są już postrzegani jako ruch pomiędzy lewicą a prawicą, ale – szczególnie w ramach obelgi – „skrajna prawica”.

Rzeczywiście Meloni bywa porównywana do Giorgio Almirante i choć jest to, jak się zdaje, porównanie nieco na

wyrost, to jej stanowisko wobec faszyzmu i Mussoliniego w pewnej mierze przypomina powojenną formułę postfaszystów „Non rinnegare, non restaurare”, co znaczy „nie negować i nie restaurować”. Pytana bezpośrednio o Mussoliniego w roku 2018 odpowiadała, że to skomplikowana postać, a o samym faszyzmie powiedziała, że „ogranicza się do przeszłości”. Są to dużo bardziej ostrożne wypowiedzi od tych, których udzielała w tej sprawie w młodości i które cytuje Kacper Kita. Książka Kity daje nam zresztą zupełnie inną perspektywę od potocznie przyjmowanej w Polsce, w której Mussoliniego widzimy przede wszystkim przez pryzmat jego sojuszu z hitleryzmem. Z polskiego punktu widzenia nie jest proste do zrozumienia, dlaczego jedna z ważnych partii prawicowych we Włoszech odwołuje się do dziedzictwa tzw. Republiki Salò, czyli Włoskiej Republiki Socjalnej, marionetkowego państwa stworzonego przez Niemców po obaleniu faszystów w roku 1943.

W tym miejscu warto podać nieco dłuższy cytat z książki Kity: „Republika Salò przetrwała siedemnaście miesięcy od września 1943 r. do kwietnia 1945 r. Na płaszczyźnie ideologicznej stanowiła powrót do antykapitalistycznych korzeni faszyzmu. Mussolini ogłosił konieczność przyspieszenia »rewolucji społecznej« i walkę z »plutokratyczną burżuazją«, która zdradziła wraz z królem i częścią wojskowych. Niektórzy badacze uważają wręcz, że na tym etapie sam Duce nie wierzył już w zwycięstwo w wojnie i chciał pozostawić po sobie wyraziste ideowe dziedzictwo. To może tłumaczyć, dlaczego w środku przegrywanej wojny światowej Mussolini postanowił zająć się np. przekazaniem władzy w fabrykach radom robotników – choć z drugiej strony rolę na pewno odegrało też przekonanie, że to właśnie kręgi przemysłowe, finansowe i mieszczańskie osłabiały faszyzm, przyczyniły się do niepowodzeń wojennych i wreszcie lipcowego przewrotu. Postawa Duce niepokoiła Niemców, których interesowało ratowanie wyniku wojny. Obawiali się, że reformy wpłyną negatywnie na możliwości produkcyjne włoskiej gospodarki wojennej. Mimo to Mussolini skutecznie przeprowadził uspołecznienie

siedemdziesięciu sześciu zakładów, w tym takich jak Alfa Romeo, Motomeccaniche czy Fiat”.

MECHANIZMY POLITYKI

Zaletą książki Kacpra Kity jest to, że strona po stronie nie tylko otrzymujemy wyrazisty obraz najważniejszych postaci włoskiej polityki, lecz także widzimy mechanizmy, które decydują o specyficznej dynamice politycznej w tym kraju w czasach powojennych. Oczywiście głównym przedmiotem zainteresowania Kity jest szeroko rozumiane środowisko Meloni, a także jego sojusznicy, będący nieraz równocześnie bezpośrednimi rywalami. Gdy jednak trzeba, autor ze swobodą wysyła czytelnika na wycieczki w rejony bliższe lewej stronie polityki. Kita nie karmi nas złudzeniami, jego opis włoskiej polityki nie jest idealistyczny, nawet jeśli może się wydawać nieco sentymentalny w relacji do MSI. Gdy pisze o motywacjach wejścia do polityki czterokrotnego premiera Włoch Silvia Berlusconi, opisuje je bez zahamowań: „W przypadku Silvio [...] rolę odegrała też chęć obrony swoich interesów biznesowych po przepadnięciu Craxiego, dotychczasowego protektora, jak również zwyczajna chęć zdobycia władzy i immunitetu, jako środków walki z węższą wokół niego prokuraturą”.

Kita nie unika w swojej książce także skomplikowanych wątków życia prywatnego Georgii Meloni. Opowiada o tym, jak jej matka w ostatniej chwili zrezygnowała z zabicia we własnym łonie małej Georgii, o tym, że tak naprawdę Georgia nigdy nie znała swojego ojca i ten brak stał się impulsem dla jej wielkiej politycznej ambicji połączonej z chęcią umocnienia tradycyjnego ładu społecznego. Ładu, w którym ludzie, wychowując się w pełnych rodzinach, po prostu mniej cierpią i są bardziej szczęśliwi. Meloni zarzuca się niespójność, sama żyje w niesformalizowanym związku, z którego ma syna. Kita podnosi te problemy, ale jednocześnie uczciwie przytacza, w jaki sposób włoska premier tłumaczy swoją sytuację: „Mówić, że nie mogę bronić rodziny opartej na małżeństwie, nie będąc zamężną, to trochę jak mówić, że młodzi nie mogą przejmować się problemami starszych

albo że ludzie nie mogą przejmować się problemami zwierząt”. Gdyby życzliwie traktować stanowisko Meloni, trzeba by ją uznać za jedną z ofiar społecznego kryzysu swojego czasu, która za pomocą polityki chciałaby choć trochę ten kryzys zażegnać. Jednak odpowiedź na pytania, czy jest to możliwe i czy Meloni może w ten sposób usprawiedliwiać swoją sytuację prywatną, nie jest oczywista.

STOSUNEK DO POLSKI

Dla czytelnika z pewnością ciekawe będą dwa ostatnie rozdziały książki. Pierwszy z nich relacjonuje stosunek Meloni do Polski, a szerzej do Europy Wschodniej. Da się zauważyć, że część sympatii do naszego regionu wynika z pamięci o św. Janie Pawle II, a także z wyraźnego antykomunizmu prawicy włoskiej, która dziś może mówić, że solidaryzowała się z losem naszego regionu także wtedy, gdy polityczny establishment na Zachodzie traktował komunistyczną dominację nad krajami CEE z większą lub mniejszą obojętnością. Pytana o komunizm dziś Meloni odpowiada: „Lewica zastąpiła internacjonalizm komunistyczny internacjonalizmem poprawnego politycznie globalizmu. Pierwszy ze szlachetną intencją wydobywania z biedy eksterminował miliony ludzi. Ten drugi jest zabawką w rękach wielkich koncernów międzynarodowych i wielkiej finansjery, które masakrują najsłabszych. I nazywają to lewicą”.

Ostatni rozdział dotyczy sprawy zasadniczej, także dla Polski. Czy jest jeszcze możliwe poważne i skuteczne uprawianie polityki prawicowej? Dla Meloni to pytanie, czy będzie premierem zmiany czy rozmyje się w europejskim establishmentie i np. w zamian za jakieś krótkoterminowe profity dla włoskiej gospodarki zaakceptuje niemiecką Europę pod brukselskim zarządem. Jej sytuacja nie jest łatwa, rządy we Włoszech od drugiej wojny światowej zawsze zagrożone były niestabilnością. Także w przypadku Meloni dynamiczna gra może prowadzić do dyskwalifikacji. A może ta „bardzo dzielna dziewczyna” (una bravissima ragazza), jak ją nazwała wdowa po Almiranem, jednak da radę? Książka Kacpra Kity złożoną sytuację, w której znajduje się włoska premier, zrecznie nam przybliży.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



KACPER KITA
„MELONI. JESTEM GEORGIA”
DĘBOGÓRA 2023



Ulotka satyryczna „Taniec wokół Polaków”. Po lewej tańczy król pruski Fryderyk Wilhelm II, pośrodku caryca Katarzyna II, po prawej cesarz Franciszek I. FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Gdyby porównać dzisiejszy system polityczny do Rzeczypospolitej XVIII w., okaże się, że największą władzę miał wówczas sejm, a nie król i rząd. Zgromadzenie uchylało prawo, ordynacje podatkowe i inicjowało ich zbieranie, ustalało liczbę wojska, zawierało traktaty, decydowało o wojnie i pokoju. Jego zerwanie przez zastosowanie prawa weta lub rozejście się bez uchwał oznaczało, że państwo zostawało sparaliżowane. Wojsko nie miało żołdu, podatki nie wpływały, Rzeczpospolita nie reagowała na sytuację polityczną poza granicami. W porównaniu z czasami Stanisława Poniatowskiego dzisiejszy ustrój prawny wydaje się szczytem marzeń. Bez przerwy rządzi nami rząd, a ustawy zabezpieczają ciągłość władzy. Jeśli nawet sejm zostanie zerwany, czyli rozwiąże się, oznacza to przedterminowe wybory, ale nie kryzys. Podatki nadal będą sływać, wojsko, policja i admini-

Sejm pod butem Moskwy



Jacek Komuda

Na tron polski należy wybrać osobę, która będzie wdzięczna za swój wybór wyłącznie sąsiednim państwom – głosił carski dyplomata Karl Gustaw von Loewenwolde

stracja dostaną wypłaty, będą działać ministerstwa i ambasady. A jeśli nawet sejm nie uchwali budżetu, nie oznacza to, że Polska zostanie bez dochodów – rząd będzie bowiem rządził w oparciu o prowizorium do chwili uchwalenia nowej ustawy budżetowej.

W XVIII w. do uchwalenia ustaw, czyli konstytucji sejmowej, potrzebna była nie większość, ale jednomyślność wszystkich uczestników zgromadzenia. Jeden poseł mógł zerwać sejm, najczęściej nie zgadzając się na jego przedłużenie, paraliżując działalność państwa. Sejm miał zbyt ogromną władzę, którą przez całe wieki zawłaszczał od kolejnych królów, i zbyt kruche podstawy działania. Lecz jeśli czytając te słowa wydaje się, że gloryfikuję współczesny ustrój państwa, zaraz ich ostudzę. Dzisiejsza kultura polityczna w Polsce jest na tak niskim poziomie, że gdyby Sejm przy Wiejskiej funkcjonował na zasadach sprzed 400 lat, nie byłoby możliwości jego działania! Trudno wyobrazić sobie, aby w chwili zacieklej walki Koalicji Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości możliwe było uchwalenie jakiegokolwiek ustawy JEDNOMYŚLNIE. To znaczy, że nie tylko PiS i KO, lecz także inne mniejsze partie, jak PSL, Polska 2050, Konfederacja i Lewica, głosowałyby razem, jednym głosem za jakąkolwiek reformą. Jarosław Kaczyński w jednym szeregu z Borysem Budką, Grzegorzem Schetyną, Adrianem Zandbergiem, a nawet Ryszardem Petru?! Oto coś, co – jak mówił Radziwiłł „Panie Kochanku” – jest dziś absolutnie niemożliwe.

A przecież sejmy dawnej Rzeczypospolitej działały sprawnie na takich właśnie zasadach przez 150 lat – od początku XVI stulecia do roku 1652! Działają tak, gdyż ich kultura polityczna stała powyżej dzisiejszej.

Zerwanie sejmów oznaczało paraliż państwa. Jednak z drugiej strony jego konstytucje były uznawane przez społeczeństwo jako prawa. Kto zatem kontrolował sejm, zrywając obrady lub zmuszając go do uchwalenia odpowiednich uchwał, de facto miał władzę nad Rzeczpospolitą. Trudno się dziwić, że zdominowany został przez ambasadorów Francji, Prus, Austrii i przede wszystkim – Rosji. Gdyż tylko ona miała wystarczające środki, by sejmy nie tylko

zrywać, lecz także sterroryzować i zmusić posłów do uległości.

ŁŻE-ELEKCJA

Do śmierci Augusta II Sasa w 1733 r. Rzeczpospolita trwała sparaliżowana przez działalność stronnictw, które zrywały obrady, wykonując wolę Prus, Austrii i Rosji. Sejmy jednak wolne były od zagrożenia terrorem zbrojnym. Król, choć nie zapisał się dobrze w historii, zawarł w 1719 r. traktat wiedeński z Austrią i Anglią, zmuszając do wyjścia z kraju wojska moskiewskie, i na kolejne 14 lat Rzeczpospolita odzyskała względną suwerenność. Za czasów Augusta doszło jednak do precedensu – zwołany w 1717 r. Sejm Niemy zebrał się tylko po to, aby zatwierdzić umowy, które wynegocjowano wcześniej pomiędzy delegatami króla i konfederatów tarnogrodzkich. W przyszłości wykorzystają to moskiewscy ambasadorowie. Obrady sejmowe zaczną bowiem wyglądać tak, że żądania i propozycje zostaną podane nie pod obrady całego sejmiku, ale wyłonionej z niego delegacji – sejm zaś jedynie będzie zatwierdzał jej ustalenia. Co za wdzięczne pole dla manipulacji!

W 1733 r., po śmierci Augusta i ogłoszeniu bezkrólewia, Rosja postanowiła przeformować swojego kandydata. Już w 1732 r. carski dyplomata Karl Gustaw von Loewenwolde zawarł w Berlinie traktat z Austrią wykluczający popularnego Stanisława Leszczyńskiego, stronnika Francji, i wysuwający portugalskiego infanta Manuela de Bragancę. Zresztą Rosja była gotowa poprzeć nawet „Piaśta”, byleby okazał się uległy. Problem jednak leżał w naturze cholernych Polaków i Litwinów. Cała szlachta popierała Leszczyńskiego, forsowanego umiejętnie przez prymasa Teodora Potockiego!

Gabinet carowej Anny Iwanowny postanowił zastosować trzy środki. Pierwszym było uaktywnienie stronnictwa prorosyjskiego – wypłacenie znaczących sum tym magnatom, którzy poparliby kandydata Moskwy. W rozmowach Rosjanie odwoływali się także do ich dumy. Wysłannicy carowej mieli prawo obiecać, że Rosja poprze jednego z polskich lub litewskich możnych jako kandydata. Proponowano to regimenterowi wojsk litewskich Michałowi Serwacemu Wiśniowieckiemu, marszał-

kowi Pawłowi Sanguszcze i wojewodzie wileńskiemu Kazimierzowi Ogińskiemu. Ponadto posłańcy uciekali się też do szantażu – majątki opornych lub zrywających współpracę z Rosją panów miały być ograbione w czasie interwencji. Ostatni argument polityczny był wagi ciężkiej – postanowiono wysłać do Rzeczypospolitej 32 tys. wojska, które miało doprowadzić do wyboru odpowiedniego króla. Później wsparło ich także 6 tys. żołnierzy saskich.

Rok 1733 to obnażenie prawdziwych intencji otaczających nas mocarstw i słabości państwa. Kiedy 12 września obradujący na Woli sejm elekcyjny jednogłośnie, bez sprzeciwu, wybrał Stanisława Leszczyńskiego na króla, na Warszawę maszerowała już armia moskiewska; Rzeczpospolita, mająca 24 tys. wojska na papierze, nie była w stanie się obronić. Rosjanie 5 października zwołali pod wsią Kamion na prawym brzegu Wisły własną elekcję, na której biskup poznański Bezdán Hozjusz obwołał królem Fryderyka Augusta, elektora saskiego. Pomimo wytężonej działalności agentów podpisało ją tylko kilku, ale bardzo zamożnych magnatów. Teodor Józef Lubomirski, który sam myślał o koronie, Jan Klemens Branicki, bajecznie bogaty Michał Kazimierz Radziwiłł „Rybeńko” i garść ich klientów.

Leszczyński, nie mając sił do obrony, uciekł do Gdańska, potem wycofał się do Królewca, czekając na pomoc zięcia, króla Francji Ludwika XV. Stronnicy króla zawiązali konfederację dzikowską, której oddziały zostały rozbite. Podpisanie przez Francję pokoju z Austrią sprawiło, że Leszczyński abdykował. Konflikt zakończył sejm pacyfikacyjny w 1736 r., już wtedy poseł carski Herman Karl von Keyserling rozpoczął odtwarzanie stronnictwa prorosyjskiego, dzięki któremu Rosja w 1763 r. narzuciła kolejnego króla – Stanisława Augusta Poniatowskiego.

SEJM POD BAGNETAMI

Od teraz Rosjanie przestali przejmować się pozorami demokracji i wolności szlacheckiej, zachowując je tylko poza Rzeczpospolitą. Kontrolując sejmy, realizowali cele: uniemożliwienie reform skarbu, wojska i dalsze uzależnienie kraju od Moskwy. Do realizacji ostatniego posłużyć miało – w myśl założeń

■ carycy Katarzyny II, przekazanych ambasadorowi Nikołajowi Repninowi – wzięcie pod protekcję dysydentów, czyli innowierców, pozbawionych części praw. Z wdzięczności mieli stać się posłusznymi wykonawcami woli Petersburga.

Pierwszą batalią stał się sejm pod laską Celestyna Czaplica rozpoczynający obrady 6 października 1766 r., na którym Berlin i Moskwa – jakże to dziś brzmi złowieszczo – zagroziły wojną w przypadku wprowadzenia głosowania większością nad projektami Komisji Skarbowej. Czartoryscy, wystraszeni możliwością utracenia protekcji rosyjskiej, wycofali się z większości projektów, jednak rozpoczęta na sejmie sprawa przywrócenia praw dysydentom wróciła niebawem.

W 1767 r. ambasador rozpoczął szczerze na siebie Polaków, zawiązując konfederację innowierców – w Słucku i Toruniu. Następnie powołał konfederację katolików w Radomiu, stawiając na jej czele Karola Stanisława Radziwiłła, a także pozyskując innych zwolenników Wettynów: hetmana Jana Klemensa Branickiego i opozycjonistów – w tym bp. Sołtyka. Repnin oszukał ich jednak, obiecując, że konfederacja obali znielowidzonego Stanisława Augusta. W rzeczywistości, kiedy akces do niej zgłosiło 74 tys. szlachty, nakazał posłuszeństwo wobec króla i... wysłanie próśb do carowej o gwarancje ustroju.

Grę tę przejrzał bp Sołtyk i wystąpił przeciwko dysydentom. Repnin posunął się wówczas do terroru; kazał aresztować stronników katolickich – Szczęsnego Czackiego i Franciszka Koźmowskięgo. Potem przez prymasa Podoskiego, sprzedawczyka, szelmę i ateistę, zagroził Sołtykowi, że „z księcia siewierskiego zrobi go sybirskim”.

Przed rozpoczęciem 5 października 1767 r. sejmem Repnin zadbał, aby sejmiki wybrały odpowiedni komplet posłów, i kazał otoczyć je wojskiem. Jednak w swojej beczelności posunął się za daleko. Chciał powtórzyć Sejm Niemy – projekt uchwał miał przyjść od ambasadorów Rosji i Niemiec, sejm wyłonić delegację, która będzie je negocjować, a potem tylko zatwierdzić jej ustalenia.

Już na początku obrad, przeciwko tym machinacjom wystąpili posłowie na czele z bp. Sołtykiem, hetmanem Wacła-



Kołacz królewski, czyli alegoria rozbioru Polski w 1772 r. Plansza z francuskiego wydania książki Karola Fostera „Pologne” z 1840 r. Fot. MNW

wem Rzewuskim i bp. Józefem Żałuskim. Repnin dokonał wówczas niebywałego gwałtu – kazał porwać opozycjonistów i wywieźć ich do Kaługi, czyniąc z nich pierwszych w historii Rzeczypospolitej więźniów politycznych. Złamał kręgosłup sejmowi, który posłuszenie wyłonił delegację do pertraktowania z posłami – jej skład ustalił z góry ambasador. Sejm został zalimitowany, a 26 lutego 1768 r., po wznowieniu obrad, pomimo protestów, uchwalił przywrócenie praw wolności wyznania, budowy i odbudowy świątyń i szkół, a także prawo pełnienia funkcji publicznych dla innowierców. Przyjął także prawa kardynalne – liberum veto, prawo wolnej elekcji, nieposłuszeństwa królowi, nietykalności szlachty – którą sam Repnin brutalnie naruszał. Przywileje te gwarantowała cesarzowa Katarzyna II, czyniąc z Rzeczypospolitej oficjalny moskiewski protektorat. Na zaledwie trzy dni...

29 lutego wybuchła bowiem konfederacja barska, bunt szlachty rozwiściecznej wtrącaniem się Moskwy w sprawy Rzeczypospolitej, która doprowadziła do pierwszego rozbioru.

ADAM P. ĆWIARTUJE POLSKĘ I LITWĘ

Stłumienie konfederacji zakończyło się w 1772 r. rozbiorem zawartym między mocarstwami, z powodu „rozkładu państwa i utrzymującej się w Polsce anarchii”. Aby ten akt został uprawomocniony, należało jednak zmusić Polaków, aby go zaakceptowali. 18 września nowy ambasador rosyjski Otto Magnus von Stackelberg – wspólnie z pruskim i austriackim – zażądali zwołania sejmu, który by „przywrócił konstytucję i wolność polskie, a zarazem

zadośćuczynił roszczeniom dworów”. Król protestował, senat odroczył egzekucję do 8 lutego 1773 r. Sejm zwołany został ostatecznie 19 kwietnia w Warszawie. Moskałe zadbali o obsadę wojska, powołany został fundusz europejski, to jest, przepraszam, kasa gadzinowa na przekupywanie posłów i dygnitarzy. Największym kłopotem okazało się wskazanie odpowiednio skorumpowanego i zależnego od zaborców marszałka. Po długich poszukiwaniach znalazł się Adam bywszy Poniński (Sejm Wielki skazał go później na pozbawienie nazwiska), człowiek przypominający cynizmem i przewrotnością Jerzego Urbana, który za 24 tys. zł zgodził się być katem ćwiartującym Rzeczpospolitą. Jednak Stackelberg nie do końca mu wierzył, dlatego 16 kwietnia zawiązano konfederację generalną mającą gwarantować głosowanie większością, a także aby czasem jakiś poseł nie zastosował prawa weta.

Nawet w takich warunkach ambasador spotkał się z opozycją Tadeusza Reytana i Samuela Korsaka, posłów nowogródzkich, którzy zaprotestowali przeciwko oddaniu laski marszałkowskiej Adamowi P. i zawiązaniu konfederacji. A kiedy wspomniany jednak laskę otrzymał, poseł chwycił drugą – przygotowaną dla marszałka konfederacji litewskiej – po czym usiadł na taborecie, oświadczając, że może być takim samym marszałkiem jak wskazany. Reytana poparli Korsak i inni posłowie. Ich działania zablokowały pracę sejmu, gdyż okupowali salę. Ostatecznie Adam P. wysłał do izby Marcina Lubomirskiego w celu ogłoszenia kolejnego solwowania – czyli przeniesienia sesji na inny dzień. Ponieważ było to bezprawie, Reytan i jego towarzysze usiłowali powstrzymać kolegów przed wyjściem. Lubomirski i towarzyszący mu posłowie przechodzili więc przez ciało leżącego przy drzwiach opozycjonisty.

W sali zostało 12 posłów. Na noc zostali tylko Reytan, Korsak i Bohusze-wicz, obawiając się, że wojska rosyjskie zamkną salę. Próbowali przekabacić ich król, a także poseł rosyjski Stackelberg, na próżno. 22 kwietnia do protestujących przyłączyli się kolejni, opór złamała dopiero zdrada najwyższa – przystąpienie króla Stanisława Augusta do konfederacji. 24 kwietnia wieczorem Reytan i inni ulegli perswazji marszałka litewskiego

Władysława Gurowskiego, przyjmując gwarancję, że nie będą przeciwko nim wymierzone żadne represje.

Teraz należało wyłonić delegację dla rozmów z zaborcami i zatwierdzenia traktatów – inaczej sejm po sześciu tygodniach mógł rozejść się bez uchwał. Tym razem król zagrzewał stany do oporu. Odpowiedzią był terror moskiewski – rewizje w kwaterach oponentów, groźba zniszczenia Warszawy i rozszerzenia zaborów. Ostatecznie Adamowi P. udało się powołać delegację, której skład uzgodniony był ze Stackelbergiem. 18 września, już po zalimitowaniu sejmu, zatwierdziła rozbiory, a sejm ratyfikował te traktaty.

DESPERACI Z GRODNA

Po przegranej wojnie o Konstytucję 3 maja odbył się drugi rozbiór wymuszony przez króla Prus Fryderyka Wilhelma II. Został zatwierdzony na ostatnim, tragicznym sejmie, któremu ambasador Jakob Sievers odebrał jakiegokolwiek pozory legalności. Z trzech stanów potrzebnych do złożenia sejmu, pierwszego – króla Stanisława Augusta pozyskał szantażem – wykorzystując jego ogromne, sięgające 1,5 mln dukatów długi. Ambasador zagroził władcy odcięciem go od dochodów, z drugiej strony mamił, proponując wyjazd do Grodna, gdzie przeznaczono na utrzymanie 20 tys. dukatów. Kłamał jak członek Komisji Europejskiej, uspokajając, że nie ma mowy o zmuszeniu Augusta do abdykacji ani planów nowego rozbioru. Tymczasem już kilka dni po przyjeździe do Grodna łatwowierny król dowiedział się, że przybył, aby złożyć podpis pod kolejnym rozbiorem kraju.

Z senatorami i posłami Sievers załatwił się na modę repninowską – sejmiki odbyły się pod moskiewskimi bagnietami i wybrały jedynie słuszny, to znaczy targowicki komplet posłów, którzy bez protestów uchwalić mieli nowy rozbiór. Jak podaje Władysław Konopczyński, „90 procent izby poselskiej tworzyli ludzie nieznani, wybrani pod bagnietami i za pieniądze rosyjskie”. Marszałkiem Sievers kazał wybrać Piotra Ożarówskiego, wściekłego karierowicza, jednak ten zażądał zbyt wiele. Ostatecznie Rzeczpospolitą podzielił Stanisław Kostka Bieliński, zbankrutowany magnat, w zamian za 100 tys. zł i judaszowy pierścień z brylantem.

Pomimo tych zabiegów rozbiór spotkał się z desperacką opozycją części posłów, w których niespodziewanie obudził się duch szczerzego patriotyzmu, jak karciarz i utracjusz Dionizy Mikorski zabiegający o zaszczyty i pieniądze, który jednocześnie apelował o niepodpisywanie aktu rozbioru. Dwukrotnie aresztowany, sprzeciwiał się planom bp. Kossakowskiego wcielenia resztek Rzeczypospolitej do Rosji. Byli i inni, jak Józef Kimbar, który krzyczał do króla, że jest zdrajcą, i radził mu raczej udać się na Syberię niż złożyć podpis. Protestowali i udzielali się: Ksawery Błeszyński, Kacper Bogucki, Antoni Karski, Stefan Niezabitowski, Kazimierz Plichta, Antoni Suchodolski i – zaskoczenie – Adam Poniński, syn starego Adasia P., arcyzdrajcy i szelmy pozbawionego nazwiska.

Już na początku obrad doszło do aresztowania pięciu posłów. 20 czerwca, kiedy Sievers zażądał wyłonienia delegacji do rozmów z Prusami, zaprotestował król, po nim prawie cały sejm. Szymon i Józef Kossakowscy proponowali zalimitowanie obrad sejmu, a marszałek Bieliński – wybranie delegacji tylko do carowej Katarzyny i pertraktowanie osobno z zaborcami. Sievers porywał kolejnych posłów, opornym groził aresztowaniem i zajęciem majątków. Ostatecznie dopiero 22 lipca zatwierdzono traktat rozbiorowy z Rosją.

Gorzej było z traktatem z Prusami, który wywołał wściekłość posłów

i rozruchy w izbie. Kiedy 2 września Adam Podhorski (sprzedał się za marne 800 zł) zaproponował jego zawarcie, został zakrzywany, a wniosek odrzucony z powodu braku podpisu. Kiedy chciał go złożyć, okazało się, że w izbie brak kałamarza. I wtedy... Stanisław August wyciągnął własny ołówek. Szymon Szydłowski zaatakował wówczas Podhorskiego.

– Szelma, zdrajca! – krzyczał – każdy, co popiera jego zdanie, takim jest!

Na prośbę króla Podhorski wyszedł z sali i... został pobity przez królewskich lokajów i służbę. Sejm jednak okazał się nieugięty.

23 września zamek został otoczony przez dwa bataliony wojska, najbardziej zjadłych opozycjonistów – wspomnianego Szydłowskiego, Mikorskiego, Tadeusza Skarżyńskiego i Jana Krasnodębskiego wywieziono w kibitkach. Generał Rautenfeld obwieścił, że nikt z posłów nie zostanie wypuszczony ani nie będzie mógł jeść dopóty, dopóki nie uchwalą traktatu. Król ma pozostać na tronie, posłowie w izbie, mogą spać na słomie. Sejm zamarł w proteście. Nikt się nie odezwał, posłowie i Stanisław August czekali do trzeciego ranka. Milczący na groźby, krzyki i histerie Moskali. Ostatecznie rozwścieczony generał kazał wprowadzić do sali żołnierzy. I wtedy traktat przeszedł przez podstęp Józefa Ankwicza – który potem w czasie insurekcji zatańczył na szubienicy. Uznał, że milczenie oznacza zgodę, a marszałek Bieliński zapytał trzykrotnie, czy sejm daje delegacji moc podpisania traktatu i uznał, że jest wola zawarcia układu. „Jeszcze dwa miesiące pozostałych 4 milionów Polaków – pisał Władysław Konopczyński. – Wspaniałomyślna monarchini ofiarowała przymierze równoznaczne z inkorporacją Polski do Rosji na prawach kolonii [...], żadnych zmian w ustroju bez pozwolenia Rosji”.

Dzieje ostatniego sejmu pokazują, że nawet po zdławieniu demokracji siłą trudno było zmusić posłów do posłuszeństwa, a jeszcze trudniej Polaków do uległości. Kilka miesięcy później, na wiosnę 1794 r., wybuchło powstanie kościuszkowskie, obracając w niwecz legalistyczne wysiłki zaborców, aby unicestwienie Rzeczypospolitej zalegalizować przez samych jej obywateli.



Generał i rosyjski ambasador Jakob Sievers odebrał ostatniemu sejmowi jakiegokolwiek pozory legalności. FOT. DOMENA PUBLICZNA



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Z Niemcami czy przeciw nim?

Nie brakuje publicystów, a nawet historyków, którzy szczególnie w ostatnich latach snują wizje, jak to dobrze wyszliby Polacy na sojuszu z Niemcami podczas drugiej wojny światowej i okupacji. Wizja ta w ich prezentacji wygląda obiecująco. Oto dalibyśmy kilkadziesiąt walecznych dywizji do walki z Sowietami (co miałoby ich ostatecznie pokonać), a w zamian za taki sojusz zyskalibyśmy bezkresne tereny na wschodzie. W takim rozumowaniu nie ma mowy o tym, czy Niemcy oddaliby nam za „zasługi” Pomorze, Wielkopolskę i Śląsk oraz Białostoczną, którą również przeznaczyli do zniemczenia już w pierwszym rzucie. Nie ma mowy również o mordowaniu Żydów, bo przecież – ma się rozumieć – nie wzięlibyśmy w tym udziału i Niemcy musieliby to... zaakceptować.

Rzecz tylko pozornie wygląda obiecująco. Do czerwca 1941 r. Niemcy odnieśli wiele błyskotliwych sukcesów, podbijając w kolejnych kampaniach kolejne kraje. Czyli z naszą pomocą łatwo pokonaliby i Sowietów. To nic, że dysproporcja sił i zasobów świadczyła wyłącznie na ich niekorzyść. Ale jest coś jeszcze. Jak wyglądała wojna ze Stalinem od dołu, z punktu widzenia niemieckiego żołnierza na froncie? Oto jest pytanie – warto sięgnąć do listów z frontu...

Gdy nadeszły wczesne mrozy, czar prysł. Żołnierze

pisali do rodzin, że nie mają ciepłego obuwia, ratunkiem było... ściąganie filców z zabitych Sowietów. Co więcej, żołnierze bili się ze sobą o takie buty. I apelowali do rodzin: „Głód i brak papierosów. Przyślijcie trochę chleba”; „Co drugi dzień 1/2 bochenka chleba. Już dłużej nie wytrzymamy”; „Każdego dnia wyczekujemy nadejścia paczki”. Wielka niezwykła armia była po prostu głodna! „Nieumyty, bielizna od trzech tygodni niezmięta. Jestem nie do rozpoznania”. A był to początek tej wojny, a nie jej koniec!

Ideologicznie jednak ta armia trzymała się mocno, to trzeba przyznać. „Führer to pomazaniec boży, on rozjaśni nam ciemności!”. A co należy zrobić z Żydami? „Żydów należy wytepić na całym świecie”. Dlaczego? „Wszystkiemu winni są Żydzi”; „Zastrzeliliśmy 5000 takich typów. Musieli się rozbrać doszczętnie”; „Zatrzymaj to proszę dla siebie”. Takich listów tysiące przejęły polskie placówki pocztowe, przepisując istotne fragmenty. Jest to również świadectwo, czy „zwykli Niemcy” wiedzieli o czynionym codziennie ludobójstwie.

Czy rzeczywiście, idąc z Hitlerem, moglibyśmy się temu przeciwstawić, a przynajmniej zachowując dwuznaczną neutralność? Nikt przecież nas o zdanie by nie pytał, to Niemcy mieli środki, aby wymusić posłuszeństwo we wszystkich sprawach. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Król Aleksander

Po śmierci Jana Olbrachta do rywalizacji o tron na Wawelu przystąpili jego dwaj młodszy bracia: wielki książę litewski Aleksander i Zygmunt. Ten ostatni dotychczas nie pełnił żadnej funkcji w państwie, co oznaczało, że właściwie nie miał żadnych stałych dochodów. W Polsce do pozycji królewicza nie były przypisane żadne obowiązki i Zygmunt był na łasce starszych braci.

Także podczas elekcji nie miał żadnych szans, gdyż wybór Aleksandra gwarantował odnowienie unii z Litwą, jako że starszy z braci nie zamierzał zrezygnować z tronu w Wilnie. Był wielkim księciem od 20 lipca 1492 r. i teraz nie chodziło mu wyłącznie o splendor. Dobrze bowiem wiedział, że zachowując tytuł wielkoksiążęcy, będzie miał znacznie silniejszą pozycję w Polsce. Poza tym Litwa była zagrożona przez Moskwę i Aleksander zdawał sobie sprawę z tego, że tylko ścisła współpraca z Polską może wybawić Wielkie Księstwo z opresji.

Jednak wybór w dużej mierze zależał od rady królewskiej i Aleksander zdecydował się na ustępstwa. Wprawdzie sama elekcja we wrześniu 1501 r. odbyła się bez przeszkód, ale nowy król jeszcze przed koronacją musiał wywiązać się z przyjętych zobowiązań. Na pierwszy ogień poszła sprawa nowej unii z Litwą, a odpowiedni dokument został wystawiony w Piotrkowie na początku października.

Od tej pory miano wybierać wspólnego monarchę dla obu państw, a w ważnych sprawach możnowładcy polscy i litewscy powinni razem podejmować decyzje.

Trzy tygodnie później, w Mielniku, Aleksander podpisał przywilej, który regulował ustrój państwa polskiego. Od tej chwili władca miał przestrzegać zaleceń rady królewskiej przy obsadzaniu urzędów państwowych, co w praktyce oznaczało, że stanowiska będzie powierzał wyłącznie osobom wskazanym przez możnowładców. Wyraził też zgodę na wypowiedzenie posłuszeństwa przez poddanych w przypadku, gdyby postępowali niezgodnie z wolą rady królewskiej. Oceniać mieli to sami jej członkowie, których od tej pory zaczęto nazywać senatorami. Było to nawiązanie do wzorów z czasów starożytnego Rzymu, gdzie Senat był najważniejszą instytucją państwową.

Rola króla została właściwie zredukowana do funkcji przewodniczącego Senatu, natomiast jego członkowie mieli być odpowiedzialni wyłącznie przed samymi sobą. Oznaczało to, że rada królewska przejęła władzę w kraju, a potwierdzeniem tego faktu było nawet odpowiednie nazewnictwo. Jan Olbracht panował w Polsce jako „prawy dziedzic” swojego ojca, natomiast Aleksander obejmował tron „brata i przodków swoich”. ©©

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



ŚREDNIOWIECZE ODKŁAMANE

Wspaniałe dziedzictwo
chrześcijańskiej
Europy

Jasne wieki zamiast „mroków średniowiecza” – wyobrażenie o zacofaniu Europy to efekt propagandowej wojny z chrześcijaństwem

Kulisy jałtańskich targów – dlaczego Franklin D. Roosevelt wierzył, że uda mu się „oczarować” Stalina?

Ostatnia misja czarnego samuraja – jak były niewolnik stał się przybocznym jednego z najpotężniejszych Japończyków

Nieznane ludobójstwo – na przełomie XX i XXI w. w sercu Afryki zginęło ok. 6 mln ludzi

Krew czterech cesarzy – lata 68–69 n.e. były przełomowym i bardzo brutalnym okresem w historii Imperium Rzymskiego

Inflanckie triumfy husarii – nie miała znaczenia dysproporcja sił, atak naszej ciężkiej jazdy przełamywał szyki, co decydowało o losach bitew

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Dyplomatyczna porażka



Maciej Pieczyński

Z Wilna ukraińska delegacja wróciła bez zaproszenia do NATO, czemu akurat trudno się dziwić. Większym problemem jest jednak roszczeniowa i arogancka postawa kijowskich władz wobec Zachodu. Na Ukrainie opozycja (i nie tylko) ostro krytykuje Zełenskigo za prowadzenie emocjonalnej, niedojrzałej, mało realistycznej, a przede wszystkim nieskutecznej polityki zagranicznej

Chociaż podczas szczytu w Wilnie Ukraina odniosła parę drobnych sukcesów, to do powszechnej świadomości (trochę na życzenie kijowskiej delegacji, która na to stawiała akcent) przebiły się głównie zawiedzione nadzieje w związku z brakiem konkretnego zaproszenia do NATO. Po raz pierwszy też tak otwarcie ujawniły się wzajemne pretensje na linii Kijów – Zachód.

W drodze na szczyt Wołodymyr Zełenski opublikował wpis, w którym skrytykował stanowisko NATO: „Otrzymaliśmy sygnały, że bez Ukrainy dyskutowane są pewne kwestie [...]”. To bezprecedensowe i absurdałne – kiedy nie ma ram czasowych i na zaproszenie, i na członkostwo Ukrainy; a zamiast tego dodaje się jakieś dziwne sformułowanie jedynie o »warunkach« zaproszenia Ukrainy” (bo przecież, jak sugeruje Zełenski, członkostwo w NATO należy się jego

krajowi za darmo). Zarzucił też zachodnim partnerom „niepewność”, która „jest słabością”. Ten roszczeniowy komentarz miał wywołać burzę. Według doniesień medialnych podczas kolacji w Wilnie przywódcy państw NATO prosili Zełenskigo, aby ochłonął. Brytyjski minister obrony Ben Wallace stwierdził potem, że Kijów traktuje zachodnich sojuszników, jakby byli magazynem firmy Amazon. Zarzucając Ukraincom brak wdzięczności za okazane wsparcie, wyrażał frustrację wielu innych przywódców i polityków państw NATO. Również doradca do spraw bezpieczeństwa prezydenta USA Jake Sullivan stwierdził, że „Amerykanie zasługują na wdzięczność” ze strony Ukraińców. Uspokajający komentarz brytyjskiego premiera Rishiego Sunaka, który zapewniał, że Zełenski dziękował mu przy wielu okazjach, sprawy nie zamknął. Sam ukraiński prezydent na



Kijowa

FOT. PRESIDENTOVNA

pretensje Wallace'a zareagował bardzo ostro: „Po prostu nie wiem, jak inaczej powinniśmy dziękować. Możemy co rano budzić się i dziękować ministrowi”. Nawet ambasador Ukrainy w Wielkiej Brytanii Wadym Prystajko ton tego komentarza określił mianem „niezdrowego sarkazmu”. Później na łamach „Ukraińskiej Prawdy” tłumaczył, że sarkastyczne były również słowa Wallace'a i że generalnie taki ton nie powinien się pojawiać w rozmowach między sojusznikami.

SŁOWA O „OTWARTYCH DRZWIACH”

Po szczycie NATO Zełenski krytykowany był również na samej Ukrainie. Opozycja wykorzystała sytuację do uderzenia w prezydenta. Petro Poroszenko porównał Wilno 2023 do Wilna 2013, czyli do szczytu Unii Europejskiej, podczas którego Wiktor Janukowycz odmówił podpisania

umowy stowarzyszeniowej z UE. A także do szczytu w Bukareszcie w 2008 r. Wtedy Ukraina i Gruzja również nie otrzymały konkretnego zaproszenia ze strony sojuszu, a potem zostały napadnięte przez Rosję. „Nie potrzeba nam słów o »otwartych drzwiach«. Jeśli drzwi są otwarte, to nas wpuśćcie. Jeśli nas nie wpuszczacie, to znaczy, że drzwi są zamknięte. Mówcie prawdę” – apelował lider opozycji. Stwierdził też, że Kijów musi przygotować się do kolejnego, przyszlusorocznego szczytu w Waszyngtonie, bo „to nie Biden mianował Tatarowa, Dumę, to nie Biden odpowiada za korupcję na 36 mld hrywien”. Zastępca szefa biura prezydenta Ukrainy Ołeh Tatarow zamieszany jest w aferę korupcyjną. Jeszcze jako prawnik w firmie budowlanej miał pośredniczyć we wręczeniu łapówki celem otrzymania korzyści dla firmy ekspertyzy. Sprawie ukrecono łeb. Ponadto za czasów Janukowycza Tatarow był wysokim funkcjonariuszem MSW i publicznie uzasadniał represje wobec protestujących podczas rewolucji godności.

Ołena Duma z kolei jest szefem Krajowej Agencji Rozpoznawania, Poszukiwania i Zarządzania Mieniem Pozyskanym z Korupcji i Innych Przepięststw (ARMA). Ta nominacja wywołała kontrowersje. W 2020 r. Duma została dyrektorem Funduszu Ubezpieczeń Społecznych Ukrainy, by po czterech miesiącach stracić stanowisko z powodu naruszeń prawa pracy. Przeciwnicy jej nominacji na szefa ARMA wskazują, że podczas kampanii wyborczej w 2019 r. otwarcie poparła Zełenskigo, nie ma doświadczenia w walce z korupcją, a ponadto, jako wiceszefowa administracji obwodu czernihowskiego, współpracowała z podejrzanym o zdradę funkcjonariuszem SBU. Mówiąc o „korupcji na 36 mld hrywien”, Poroszenko miał natomiast na myśli niewyjaśnioną sprawę wydatków resortu obrony. Według doniesień medialnych resort Ołeksija Reznikowa wydał tę kwotę na zakup broni, której nie otrzymał. Reasumując, Poroszenko zarzuca ekipie Zełenskigo korupcję, sugerując, że może ona mocno utrudnić Ukrainie relacje z Zachodem.

Na podobne problemy zwróciła uwagę ukraińska działaczka społeczna Daria Kaleniuk. Przyznała, że główną przyczyną braku zaproszenia dla Kijowa ze strony NATO jest strach przed Rosją,

nie zaś korupcja. Dodała jednak, że konsekwentna walka z korupcją może znacząco pomóc Ukrainie na drodze do integracji z sojuszem.

Były działacz Bloku Petra Poroszenki oraz były prokurator generalny Jurij Łucenko zaapelował do rządzących, aby zamiast obrażać się na Zachód, zajęli się reformowaniem kraju. „Zieloni trubadurzy [chodzi o ekipę Zełenskigo – przyp. red.] kłamią, że Zachód nie sformułował wykazu oczekiwanych reform. Taki wykaz istnieje. Jest nim Roczny Narodowy Plan Reform NATO-Ukraina” – pisze Łucenko na blogu. Ostatni raport z wykonania planu za 2021 r. pokazał, że przeprowadzono mniej niż połowę obiecanych zmian. „I żaden szantaż, chamstwo ani przypomnienie o heroicznych ofiarach Sił Zbrojnych Ukrainy nie zmienia tego faktu, że politycy nie wykonali swojego zadania domowego” – twierdzi Łucenko. Broni też swojego byłego szefa, argumentując, że Poroszenko udało się podpisać umowę stowarzyszeniową z UE oraz uzyskać zniesienie wiz schengenkich dla Ukrainy. „To było trudne zadanie. Ale Poroszenko nie posługiwał się szantażem, nie był roszczeniowy, tylko przeprowadził wiele reform i prowadził permanentny dialog z tymi, których decyzje były nam potrzebne” – pisze Łucenko.

Z kolei Wiktoria Siumar, była dziennikarka, a obecnie parlamentarzystka Solidarności Europejskiej, przekonuje, że choć wejście do NATO i UE to idealna droga dla Ukrainy, to trzeba zrozumieć Zachód. „Na razie jesteśmy dla nich problemem. Wojna, depopulacja, kryzys gospodarczy. Zrujnowana energetyka. Uzależnienie od ich pieniędzy i od ich broni, bo swojej nie wyprodukowaliśmy. Dlatego trzeba ich słuchać, rozumieć i przekonywać [...]. Od tego zależy nasze przetrwanie” – pisze Siumar na Facebooku. Jej partyjna koleżanka Iryna Heraszczenko skomentowała sprawę jeszcze ostrzej: „Dlaczego nie jesteśmy w NATO? Być może dlatego, że nie ma u nas wolności słowa. Być może dlatego, że wciąż mamy maraton [chodzi o Telemaraton, czyli wspólną, całodobową transmisję kilku najważniejszych stacji telewizyjnych. Wspólny przekaz jest proukraiński, patriotyczny, a także pro-rządowy – przyp. red.], być może dlatego, że parlamentarna telewizja Rada nie

„pokazuje opozycji” – stwierdziła podczas obrad Rady Najwyższej.

BŁĘDNA POLITYKA PERFORMANCE’U I MĘSTWA

„Dyplomacja emocji nie działa” – przekonuje z kolei parlamentarzysta z partii Front Ludowy Serhij Wysocki na łamach portalu Glavcom.ua. Opozycyjny polityk stwierdził, że w elicie władzy modne stało się atakowanie sojuszników, które nieraz przyjmuje wręcz formę „zwykłego chamstwa”. Według Wysockiego emocje uniemożliwiają chłodną analizę relacji z Zachodem. Kijów nie jest w stanie spojrzeć na sytuację oczami sojuszników, przez co nie rozumie ich argumentów i nie potrafi zarazem opracować skutecznej strategii w polityce zagranicznej. Wysocki proponuje eksperyment myślowy. „Wyobraźmy sobie, że wygraliśmy wojnę. Kraj się rozwija, mamy mniej więcej normalną sytuację. I za jakieś pięć lat Rosja napada na Kazachstan. Jak byśmy zareagowali?” – zastanawia się polityk. Jest przekonany, że w takiej sytuacji Ukraina zachowywałaby się tak samo, jak obecnie Zachód. Czyli pomagałaby, ale tak, aby sama nie stracić zdolności obronnych i nie dać się wciągnąć do wojny z Rosją. Wysocki nie dziwi się zachodnim sojusznikom, że domagają się od Kijowa skutecznej walki z korupcją. Znowu podaje obrazowy przykład: „Załóżmy, że regularnie wpłacacie pieniądze na jakąś hipotetyczną organizację dobroczynną. Z czasem dowiadujecie się, że część waszych pieniędzy idzie nie na deklarowane cele, tylko na zakup mercedesów oraz mieszkań dla pracowników rzeczonej fundacji [...]”. Zwracacie się do fundacji z sugestią, że może lepiej byłoby nakarmić kilka tysięcy bezdomnych? [...] A w odpowiedzi słyszycie coś w stylu: to brak szacunku dla naszej heroicznej walki z głodem! Czego wy chcecie od nas? Chcecie, to [...] każdego dnia będziemy wam dziękować, śpiewając hymn całą grupą. Nie rozumiemy waszych pretensji!”. Wysocki stwierdza, że zachodni partnerzy Ukrainy muszą odczuwać ogromną frustrację z powodu bezczelności ukraińskich władz. Zdaniem deputowanego Zachód naciska po cichu na Kijów, domagając się skutecznej walki z nadużyciami i korupcją. Po cichu, ponieważ nie chce robić skandalu. Tymczasem nad Dnieprem te sygnały są ignorowane.

Spora część ukraińskiej opinii publicznej woli tego typu sprawy zamykać pod dywan, bo wojna nie jest dobrym czasem na wyciąganie brudów. Co więcej, sygnały te wywołują wręcz oburzenie. Zdaniem Wysockiego Kijów, oburzając się na wszelką krytykę, zachowuje się jak Moskwa. „Na Zachodzie tę wojnę zaczęli postrzegać dopiero wówczas, gdy udowodnimy, że Ukraina jest krajem zachodnim, a nie małą Rosją, która walczy z wielką Rosją” – przekonuje.

Nie tylko działacze twardej opozycji krytykują Zełenskigo za błędną dyplomację. „To, że na Zachodzie są obecnie słabi przywódcy, niezdolni do podejmowania poważnych decyzji, nie zmienia tego prostego faktu, że my od tych przywódców jesteśmy całkowicie zależni” – stwierdził na Twitterze były doradca szefa biura prezydenta Ołeksij Arestowycz. W jego ocenie błędem Kijowa było prowadzenie „polityki szantażu emocjonalnego, performance’u, demonstracyjnego męstwa”. Zamiast tego należało raczej budować pozycję Ukrainy jako atrakcyjnego partnera w stosunkach międzynarodowych oraz ugruntowywać własną suwerenność. W przekroju całej historii Ukrainy woleli jednak upaść się własnym heroizmem. Tymczasem „być bohaterem jest łatwiej niż wprowadzać systemowe zmiany”. „To oczywiste, że partnerzy, którzy utrzymują naszą gospodarkę oraz siły zbrojne i mają własne cele w polityce zagranicznej, byli lekko zdziwieni naszym stanowiskiem, które polega na tym, że emocjonalnie szantażujemy i domagamy się, żeby zamienili swoje cele na nasze cele” – ironizuje Arestowycz, dodając, że przy tym owi partnerzy zabierają pieniądze swoim podatnikom, żeby dać je Ukraińcom. Dalej były współpracownik Zełenskigo wymienia wspomniane sprzeczności interesów między Kijowem a Zachodem. Po pierwsze, Amerykanie nie chcą pokonać Rosji, żeby nie wpadła w objęcia Chin. Chcą jedynie, aby Ukraina nie przegrała wojny. Po drugie, „domagamy się ostatecznego zwycięstwa i rozpadu Rosji, ale za amerykańskie pieniądze. Po trzecie, „przywłaszczamy sobie amerykańskie pieniądze, a Amerykanie woleliby, abyśmy przestali”. Podobnie jak Poroszenko, Łucenko czy Kaleniuk Arestowycz zauważa, że nieprzypadkowo zachodni sojusznicy domagają się

od Kijowa skutecznej walki z korupcją. „Gdybyśmy systemowo wzmacniali naszą realną suwerenność, przede wszystkim gospodarczą, zdobywalibyśmy może i małe, ale za to realne instrumenty wpływu na stanowisko naszych partnerów” – argumentuje. I w formie chwytliwych haseł proponuje rozwiązania: „gospodarka zamiast emocji”, „systemowe zmiany zamiast heroizmu”, „realna siła zamiast siły realnych emocji”. Arestowycz ostrzega też, że jeśli władze w Kijowie nie zajmą się na poważnie reformami, to ustępstwa terytorialne na rzecz Rosji „nie będą najgorszym, co nas może spotkać”.

NIE WZMACNIAĆ ZEŁENSKIEGO

Wielu ukraińskich komentatorów zwraca uwagę na to, że błędem władz w Kijowie było traktowanie Ukrainy jak małego dziecka, któremu należy się uwaga oraz pomoc całego świata i który nie ma wobec tego świata żadnych obowiązków. Ciekawą hipotezę wysunął politolog i bloger Karl Wołoch. Jego zdaniem przyczynami braku zaproszenia ze strony NATO nie były ani korupcja, ani „to, że nasz prezydent jest chamem”, tylko obawa przed wzmocnieniem władzy Zełenskigo. Według Wołocha ewentualny sukces na wileńskim szczycie sprawiłby, że obecna ekipa jeszcze długo utrzymywałaby się u sterów państwa. To zaś oznacza „uzurpację władzy, osłabienie demokracji, korupcję i nieprzyjemny styl dyplomacji”. Po wojnie Zachód będzie musiał zalać Ukrainę pieniędzmi na odbudowę. Wolałby, aby to była bezpieczna inwestycja. Dlatego „nie może zachować Zełenskigo przy władzy po wojnie”.

Po raz pierwszy w tak oczywisty sposób ukraińska dyplomacja wykała swoją nieskuteczność. Zachodni partnerzy po raz pierwszy zaczęli tak otwarcie krytykować Zełenskigo. Nie wiadomo, czy „sługa narodu” wyciągnie wnioski i złagodzi ton (jeśli już, to wobec Zachodu, a niekoniecznie wobec Polski, która tego w ogóle nie wymaga). Ukraina szybko nie wejdzie do NATO niezależnie od tego, jak miły i sympatyczny będzie Zełenski. Jednak już skala wsparcia dla Kijowa może zależeć od skali wdzięczności wspieranego. Wdzięczności, która powinna wyrażać się nie tylko w słowach czy gestach, lecz także w konkretnych działaniach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



BEZ BADAŃ DNA NIE MA SPACERÓW

Burmistrz Béziers we Francji zarządził – a rada miasta zaakceptowała – że na spacer z psem po mieście trzeba będzie mieć specjalną przepustkę. A dostaną ją tylko ci, którzy zrobią badania DNA zwierzaka. Kto nie będzie miał przepustki, zapłaci mandat 38 euro. Skąd takie obostrzenia? Chodzi o to, że wiele osób nie sprzątało po swoim psie. Miejskie służby zbierają ponad tysiąc odchodów miesięcznie tylko w samym centrum. Baza DNA zwierząt ma pomóc identyfikować tych, którzy po psie nie sprzątają (mandat za to wynosi 122 euro).

FOT. ANDRZEJ STOLC

PRZYGARNIJMY ROSJĘ DO NATO

Członek brytyjskiej Izby Lordów – sikh Indarjit Singh z Wimbledonu – zaproponował swój pomysł na zakończenie wojny. Jego zdaniem należałoby przedstawić Rosji perspektywę członkostwa w sojuszu północnoatlantyckim w zamian za wycofanie się z Ukrainy.

WYROK ZA KAPELUSZ

Irańska aktorka skazana przez sąd w Teheranie. Afsaneh Bayegan została skazana na dwa lata więzienia w zawieszeniu na pięć lat. Bo zamiast obowiązkowego hidżabu nosiła kapelusz. Pojawiła się tak ubrana na ceremonii filmowej i swoje zdjęcie udostępniła w Internecie. Sędzia nakazał aktorce również obowiązkowo raz w tygodniu stawiać się w ośrodku psychologicznym. Ma tam „leczyć zaburzenia związane z osobowością antyrodzinną”. 61-letnia artystka ma jednocześnie zakaz publikowania w mediach społecznościowych.

KOLARSKA KRAKSA PRZEZ SELFIE

Podczas 15. etapu kolarskiego wyścigu Tour de France doszło do poważnego wypadku. Przewróciło się ok. 20 zawodników biorących udział w zmaganiach. Wszystko przez to, że jeden z kibiców chciał sobie zrobić selfie na tle kolarzy i na tyle wysunął się na trasę, że zaważył o kierownicę roweru Amerykanina Seppa Kussa.

WYCIECZKA AUTOBUSEM

W miejscowości Bargteheide w Niemczech pewien 19-latek zobaczył otwarty autobus przed szkołą podstawową. Uruchomił silnik i pojechał w stronę Hamburga. Następnego dnia zaparkował w Ammersbek. Stamtąd planował dalszą wycieczkę – do Ratzeburga. Został jednak zatrzymany po kilkunastu kilometrach, bo nie umiał utrzymać toru ruchu. Świadkowie widzący autobus jadący „wężykiem” zawiadomili policję. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polak chce, to potrafi. Ver. 2.0

Wreszcie jest! Po miesiącach oczekiwań można już ściągnąć na smartfon najnowszą wersję aplikacji mObywatel (wersja 2.0) i zapomnieć o potrzebie noszenia portfela. Polska stała się bowiem największym krajem UE, w którym dowód osobisty w komórce jest równoważny ze starodawną, plastikową wersją tego dokumentu.

Nowego mDowodu można użyć w większości sytuacji, w których trzeba potwierdzić swoją tożsamość, np. w urzędzie, na poczcie, u notariusza czy w wypożyczalni samochodów. Stary, plastikowy

dowód trzeba będzie mieć przy sobie jedynie podczas przekraczania granicy kraju, składania wniosku o nowy dowód osobisty oraz podczas wizyty w bankach etc. (na szczęście od 1 września i w nich honorowana ma być cyfrowa wersja dokumentu tożsamości).

Rzadko mam okazję, by pochwalić urzędników, ale tym razem rzeczywiście jest za co. Pracownicy resortu cyfryzacji nie ograniczyli się bowiem tylko do planu minimum, ale do aplikacji wprowadzili również kilka nowych rozwiązań, które w przyszłości mają jeszcze bardziej ułatwić życie obywatelom

w XXI w. Funkcja ePłatności ma np. ułatwić błyskawiczne regulowanie opłat administracji, w tym podatku od nieruchomości. Będzie je można opłacić natychmiast przy użyciu BLIKA (polskiego systemu płatności, który w ciągu ostatnich ośmiu lat zrewolucjonizował nasz rynek płatniczy, pozwalając na szybkie i bezpieczne transakcje czy wypłaty z bankomatów).

Nowy mObywatel ułatwia też m.in. logowanie do ZUS, IKP, e-Urzędu Skarbowego etc. Ufam, że to dopiero początek zmian. Polska ma szansę stać się liderem cyfrowego świata. I trzeba ją wykorzystać...

Putinów dwóch?



Piotr Włoczyk

Coraz częściej słyhać spekulacje, że prezydent Rosji korzysta z usług dublerów

Widać było, że prezydent Rosji czuł się jak ryba w wodzie. Z wielkim uśmiechem na twarzy podszedł do czekającego na niego przy meczu tłumy ludzi piszących na jego widok i wyciągających w jego kierunku ręce. Władimir Putin ścisnął się z nimi jak gwiazda rocka, robił selfiki i zdawał się zupełnie nie przejmować kwestiami bezpieczeństwa. Szczególnie zdziwienie na ekspertach, którzy analizowali tę scenę, zrobiło to, jak Putin zachował się w stosunku do

młodej, pięknej dziewczyny, która poprosiła go o wspólne zdjęcie. Prezydent Rosji nie tylko przytulił się do niej, lecz także pocałował ją nawet w głowę. Co się stało z jego panicznymi obawami przed zarażeniem koronawirusem? Wszyscy doskonale przecież pamiętają zdjęcia Putina siedzącego na końcu długiego stołu, trzymającego się co najmniej pięć metrów od nawet najbliższych współpracowników. Opisana scena wydarzyła się w Darbencie w Dagestanie. Jest to najdalej na południe wysunięte miasto Rosji, do którego Putin przyjechał 29 czerwca, by porozmawiać z lokalnymi władzami na temat rozwoju tamtejszej turystyki. Tylko czy aby na pewno człowiek, który ścisnął się z tłumem, był Putinem?

Zupełnie niepodobne do Putina zachowanie Putina sprawiło, że na nowo odżyły spekulacje o sobowtórach prezydenta Federacji Rosyjskiej. Tym razem podstawy były na tyle mocne, że sprawą zaintereso-

wały się największe tytuły w światowych mediach, które poprosiły o komentarze uznanych ekspertów do spraw Rosji.

ZAGADKA

„Nie ma żadnych wątpliwości, że to nie był Władimir Putin. To był jego sobowtór” – ogłosił w amerykańskim „Newsweeku” dr Matthew Wyman, znawca rosyjskiej polityki z brytyjskiego Keele University. Jego zdaniem to kompletnie nie do pomyślenia, żeby Putin ścisnął się z tłumem zaledwie kilka dni po puczu Prigożyna. „Nie ma szans, żeby w takich okolicznościach ten człowiek zbliżył się do dużej grupy ludzi. Poza tym Putin nie zachowuje się w ten sposób. On nie okazuje takich emocji publicznie” – dodał Wyman.

Do sprawy odniósł się też m.in. Kirył Martynow, redaktor naczelny opozycyjnej „Nowej Gaziety. Europa” wydawanej w Rygi. „To wszystko jest bardzo dziwne.

Miejsce, w którym doszło do spotkania, jest dziwne, tak samo jak to, że Putin nagle przytula się z ludźmi. On przecież normalnie tego nie robi. O co tu chodzi? To zagadka – komentował Martynow.

– Naprawdę nie lubię głupich teorii spiskowych, ale coraz bardziej mamy wszyscy wrażenie, że jest dwóch Putinów”.

Oczywiście nie można też wykluczyć, że cały ten tłum składał się ze specjalnie wyselekcjonowanych ludzi, którzy zostali odpowiednio prześwietleni przez FSB, a dodatkowo wszyscy ci ludzie przeszli zwyczajową dwutygodniową kwarantannę, którą muszą odbyć wszyscy, którzy zbliżają się do Putina. Pytanie jednak, czy rosyjska bezpieka ma zawsze „pod ręką” taki „sterylny” tłum ludzi... Jeżeli Kreml chciał na szybko zmontować ładnie wyglądający obrazek pokazujący Putina wśród masy ludzi, żeby choć trochę zatrzeć złe wrażenie przeprowadzonym kilka dni wcześniej puczem, to „wysterylizowanie” tylu osób byłoby mocno problematyczne. Dlatego wielu ekspertom pasuje tu wersja o dublerze Putina. Tym bardziej że nie był to pierwszy raz, gdy coś mocno nie pasowało do wersji przedstawianej przez Kreml...

SOBOWTÓR Z KATAREM

Zaledwie tydzień wcześniej, 22 czerwca, falę spekulacji wywołały niezwykle zdarzenia na Kremlu, mające znamiona... bilokacji. Gdyby wierzyć oficjalnemu przekazowi służby prasowej prezydenta Rosji, Putin równolegle prowadził obrady Rady Bezpieczeństwa, upamiętniał pod murami Kremla sowieckie ofiary niemieckiej inwazji 22 czerwca 1941 r., a także podejmował premiera Kataru.

Tę sprawę jako pierwszy nagłośnił Wiktor Ałksnis, rosyjski polityk z kręgów nacjonalistycznych i były żołnierz, pytając w mediach społecznościowych, dlaczego Rosjanie są tak oszukiwani przez swoje władze.

W tej sprawie głos zabrał również rosyjski bloger (choć niewykluczone, że jest to grupa blogerów), ukrywający się pod pseudonimem Generał SWR, który uważany jest za dość dobre źródło informacji, dysponujące niezłymi kontaktami na Kremlu. Bloger ten napisał wprost, że prowadzenie przez dublera obrad Rady Bezpieczeństwa to nic nowego. „Gdy sekretarz Rady Bezpieczeństwa,

gen. Nikołaj Patruszew, i szef FSB Aleksandr Bortnikow wiedzą, że prezydent będzie podmieniony przez sobowtóra, często odmawiają udziału w takim cyрку” – stwierdził „Generał SWR”.

„Prawdziwy Putin właśnie kończył oficjalną część spotkania, a sobowtór już poszedł złożyć kwiaty [...]. Wcześniej zdarzały się niekonsekwencje, ale tak oczywisty brak synchronizacji zdarzył się po raz pierwszy” – podkreślił „Generał SWR”.

Pogłoski na temat sobowtórów Putina pojawiają się na tyle często, że skomentował je już nawet rzecznik Kremla, Dmitrij Pieskow.

– Na pewno słyszeliście, że on [Putin] ma bardzo wielu dublerów, którzy pracują za niego, podczas gdy on siedzi sobie w bunkrze... To jest kolejne kłamstwo – zapewniał w kwietniu tego roku Pieskow. – Tymczasem sami przecież widziecie, jaki jest nasz prezydent: zawsze był i wciąż jest megaaktywny. Ci, którzy

Nie kto inny, jak Stalin, guru Władimira Putina, korzystał z dublerów – miał w sumie czterech sobowtórów

z nim współpracują, ledwo mogą za nim nadążyć. Każdy może mu pozazdrościć energii”. Jeżeli więc generalną zasadą w polityce jest (w ślad za księciem Aleksandrem Górczakowem) niedawanie wiary w niezidentyfikowane informacje, to kwestia dublera Putina jest już właściwie wyjaśniona.

CENTYMETRY ORYGINAŁU

Niewątpliwie w sprawie fałszywych „Putinów” najwięcej oliwy do ognia dodaje – ze zrozumiałych względów – Kyryło Budanow, szef ukraińskiego wywiadu wojskowego. W rozmowie z Wirtualną Polską Budanow zapewniał, że po przeanalizowaniu materiałów z wizyty Putina w Mariupolu w marcu tego roku podlegli mu eksperci doszli do wniosku, iż w rzeczywistości nie był to prezydent Rosji.

„Putin nie odwiedził Mariupola, zrobił to jego sobowtór. Każda osoba ma swoje

własne cechy anatomiczne: kształt i wzór uszu, odległość między oczami. Takich rzeczy nie da się podrobić, można to ewentualnie zmylić plastyką. To były dwie różne osoby” – powiedział Budanow.

Wcześniej, w październiku zeszłego roku, Budanow mówił z kolei w rozmowie z brytyjskim „The Daily Mail”, że Putin ma trzech sobowtórów. Wtedy jednak zwrócił on uwagę na inną cechę charakterystyczną, której nie da się w żaden sposób oszukać.

„Odróżnia ich jedno – wzrost. To widać na nagraniach i zdjęciach” – mówił Budanow. W tamtym wywiadzie szef ukraińskiego wywiadu wojskowego wypowiedział też słowa, które później powtórzył Wołodymyr Zełenski, wywołując niemałe zdziwienie komentatorów.

„Prawdziwe pytanie brzmi: Czy prawdziwy Putin wciąż żyje?” – pytał Budanow dziennikarzy brytyjskiej gazety.

To oczywiste, że w interesie Ukrainy jest pokazywanie Putina jako tchórze, który nie ma w sobie tyle odwagi, by, w przeciwieństwie do prezydenta Ukrainy, wybrać się w pobliże frontu. Tak samo zrozumiałe jest podsycanie przez Kijów spekulacji, że Putin od dawna już nie żyje i władza w Rosji sypie się jak domek z kart.

Jednak posiadanie przez Putina „fałszywego Putina” (albo nawet kilku takich dublerów) nie byłoby przecież niczym niezwykłym, jeżeli spojrzymy na historię Rosji. Nie kto inny, jak Stalin, wielki guru obecnego władcy Kremla, korzystał przecież z dublerów. Najślynniejszym z nich był Feliks Dadajew, który po upadku ZSRS napisał nawet na ten temat książkę. Została ona wydana już za rządów Putina, więc można się domyślać, że reżim ją autoryzował. Dadajew twierdzi w niej, że w sumie sobowtórów było czterech i Stalin wykorzystywał ich m.in. podczas parad. Dublerzy mieli też zastępować go w pewnych sytuacjach podczas konferencji jałtańskiej, gdy prawdziwy Stalin obawiał się zamachu (choć cały teren wokół pałaców zajmowanych przez alianckie delegacje był tak szczelnie pilnowany, że legitymować NKWD musieli się nawet najbliżsi współpracownicy Franklina D. Roosevelta i Winstona Churchilla). Czy więc dublerzy Putina faktycznie brzmią w tym kontekście jak dzika teoria spiskowa?

Tureckie Marmaris przyciąga turystów słońcem i stosunkowo niskimi cenami

FOT. ADOBE STOCK

Rekordowo drogie wakacje



Jacek Przybylski

Drożyna szaleje w całej Europie. Są wciąż jednak miejsca, w których można odpocząć, wydając nieco mniej niż w polskich kurortach. Odpoczynek w stosunkowo przystępnej cenie oferuje tureckie Turkusowe Wybrzeże. Stosunkowo tanie wakacje na słonecznej plaży można spędzić w Bułgarii. Miłośnicy dobrej kawy w dobrej cenie powinni się zaś wybrać do Portugalii

Znajnowszej i pierwszej postpandemicznej edycji badania „Plany Wakacyjne Polaków”, zrealizowanego przez IPSOS na zlecenie firmy Mondial Assistance, wynika, że aż 65 proc. ankietowanych rodaków zaplanowało w tym roku wyjazd wakacyjny. Innymi słowy: w tym sezonie wakacyjnym chciało wreszcie odpocząć ponad 20 mln Polaków. 56 proc. z tej grupy – czyli 11,2 mln turystów – wakacje woli spędzić w Polsce. 44 proc., czyli niemal 9 mln, preferuje odpoczynek za granicą. Do najpopularniejszych kierunków wybieranych przez Polaków od lat należą Chorwacja (18 proc.), Grecja (14 proc.), Hiszpania i Wyspy Kanaryjskie (12 proc.), Włochy

(11 proc.), Turcja (9 proc.), Bułgaria, Wielka Brytania, Niemcy, Albania oraz Cypr.

DROGO NAD BAŁTYKIEM

Według badania zleconego przez Mondial Assistance na wyjazd krajowy przeciętny Polak planuje wydać 2256 zł na osobę, czyli o 475 zł na osobę więcej niż w roku 2019. Budżet na wyjazd zagraniczny wynosi już 3971 zł na osobę, czyli aż o 809 zł więcej niż w ostatnim roku przed wybuchem pandemii. Największa grupa ankietowanych w badaniu Mondial Assistance (61 proc.) planuje wydać na wyjazd mniej niż 2,5 tys. zł, 26 proc. przeznaczyło na wakacje od 2,5 tys. do 5 tys. zł, a 5 proc. może przeznaczyć na wakacyjny

wypoczynek ponad 5 tys. zł. Głównie z powodu galopujących cen 5 mln Polaków w tym roku w ogóle nie planuje letniej eskapady. Aż 51 proc. z tej grupy jasno deklaruje, że powodem rezygnacji z wakacji jest brak pieniędzy (dla porównania: w ostatnim badaniu tego typu w roku 2019 takiej odpowiedzi udzieliło 29 proc. tych, którzy nie planowali letniego wyjazdu).

Według badania „Plany wakacyjne Polaków” przeprowadzonego na początku czerwca przez Minds & Roses na zlecenie Związku Banków Polskich wysokie ceny nie zniechęcają jednak większości Polaków do planowania wakacyjnego wypoczynku. Aż 85 proc. ankietowanych Polaków odpoczynek opłaci z własnej

kieszeni, bez sięgania po kredyt lub pożyczkę.

Wysoka inflacja to świetny pretekst dla hotelarzy i restauratorów do podnoszenia cen. Nie tylko w Polsce. I średnim pocieszeniem jest tu to, że są miejsca na Starym Kontynencie, w których wakacje kosztują o wiele więcej niż nad Bałtykiem (wśród nich jest choćby przepiękny, ale koszmarnie drogi islandzki Reykjavik). Jak czytamy na stronie travelplanet.pl, „może się więc okazać, że budżetowy urlop w Łebie wyniesie nas drożej od All Inclusive za pośrednictwem biura podróży”.

JAK MOŻNA ZAOSZCZĘDZIĆ?

Według badania zleconego przez Mondial Assistance najwięcej wyjazdów krajowych planowanych było przez Polaków na lipiec i sierpień, natomiast odpoczywając za granicą coraz chętniej podróżują we wrześniu. Przełożenie wakacji poza lipiec i sierpień to jeden ze sposobów na obniżenie kosztów wakacji, a jednocześnie zapewnienie sobie możliwości wypoczynku bez wielkich tłumów.

Zwłaszcza w czasach inflacji dobrym sposobem na oszczędności wydaje się również kupowanie wakacji z wyprzedzeniem. Dobra wiadomość dla tych, którzy jeszcze żadnej wycieczki nie wykupili, jest taka, że z podanych w połowie lipca danych Traveldata wynika, iż w jednym tygodniu cena danego kierunku potrafi skoczyć lub spaść o setki złotych. Jak informował portal turystyka.rp.pl, np. w lipcu Maroko staniało o 971 zł, Półwysep Chalcydicki o 417 zł, a Gran Canaria o 376 zł. Z danych Traveldata cytowanych przez portal Fly4Free.pl wynika także, że np. na przełomie czerwca i lipca obecnego roku mimo ogromnej inflacji w Polsce wycieczki do Egiptu były tańsze w po-

równaniu z listopadem ubiegłego roku średnio aż o 748 zł.

Często – choć nie zawsze – sposobem na tańszy urlop jest też samodzielne zorganizowanie sobie wypoczynku. Autorzy raportu Mondial Assistance zauważają, że trend ten jest szczególnie widoczny w przypadku państw Półwyspu Bałkańskiego – Polacy często decydują się na samodzielną organizację wyjazdu ze względu na mniejszą odległość i popularność tych kierunków. Albania, Czarnogóra czy Serbia cieszą się ogromną popularnością, ponieważ należą do najtańszych kierunków w Europie. Stosunkowo atrakcyjne są również oferty wypoczynku w Turcji (w tym roku na liście najpopularniejszych destynacji awansowała ona z szóstego miejsca na piąte), Bułgarii, Rumunii, na Węgrzech, w Czechach, na Litwie oraz w Portugalii.

NAJTAŃSZE KIERUNKI

Według najnowszego raportu „Holiday Money Report” publikowanego corocznie przez brytyjski Post Office najkorzystniej wakacje w Europie można spędzić we wspomnianej już Turcji, a dokładniej w nadmorskim kurorcie Marmaris. Miłośnicy dobrej kawy popijanej w promieniach słońca powinni wybrać Portugalie. Tu ceny w porównaniu z ubiegłym rokiem są co prawda nawet o jedną trzecią wyższe, ale nawet w popularnej miejscowości Alvarve filiżanka dobrej kawy nadal kosztuje – według autorów wspomnianego wyżej raportu – średnio 0,92 euro, czyli równowartość zaledwie 4,10 zł. Kieliszek smacznego portugalskiego wina to zaś wydatek 2,06 euro, czyli 9,17 zł.

Nieco drożej, bo 1,09 euro (równowartość 4,85 zł), trzeba zapłacić za filiżankę



Mimo że w Portugalii ceny też wzrosły, nadal można tam wypić dobrą kawę za mniej niż 5 zł za filiżankę. FOT. ADOBE STOCK

kawy w bułgarskim kurorcie Złote Piaski. Według autorów „Holiday Money Report” to jednocześnie miejsce, w którym można najtaniej zjeść trzydaniowy obiad dla dwóch osób i pobić go dobrym winem (rachunek za taki posiłek wynosi tu średnio 41 euro za dwie osoby, czyli 182,57 zł).

Brytyjski „The Times” w pierwszej piątce najpopularniejszych kierunków dla oszczędnych podróżników umieścił w tym roku grecką Kretę, na drugim turecki Marmaris, na trzecim portugalskie Algarve, na czwartym hiszpańskie Costa del Sol, a na piątym cypryjskie miasto Pafos. Kolejne miejsca w TOP 10 dla podróżników, którzy nie lubią wydawać za dużo, zajmują francuska Owernia, Malta, a także graniczącą popularnością wśród turystów Apulia, Kampanią oraz Kalabrią włoski region Basilicata. To mocno górzysty obszar, w którym łatwo znaleźć stosunkowo tanie agroturystykę i w którym ceny kawy, obiadu czy piwa nie powinny zrujnować wakacyjnego budżetu. Można tu za darmo wspinać się po górach. Warte zwiedzenia jest również malownicze miasteczko Matera, słynące z wykutych w skałach domów oraz jaskiń, które zamieszkane były już przed 10 tys. lat, a które posłużyły za znakomitą scenę do pościgu za agentem 007 Jamesem Bondem. Niestety, film nieco popsuł „budżetowość” tego kierunku, bo po premierze „Nie czas umierać” włoskie miasto zaczęło przeżywać prawdziwe oblężenie turystów. Miejsce dziewiąte na „taniej liście” według „Time” zajęły bardzo popularne również wśród Polaków Wyspy Kanaryjskie, a dokładnie wyspa Gran Canaria. Ostatnie miejsce w pierwszej dziesiątce zajął zaś bułgarski Słoneczny Brzeg.

Warto więc nie dać się skusić reklamom i wyjechać tam, gdzie pięknym widokom nie będą towarzyszyły „paragony grozy”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wakacje w Bułgarii mogą się okazać dużo bardziej przystępne cenowo niż w Polsce FOT. ADOBE STOCK





PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

A Balcerowicz prywatyzuje

Płyną lata, ba – płyną całe dekady (dekady lat) – a do Leszka Balcerowicza zdaje się nic nie docierać. Niczym stara, zdarta płyta – wciąż powtarza jedno i to samo: trzeba prywatyzować! Prywatyzować, prywatyzować i jeszcze raz prywatyzować. Prywatyzować (niemal) wszystko i (niemal) zawsze. Choć wydaje mi się, że w jego wersji nawet na to – choćby najmniejsze – „niemal” nie ma miejsca.

I oto ostatnio, znów nieodmiennie, już w podtytule do wywiadu dla „Rzeczpospolitej”, zatytułowanego – jakżeby inaczej – „Gospodarka nie powinna podlegać rozkazom polityków”, Balcerowicz przypomina swoje credo: „Plan powyborczy powinien polegać m.in. na sprowadzeniu własności państwowej w gospodarce do zera”!

A dalej jest tylko gorzej. Wszystko, jak wiadomo, ma być prywatne, bo – jak powiada Balcerowicz – „na czym polega przewaga Zachodu nad socjalizmem? Na własności prywatnej, a nie państwowej. Państwo ma inne narzędzia, które nie opierają się na rozdzielnictwie i rozkazach”. A co z obszarami strategicznymi dla interesów państwa? No jasne: „Jeśli »strategiczny« oznacza ważny, to najwięcej obszarów strategicznych było w socjalizmie. Słowo »strategiczne« to pseudouzasadnienie do takiej polityki”. I tak dalej, w dobrze znanym stylu.

Wszelako, na szczęście, Polacy – głosując tak, a nie

inaczej – chcą czegoś odwrotnego, tak jakby chcieli powrotu do przeszłości. I to „coś” od zwyciężających w wyborach – dzięki ich głosom – dostają. Z każdym rokiem dostają coraz więcej i więcej państwowych firm, coraz więcej i więcej monopolii, a nawet narodowych czemboli, dla niepoznaki zwanych cempionami – z radością witanych przez ich twórców i menedżerów, a także – jak się wydaje – przez głosujących na to wyborców.

A na potwierdzenie rosnącej w siłę potęgi polskiej gospodarki państwowo-monopolistycznej – kolejne listy rankingowe największych firm w Polsce, na szczytach których coraz trudniej znaleźć przedsiębiorstwa prywatne. Ot, choćby na najnowszej liście 200 największych polskich firm „Wprost” w pierwszej dziesiątce zmieściła się już tylko jedna prywatna. A za rok lub za dwa lata – kto wie – może wreszcie doczekamy się takiego sukcesu, że nie będzie tam już ani jednej firmy prywatnej, a tylko państwowe?

A teraz na poważnie. Jak to się skończy? W zasadzie wiadomo. Pytanie tylko: kiedy? Czyli kiedy monopole i quasi-monopole – głównie państwowe i quasi-państwowe – doprowadzą swą politykę, głównie cenową, do takiego niezadowolenia wyborców, że ci wymuszą na rządzących ich sprywatyzowanie, podzielenie i zdemopolizowanie rynków. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Histeria hoplofobiczna

Olaboga, panie, jak Polakom dać broń, to się na ulicach wymordują! Takie okrzyki – co łatwo było przewidzieć – rozbrzmiały po lewej stronie sceny politycznej natychmiast po zabójstwie w Poznaniu, którego sprawcą (i samobójcą natychmiast po nim) okazał się legalny posiadacz broni (miał podobno pozwolenie do celów sportowych). Nie ma w tych lamentach ani krzty racjonalności, jest za to próba wzbudzenia hysterii.

Takich zdarzeń w Polsce jest skrajnie mało i staty-

nich posiadaczy zdarza się ekstremalnie rzadko (co innego służby mundurowe), a celowe przekazanie jej przestępcom – praktycznie wcale. Wymagałoby to umiejętnego sfingowania utraty broni, co jest bardzo trudne, całkowicie nieopłacalne finansowo, a dla właściciela niesie ryzyko wieloletniej odsiadki.

Polska pod względem liczby sztuk broni na 1 tys. mieszkańców pozostaje nadal – bardzo konsekwentnie – na ostatnim miejscu w Europie. Statystyki przestępczości z innych państw, także tych mocno nasyconych bronią, pokazują, że nie istnieje związek pomiędzy tym współczynnikiem a liczbą przestępstw (zwłaszcza zabójstw) z jej użyciem. W Finlandii broni jest rekordowo dużo, a zabójstw z jej użyciem zaledwie kilka w roku. W Szwecji jest jej wielokrotnie więcej niż w Polsce, ale wyraźnie mniej niż w Finlandii – a zabójstw z użyciem broni rocznie jest kilkadziesiąt. Ich sprawcami są gangi, których członkowie nie posiadają broni legalnie.

Nie dajmy się zwariować: jeśli broń jest w prywatnych rękach, to do jakiejś liczby zdarzeń z jej udziałem będzie dochodzić, tak jak docho- dzi i dochodzić będzie do wypadków samochodowych, bo ludzie mają samochody. Nie jest to żaden powód, żeby zrezygnować z racjonalnej zmiany prawa do posiadania broni.

Hoplofobia to irracjonalny wstręt do broni. ©©

Pod względem liczby sztuk broni na 1 tys. mieszkańców Polska zajmuje ostatnie miejsce

styka nie pokazuje żadnej zbieżności ich liczby z liczbą broni w prywatnych rękach. Zresztą policja w swoich zestawieniach nie oddziela zabójstw lub usiłowań zabójstwa dokonanych za pomocą broni posiadanej legalnie od tych dokonanych za pomocą broni posiadanej nielegalnie. Nie da się też w Polsce wykazać żadnego związku pomiędzy liczbą sztuk broni legalnej w prywatnych rękach a tej nielegalnej. Tylko ktoś całkowicie nieznający tematu mógłby twierdzić, że istnieje tu jakiś przepływ. Utrata broni przez jej legalnych prywat-



DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
19:10

Podsumowanie najważniejszych wydarzeń dnia w Telewizji Republika z udziałem zaproszonych do studia polityków, dziennikarzy, komentatorów i ludzi kultury.

Prowadzą: **Adrian Stankowski, Piotr Lisiewicz i Tomasz Sakiewicz**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 49ff0fe1c5

Sekrety przesmyku





Adam Zubek

Jakie jest źródło termicznego fenomenu Suwalszczyzny?

Do niedawna nazwy Suwałk i Suwalszczyzny gościły praktycznie tylko w telewizyjnych i radiowych prognozach meteorologicznych (legendarny „biegun zimna”). Od jakiegoś czasu ten niewielki region Polski północno-wschodniej, już pod nazwą przesmyku suwalskiego, coraz częściej pojawia się w analizach geopolitycznych. Niektóre z nich określają go jako najniebezpieczniejsze miejsce na świecie, stanowi bowiem jedyne połączenie lądowe terytoriów państw bałtyckich z resztą państw NATO i Unii Europejskiej.

Suwalszczyzna może jednak spać spokojnie. Ta ziemia dysponuje własną „bronią”. Przekonali się o tym już przed drugą wojną światową niemieccy piloci z pobliskich Prus, którzy zapuszczali się tutaj na swoich samolotach, gdy „wariowały” ich przyrządy nawigacyjne. Tą „bronią” jest suwalska anomalia magnetyczna. Wiedzano o niej wiele lat wcześniej, niż zainteresowali się nią geolodzy. Obserwowali ją ze zdumieniem w swoich kompasach wędrowcy. Starsi mieszkańcy wsi Szurpiły i Udryń wspominali dziwne zachowanie samolotów, a także szybowców z pobliskiej bazy szybowcowej (nad jeziorem Szelment). Istnienie anomalii potwierdziły przeprowadzone przed wojną pomiary magnetyczne i grawimetryczne. Oczywiście suwalska „broń magnetyczna” nie ma żadnego znaczenia militarnego. Chociaż, kto wie... Może się okazać, że ma znaczenie wręcz strategiczne.

ANOMALIA JAK MAGNES

Również po wojnie anomalia przyciągnęła naukowców. W latach 50. ubiegłego wieku zainteresowali się nią geolodzy z Państwowego Instytutu Geologicznego – Jerzy Znosko i Jan Skorupa. Po wykonaniu wielu głębokich wierceń zakomunikowano o odkryciu rud żelaza, którym towarzyszą cenne rzadkie metale, m.in. tytan i wanad, a także nikiel, chrom,

molibden, gal. Zagadka anomalii została wyjaśniona, a skutek był taki, że w latach 70., w epoce Gierka, postanowiono zamienić Suwalszczyznę w zagłębie górnicze. Zapanowała prawdziwa gorączka inwestycyjna. Zaprojektowano pilotażową kopalnię i zakład wzbogacania rud, zaciągnięto nawet kredyt za granicą.

Nadszedł jednak rok 1980 – czas wielkiego kryzysu gospodarczego i politycznego. Kopalnia nie powstała, a pamiątką tego okresu był niesłychany rozwój Suwałk, które rozbudowywano z myślą o przyszłych tysiącach zatrudnionych w górnictwie i hutnictwie. Z miasteczka 20-tysięcznego rozrosły się Suwałki do miasta liczącego dziś 70 tys. mieszkańców.

Temat podziemnego skarbu wciąż żyje, nie brak bowiem entuzjastów powrotu do inwestycyjnych przedsięwzięć. A obecnie, w kontekście odcinania się świata zachodniego od surowców z Rosji, nabrał nowego znaczenia. Miejscowi są przekonani, że ten nagły wzrost troski o przesmyk suwalski, zarówno ze strony Rosji, jak i Ameryki, ma drugie dno, właśnie surowcowe (tytan dla przemysłu zbrojeniowego, gal dla branży komputerowej). Jednak mimo powoływania się na doświadczenia fińskie i szwedzkie (gdzie wydobywa się tego typu rudy w sposób „ekologiczny”) nawet współczesna technologia nie zagwarantowałaby zachowania walorów „zielonych płuc Polski” – jak trafnie kiedyś nazwano cały region Polski Północno-Wschodniej.

PODZIEMNA ŁODÓWKA

Jednak badania nad anomalią magnetyczną zaowocowały kolejną niespodzianką. Geofizycy, mierząc tzw. strumień ciepły płynący z głębi Ziemi, zauważyli, że ma on na Suwalszczyźnie wyjątkowo małą gęstość, dwukrotnie mniejszą niż np. w Wielkopolsce. Co wyhamowuje na Suwalszczyźnie dopływ ciepła „od dołu”? Okazało się, że odpowiedzialny jest za to ten sam kompleks skalny, w którym odkryto cenne metale – kompleks skał magmowych wieku prekambryjskiego (powstały ok. 1,5 mld lat temu) zwany przez geologów masywem anortozytowym. To ten sam typ skał, który buduje „kontynenty” księżycowe. Ich próbki przywieźli z Księżyca amerykańscy astronauta. Skały te, pamiętające

■ młodzieńcze lata naszej planety, występują w obrębie tzw. Fennoskandii – najstarszej części Europy. Polska Północno-Wschodnia jest jej częścią. Na Suwalszczyźnie anortozyty występują stosunkowo najpłycej, bo już poniżej 800 m. Zdaniem geofizyków, J. Śafandy z Instytutu Geofizyki Czeskiej Akademii Nauk i Jacka Majorowicza z University of North Dakota, skały takie cechuje niska promieniotwórczość naturalna, a więc i strumień ciepły skierowany ku powierzchni jest wyjątkowo słaby. Czyżby więc anomalia geotermiczna miała coś wspólnego ze słynnym „biegunem zimna”, kolejną anomalią Suwalszczyzny, tym razem klimatyczną?

Na podziemne przyczyny wskazywałyby jeszcze jeden fenomen, niezwykle odkrycie dokonane przed kilkunastu laty podczas niezbyt głębokiego wiercenia Państwowego Instytutu Geologicznego w okolicach Szypliszek, kilkanaście kilometrów od Suwałk. Na głębokości ok. 350 m badacze natrafili na coś, czego – jak się wydawało – nie powinno tu już być od ok. 13 tys. lat, czyli na pozostałość epoki lodowcowej. Na Suwalszczyźnie im głębiej, tym skały podłoża są zimniejsze, chociaż powinno być dokładnie odwrotnie. Zgodnie z modelami geotermicznymi na tej głębokości należałoby się spodziewać temperatury 17 st. C, a jest zaledwie 0,07 st. C. Co więcej, mimo wielokrotnych prób nie udało się opuścić sondy niżej – na ścianach rury wiertniczej prawdopodobnie narósł korek lodowy i otwór zamarzł. Czyżby pod osadami przetrwał fragment skandynawskiego lądolodu?

Wiercenie koło Szypliszek potwierdziło inną hipotezę, która w latach 80. ubiegłego wieku, gdy została sformułowana, wydawała się szokująca: w podłożu północno-wschodniej Polski zachował się fragment tzw. wiecznej zmarzliny – dość rozległy fragment gruntu, który zamarzł podczas ostatniego zlodowacenia, być może 115 tys. lat temu, bo wtedy rozpoczął się ten ostatni epizod plejstocenu. I wygląda na to, że natrafiliśmy na tego zmrzniętego świadka w ostatniej chwili.

ŚWIATOWE CENTRUM POGODY?

Czy będziemy mieli jakiś pożytek z tej suwalskiej wiecznej zmarzliny? Niestety, nie da się jej udostępnić turystom do

Wiercenie koło Szypliszek potwierdziło hipotezę sformułowaną w latach 80. – że w podłożu północno-wschodniej Polski zachował się fragment tzw. wiecznej zmarzliny: dość rozległy fragment gruntu, który zamarzł podczas ostatniego zlodowacenia

oglądania i „pomacania”. Chociaż próbkierzenia i cała historia tego niezwykłego odkrycia znakomicie wpisują się w pomysł (wspierany przez Unię Europejską), który jakiś czas temu narodził się bodaj w pobliskich Wiżajnach – utworzenia na Suwalszczyźnie Światowego Centrum Pogody. Jego widocznym znakiem miałyby być najwyższy termometr świata o wysokości 42 m, ustawiony koło Wiżajn. Miałyby tam powstać również Muzeum Termometru oraz Centrum Interpretacji Pogody, a nawet Dolina Mamutów. Wszystko to na tle istniejących już siłowni wiatrowych, bo i wiatry biją tu rekordy krajowe.

To dla turystów. A co dla nauki? Zdaniem odkrywców suwalska zmarzlina pozwoli na dokładniejsze modelowanie przyszłych zmian klimatu, umożliwi wprowadzenie poprawek do map geotermicznych Polski, pozwoli też doprecyzować wiedzę na temat przepływu wód podziemnych. Być może tu właśnie tkwi także odpowiedź na fenomen „suwalskiego bieguna zimna”. Od góry wyziewają Suwalszczyznę częste wizyty mroźnych wyzów skandynawskich i rosyjskich. A od dołu chłodzi ten region wieczna zmarzlina i słaby strumień ciepła z głębi Ziemi. Warto zbadać rolę z tych czynników odgrywa większą rolę.

NAJCHŁODNIEJ ZAŚ W SUWAŁKACH...

Legendę suwalskiego bieguna zimna stworzyła suwalska stacja meteorologiczna IMGW (dawniej PIHM), która od 1945 r. regularnie mierzy wszystkie parametry meteorologiczne. To stąd pochodzą dane, na podstawie których każda niemal prognoza pogody w telewizji lub radiu, czy to zima, wiosna, lato czy jesień, kończy się słowami: „Najchłodniej zaś w Suwałkach”.

Czy to prawda? Przecież wiadomo, że najniższą temperaturę zanotowano bynajmniej nie w Suwałkach, lecz w Sie-

dlcach, w 1940 r.: –41 st. C. Podobną temperaturę zmierzono w Żywcu w 1923 r. Współcześnie do miana polskiego bieguna zimna pretendują jeszcze Łąka Izerska w Sudetach i bieszczadzkie Stuposiany. Brakuje jednak stamtąd wiarygodnych serii pomiarowych, gdyż nie ma tam stacji meteorologicznych. Poza tym nie można porównywać gór, gdzie pogoda zawsze ma swoją specyfikę, z obszarami nizinnymi.

Prawidłową odpowiedź przynosi analiza danych uśrednionych. To na Suwalszczyźnie średnia roczna temperatura wynosi poniżej 6 st. C, podczas gdy dla reszty Polski przekracza 7 st. C. Różnica wydaje się śmiesznie mała. Przypomnijmy sobie jednak choćby alarm, który wszczęli klimatolodzy, gdy odkryli, że temperatura Ziemi w ostatnim półwieczu wzrosła o jeden stopień. Z kolei jej spadek o zaledwie 3–5 st. C w skali półkuli może zainicjować epokę lodowcową.

Pomiary dowodzą, że na Suwalszczyźnie zimy są najzimniejsze. Średnia temperatura lutego, najzimniejszego miesiąca roku, wynosi tu –5,6 st. C, podczas gdy w innych rejonach kraju mieści się w przedziale od 1 do 3 stopni poniżej zera. Zimy trwają tu zresztą najdłużej – 120 dni, a na zachodnich krańcach Polski o połowę krócej. Pokrywa śnieżna, która na zachodzie utrzymuje się przez 40–50 dni, tu zalega ponad 100 dni, a średnia wieloletnia grubość pokrywy śnieżnej jest pięciokrotnie większa. Z kolei okres wegetacyjny jest najkrótszy – trwa tylko 180 dni, gdy na przeważającej części terytorium Polski jest od trzech do sześciu tygodni dłuższy.

Czy w takim razie nasz biegun zimna to Suwałki? Ciekawe, że pytani o to suwańczanie wskazują na Wiżajny – wieś, dawniej miasteczko, położoną 25 km na północ od Suwałk. Podobno występują tam temperatury o kilka stopni niższe niż na suwalskiej stacji. Najstarsi mieszkań-

cy wspominali rok 1928, kiedy to zima trwała podobno do czerwca. Niestety, brak profesjonalnych pomiarów z Wiżania sprawia, że jest to biegun nieoficjalny.

GOŚĆ Z PÓŁNOCY

Klimatolodzy nie są skłonni oddać palmy pierwszeństwa geologom w objaśnianiu termicznego fenomenu Suwalszczyzny. W przeciwieństwie do geologów upatrują przyczyny nie pod ziemią, lecz wysoko nad ziemią, w cyrkulacji atmosferycznej. Nad naszą częścią Europy przebiega bowiem front starcia klimatu oceanicznego z klimatem kontynentalnym. Klimat oceaniczny (morski), oddziałujący na Polskę w związku z przewagą zachodnich prądów powietrznych, oznacza większą wilgotność powietrza, większe zachmurzenie, więcej opadów atmosferycznych, łagodniejszą zimę, chłodniejsze lato, mniejszą roczną amplitudę temperatur. Wschodnia Polska stawia opór tym wpływom, a ostatnim bastionem oporu jest Suwalszczyzna.

Wpływy kontynentalne wspiera niekiedy dodatkowo słynny wyż skandynawski. Powstaje on kilkakrotnie w ciągu roku nad północną Skandynawią i dla wschodniej Europy spełnia funkcję lodówki połączonej z wentylatorem. Typowa dla wyżu cyrkulacja mas powietrza, zgodna z ruchem wskazówek zegara, napędza zimą także nad Polskę bardzo mroźne arktyczne powietrze. Suwalszczyzna doświadcza go jako pierwsza i najdłużej też pozostaje pod jego wpływem. Jemu zawdzięczała swoje największe 25–30-stopniowe mrozy. To za jego sprawą (przy współudziale wyżu znad Rosji) doszło w 1812 r. do zagłady Wielkiej Armii Napoleona podczas wycofywania się z Moskwy. Znamy go i dzisiaj – jest sprawcą wczesnojesiennych i późnowiosennych przymrozków, często zresztą obejmujących znaczne połacie kraju. Jego dziećmi są nasi majowi goście – „zimni ogrodnicy” i „zimna Zośka”.

WYCZYTANE Z MAP

Żeby poznać niezwykłości Suwalszczyzny, niekoniecznie trzeba ją odwiedzać. Już rzut oka na mapę ujawnia, czego można się tu spodziewać. Jak zachowuje się choćby Czarna Hańcza – główna rzeka regionu. Olbrzymia większość rzek Rzeczypospolitej należy do dorzeczy Wisły lub Odry.

Czarna Hańcza – nie. Wybrała sobie inną drogę do Bałtyku, przez Niemen. A przecież oddalona zaledwie o parę kilometrów Rospuda, płynąca doliną równoległą do Czarnej Hańczy, potrafiła sobie znaleźć drogę do Wisły – za pośrednictwem Netty i Biebrzy. Przedziwny jest ten szlak Czarnej Hańczy. Rzeka najpierw płynie z północy na południe, potem, od Suwałk, z zachodu na wschód, potem na południowy wschód. A co dzieje się z jej wodami, gdy łączy się z Niemnem – lepiej nie mówić. Zanim dotrą do Bałtyku, wykonują zawijas o ponad 180 stopni, a patrząc od źródeł Czarnej Hańczy – chyba o 270 stopni.

Albo popatrzmy na mapki w atlasie historycznym, pokazujące ziemie polskie w XIX w., gdy Rzeczpospolita była Księstwem Warszawskim, a potem „priwisłinskim” Królestwem Polskim. Zauważymy niezwykle kształt tych rozbiorowych tworów: kadłubek centralnej Polski i sterzące nad nią coś, co przypominać może uniesioną szablę skierowaną wyszczerbionym ostrzem na wschód. To właśnie gubernia suwalska. Za wierność Rzeczypospolitej płaciła Suwalszczyzna wysoką cenę – i podczas wojen napoleońskich, i podczas powstań narodowych, i w czasie drugiej wojny światowej, gdy

spośród nich walczyło ze stu wrogami, zachęconych tą jedyną nadzieją i świadomością, że po śmierci i zagładzie ziomekowie będą ich sławić pieśniami o dzielnych czynach. To usposobienie przyprawiło ich o zgubę, ponieważ mała garstka łatwo ulegała liczebnej przewadze tak, że powoli niemal cały ich naród wyginął, ponieważ nikt z nich nie cofał się przed nierówną walką, ani nie starał się uciec po wdaniu się w walkę” (Jan Długosz, „Roczniki, czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego”, ks. VII–VIII, przeł. Julia Mrukwówna, PWN, Warszawa 1974).

Diagnoza trafna – jedyną pamiętką po tym ludzie pozostały kamienne kręgi (Szwajcaria koło Suwałk), kurhany i ślady twierdzy w Szurpiłach. Chociaż niektórzy znawcy regionu twierdzą, że wiele miejscowych nazwisk i nazw, takich jak Wigry, Geret, Boksie, Gatne, Zelwa, Szelmant, Beceję, Dowcień, Netta, Hańcza, ma pochodzenie jaćwieskie.

Los Jaćwieży przypieczętowali Krzyżacy w XIII w. Od tego momentu Suwalszczyzna stała się znowu anomalią na mapie Polski i Europy. Przez cztery stulecia była pustką osadniczą – tylko bory i bory, pełne dzikiej zwierzyny, ulubione miejsce polowań polskich i litewskich władców.

Region suwalski wraz z sąsiadującymi terenami stał się już w najdawniejszych czasach swoistą anomalią etniczną.

Wśród Bałtów, którzy zasiedlili te tereny jeszcze przed naszą erą, jaćwingowie wyróżniali się dzielnością i bitnością

działało tu bardzo silne podziemie zbrojne, a także już po „wyzwoleniu”. Rodziny ofiar tzw. oblawy augustowskiej z lipca 1945 r., przeprowadzonej przez sowieckie NKWD, do dziś nie wiedzą, gdzie przepadło prawie 600 ich bliskich.

KLĄTWA JAĆWINGÓW

Region suwalski wraz z sąsiadującymi terenami stał się już w najdawniejszych czasach swoistą anomalią etniczną. Wśród Bałtów, którzy zasiedlili te tereny jeszcze przed naszą erą, jaćwingowie wyróżniali się dzielnością i bitnością. Były to, jak pisał Jan Długosz w swoich „Rocznikach”: „[...] ludy dzikie, wojownicze i tak bardzo żądne sławy i pamięci, że dziesięciu

Dopiero za ostatnich Jagiellonów, późnej Wazów, zaczęło się „oswajanie” tych terenów. Powstały nowe wsie, wręcz „na siłę” zakładano nowe miasta – wiele z nich ma dzisiaj status wsi. Największe zasługi dla – jakbyśmy to dziś powiedzieli – awansu społeczno-gospodarczego tego regionu mieli kameduli, których na półwyspie klasztornym w Wigrach osadził i hojnie obdarował król Jan Kazimierz. To kameduli „wymyślili” Suwałki w 1715 r. Skromna wówczas wioseczka 100 lat później odebrała starszemu i większemu Augustowowi siedzibę guberni, podobnie jak jeszcze 150 lat później Ełkowi siedzibę województwa.



Plac Stanisława w Nancy. W centralnym miejscu znajduje się pomnik byłego polskiego króla. FOT. ADOBE STOCK

Wygnaniec w Lotaryngii



Radosław Wojtas

W Polsce to król niemal zapomniany. Za to Francuzi mogą mieć co najmniej dwa powody, by go cenić: rozbudowę miasteczka Nancy i... zupę cebulową, która ponoć także dzięki niemu weszła na stałe do klasyki kuchni francuskiej

Zupą cebulową to skomplikowana historia. Jeśli już Francuz miałby komukolwiek przypisać zasługi wprowadzenia tej plebejskiej potrawy na salony, to przecież nie jakiemuś tam Polakowi, ale Francuzowi oczywiście; w dodatku królowi, i to nie byle jakiemu, bo obdarzonemu przez naród przydomkiem Le Bien-Aimé, czyli Ukochany. To za panowania Ludwika XV potrawa ta miała zacząć gościć na królewskim stole, z czym związanych jest oczywiście co najmniej kilka dykteryjek. I tak wedle jednej z nich pewnego poranka skacowany i głodny z Bożej łaski arcychrześcijański król Francji i Nawarry szukał w swoim domku myśliwskim czegoś do jedzenia, a że nie bardzo był wybór, to załat cebulę szampa-nem. I voilà!

Nawet jeśli swą karierę cebulowa zawdzięcza „Ukochanemu”, to akurat historia z szampanem nie może mieć wiele wspólnego z rzeczywistością, bo przygotowanie potrawy wymaga podsmażania i gotowania cebuli. Może zatem ziarnko prawdy znajdziemy w innej dykteryjce?

Wedle niej teść Ludwika XV i zasiadający dwukrotnie na polskim tronie Stanisław Leszczyński, jadąc w odwiedziny do córki do Wersalu, zatrzymał się w Châlons, gdzie – jak pisał Nicolas Appert, francuski wynalazca, twórca metod konserwacji żywności – „podano mu zupę cebulową tak wyborną i pierwszorzędną przygotowaną, że nie chciał ruszyć w dalszą drogę, nie poznawszy wprzód jej receptury. Obleczony w szlafrok Jego Królewska Mość zszedł do kuchni i poprosił, aby kucharz ugotował zupę na jego oczach. [...] Przyglądał się bacznie, notował i wsiadł do powozu dopiero wówczas, gdy był już przekonany, że oto posiadał sztukę przyrządzania doskonałej zupy cebulowej”. I z tąże wiedzą pojechał wprost na Wersal.

Jak było? Nie rozstrzygniemy. Zostawmy więc zupę i efektowne anegdotki, ale zostanmy przy Stanisławie Leszczyńskim i jego mieście we Francji, które wiele Polakowi zawdzięcza. O tym jest ta opowieść.

GRA O TRON

Życiorys Stanisława Leszczyńskiego to scenariusz nie tyle nawet na film, ile na kilkusezonowy serial. Urodzony 20 października 1677 r. we Lwowie Stanisław Leszczyński zasiadał na polskim tronie dwukrotnie, dwukrotnie musząc go oddać. Pierwszy raz po koronę sięgnął po klęsce Polski w wojnie ze Szwedami, co mocno zaszkodziło panującemu wówczas królowi Augustowi II Mocnemu. Zyskał na tym Leszczyński, który będąc wcześniej zwolennikiem Augusta II, poparł go wraz z ojcem na sejmie elekcyjnym po śmierci Jana III Sobieskiego. Robił karierę, pełniąc najpierw funkcję

podczaszego wielkiego koronnego, a później wojewody poznańskiego. Kiedy jednak szlachta zawiązała konfederację warszawską, a August II został obalony, Stanisław Leszczyński został wybrany na nowego króla na zwołanym 12 lipca 1704 r. w szwedzkim obozie wojskowym pod Warszawą sejmie elekcyjnym.

Szczegóły całej tej awantury (to z tego okresu pochodzi powiedzenie „Od Sasa do Lasa”, gdyż część szlachty opowiedziała się za Augustem II, zwanym Sasem, a część za Leszczyńskim), jego tła geopolitycznego i konfliktu wewnętrznego musimy odłożyć na inną okazję, skracając tę historię do niezbędnego minimum. Przeskoczmy więc tylko po kilku jej kamieniach milowych.

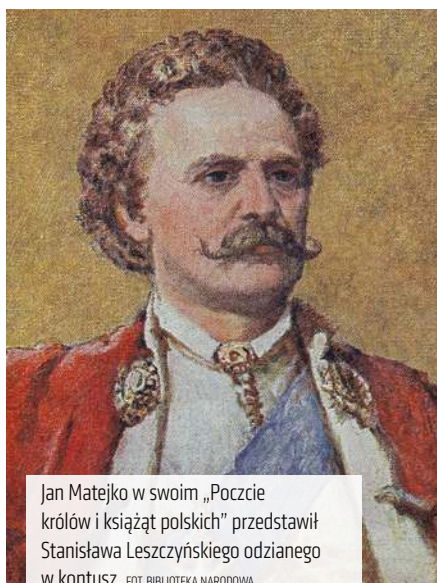
Panowanie Leszczyńskiego trwało ledwie pięć lat, po czym pozbawiony tronu musiał opuścić ziemię Rzeczypospolitej. Leszczyńskiemu w karierze wydatnie pomogła jego córka Maria, którą w roku 1725 poślubił 15-letni wówczas król Francji Ludwik XV. Takie koneksje rodzinne pozwoliły Leszczyńskiemu myśleć o powrocie na tron po śmierci Augusta II, co też mu się udało we wrześniu 1733 r., ale już miesiąc po jego wyborze część szlachty ogłosiła, że królem jest syn jego nieżyjącego już rywala, August III Sas. Wojna o tron rozgorzała ponownie, włączały się w nią chcące zachować bądź zdobyć wpływy w Rzeczypospolitej obce mocarstwa. I znów pomijając ciekawe, ale nie najważniejsze w tej opowieści szczegóły, dochodzimy do momentu, gdy w wyniku kompromisu Francji z Austrią o sukcesję w Rzeczypospolitej Leszczyński abdykuje w roku 1736, ale otrzymuje w dożywotnie władanie Księstwo Lotaryngii. Umowa zakłada, że po jego

śmierci ziemie te zostaną włączone do Francji.

ZMIANA PODEJŚCIA

Ponoć mieszkańcy Lotaryngii przyjęli nowego pana chłodno, ale w ciągu długiego, bo blisko 30-letniego panowania nad księstwem dał im wiele powodów do tego, by zmienili opinię o swoim władcy. Leszczyński nie zapisał się złotymi zgłoskami w historii Polski, ale swoim księstwem zarządzał dobrze. Na tyle dobrze, by zyskać sobie przydomek Króla Dobrodzieja. Troszczył się o poddanych, dbał o rozwój Księstwa Lotaryngii na niwie gospodarczej i kulturalnej. Za jego panowania księstwo urosło w siłę. Rozkwitała edukacja; Leszczyński utworzył w Nancy bibliotekę publiczną, towarzystwo nauk i Królewskie Kolegium Medycyny, w Lunéville zaś reaktywował szkołę rycerską. Fundował instytucje charytatywne i kościoły.

To z jego inicjatywy w Nancy wzniesiono kościół Notre-Dame de Bon Secours. Świątynię zbudowano w miejscu szczególnie symbolicznym, symbolizującym niezależność księstwa, w którym wcześniej stała niewielka kaplica. Budynek zaprojektował nadworny architekt księcia Lotaryngii Léopold Emmanuel Héré de Corny. Na fasadzie umieszczono herb



Jan Matejko w swoim „Poczcie królów i książąt polskich” przedstawił Stanisława Leszczyńskiego odzianego w kontusz FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Pomnik nagrobny Leszczyńskiego w kościele w Nancy FOT. FRANÇOIS BERNARDIN/WIKIPEDIA/CC BY 3.0

Rzeczypospolitej Obojga Narodów i Winiawę Leszczyńskich. Kościół miał być rodzinnym mauzoleum. Mimo że szczątki Leszczyńskiego po wielu perypetiach (m.in. dwukrotnej profanacji i zaginięciu) trafiły ostatecznie na Wawel, to w Nancy zachował się nagrobek króla. Wyrzeźbiona w białym marmurze postać Leszczyńskiego umieszczona jest na typowym dla epoki pomniku w kształcie piramidy, znajduje się w pozycji półleżącej, opiera się na lewym ramieniu i spogląda w dal. Naprzeciwko znajduje się nagrobek żony Stanisława Leszczyńskiego. W świątyni pochowano także serce ich córki Marii.

Perłą w koronie zabytkowego, mającego swe korzenie w XI w. Nancy jest wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO plac Stanisława. Nazwa podkreśla to, że plac ten powstał z inicjatywy Leszczyńskiego. Były król Polski chciał połączyć stare miasto z nowym. Projekt wykonał ten sam Emmanuel Héré, który projektował Notre-Dame de Bon Secours. Wokół placu wznosi się kilka obiektów, na które warto zwrócić uwagę, jak Hôtel de Ville (ratusz miejski), siedziba Muzeum Sztuk Pięknych, budynek opery, łuk triumfalny.

Na środku placu Leszczyński nakazał wznieść pomnik przedstawiający jego zięcia i dobrodzieja Ludwika XV. Król Francji po śmierci teścia i włączeniu Lotaryngii do Francji próbował zatrzeć poczucie odrębności mieszkańców pozyskanych ziem, z czym łączyło się wymazywanie dużej części spuścizny Leszczyńskiego (m.in. likwidacja powołanej do życia przez

Polaka akademii). Leszczyński mógłby się uśmiechnąć w zaświatach, śledząc dalszy los wypadków związanych z wystawionym przez niego pomnikiem. Monument Ludwika XV zmiotli z powierzchni ziemi rewolucyjni francuscy. Na jego miejscu stoi do dziś pomnik Stanisława Leszczyńskiego, który powstał ze składek społecznych w roku 1830.

FILMOWY FINAŁ

Książę z Polski obejmował panowanie nad Lotaryngią w wieku 60 lat. Rządził nią do śmierci, a dane mu było długie życie. Francuzi zapamiętali go nie tylko jako sprawnego zarządcę, nie tylko jako mecenasa kultury i nauki, lecz także jako władcę, który miewał w zwyczaju objeżdżanie swoich ziem małym, odkrytym powozem, w dodatku samodzielnie nim powoząc i wdając się w rozmowy z poddanymi. Stanisław Leszczyński był gorliwym i praktykującym katolikiem, który pozostawił po sobie bogaty zbiór pism, rozpraw, listów i książek. Sam pisał, a także tłumaczył, głównie dzieła religijne.

Były król Polski odszedł z tego świata, przeżywszy ponad 88 lat. Odejście to byłoby tyle efektywnym, ile tragicznym finałem hipotetycznego filmu czy serialu o jego życiu. Otóż 6 lutego 1766 r. książęce szaty zapaliły się od iskry z kominka. Ogień bardzo szybko objął odzienie i ciało, a Leszczyński doznał koszmarnych poparzeń. Nie zmarł od razu. Bolesna agonia trwała kilkanaście dni. Zakończyła się 23 lutego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Kościół Notre-Dame de Bon Secours w Nancy FOT. AIMELAIME-COMMONSWIKI/CC BY-SA 4.0

NISSAN JUKE 1.6 HYBRID

Juke to jeden z tych samochodów, którego już na pierwszy rzut oka albo się kocha, albo nienawidzi. Stylistyka auta początkowo szokowała. Choć wielu krytyków na stylistyce „transformersa”, „żaby” i „mopsa” nie zostawiało suchej nitki, to model i tak sprzedawał się jak świeże bułeczki, szybko zostając jednym z bestsellerów marki.

Inżynierowie i marketingowcy marki, odmładzając ten model, starali się dodać kolejne argumenty za tym, aby Juke'a jednak pokochać: auto minimalnie urosło, a pod maskę crossovera trafił nowy hybrydowy układ napędowy składający się z benzynowej jednostki o pojemności 1,6 l i mocy 94 KM oraz silnika elektrycznego o mocy 49 KM. Taki zestaw ma sprawić, że miejskim crossoverem będzie się jeździć żwawo i cicho – niczym elektrykiem, ale z możliwością szybkiego zatankowania na dowolnej stacji benzynowej. Wprawdzie nie jest to model dla rajdowców – od zera do setki auto rozpędza się w 10,1 s, a maksymalnie może mknąć z prędkością 166 km/h – to hybrydowy Juke, zwłaszcza w mieście, sprawia wrażenie dużo bardziej żwawego, niż wynikałoby to z danych technicznych. Samochód zawsze rusza bowiem w trybie elektrycznym i jedzie w nim aż do osiągnięcia prędkości 50 km/h (lub aż wyczerpie się energia zgromadzona w akumulatorze). Auto zaskakująco dobrze prowadzi się też po krętych serpentynach. To zasługa precyzyj-



nego układu kierowniczego oraz dość sztywnego zawieszenia (wadą tego rozwiązania jest to, że wszelkie nierówności mocno czuć). Apetyt na paliwo jest przeciętny. Auto podczas testu w cyklu mieszanym spalało średnio 6,4 l na 100 km. Oszczędną jazdę ułatwia funkcja e-Pedal, która sprawia, że niemal nie trzeba używać hamulca (auto samo zwalnia po zdjęciu stopy z pedału gazu, odzyskując przy okazji jak najwięcej energii). Wówczas można zejść ze spalaniem w okolice 5 l na 100 km.

Testowany samochód mierzy 421 cm długości, 160 cm wysokości i 180 cm szerokości. We wnętrzu miejsca jest sporo, chociaż wyżsi pasażerowie siedzący na tylnej kanapie będą musieli przyzwyczaić się do bliskiej relacji z podsufitką. Bardzo wygodne są stylizowane na sportowe przednie

fotele z ukrytymi w zagłówkach głośnikami marki Bose. Auto jest więc idealne dla pary z dwojgiem dzieci (lub z psem i kotem).

Wykończenie wnętrza dobrze współgra ze stylistyką nadwozia: również tu nie brakuje charakteru i krągłości. Szkoda jednak, że kabina jest bardzo przeciętnie wyciszona. Drugi minus to pojemność bagażnika, która w wersji hybrydowej wynosi jedynie 354 l (o 68 l mniej niż w przypadku Juke'a z silnikiem benzynowym), ale akumulator do hybrydy gdzieś trzeba było zmieścić.

Za Nissana Juke'a z hybrydowym napędem w wersji wyposażenia N-Connecta trzeba zapłacić co najmniej 131,8 tys. zł. Ceny wersji N-Design zaczynają się od 145,3 tys. zł, a najwyższa wersja wyposażenia (Tekna) to wydatek co najmniej 149,2 tys. zł. ©

SŁUCHAWKI SENNHEISER HD 660S2

Bardzo dobra jakość brzmienia, wyraźnie zaznaczony subbas, klasyczne wzornictwo oraz wygoda użytkowania – to największe zalety najnowszej odsłony kultowego modelu wokółusznych słuchawek dla audiofilów ze znacznikiem Sennheiser.

Wystarczy rzut oka na testowane słuchawki, aby rozpoznać charakterystyczne dla serii 600 elementy, takie jak otwarta, wokółuszna konstrukcja, zamskowe pady czy symbol marki wyróżniony w tym modelu kolorem miedzianym. Ważące 260 g słuchawki są wygodne nawet przy wielogodzinnych muzycznych sesjach, a zastosowane materiały nie pozostawiają wątpliwości, że to produkt z wyższej półki.

Najważniejsze jest jednak brzmienie. Na szczęście lepsze nie jest tu wrogiem dobrego i brzmienie modelu HD 660S2 może podobać się bardziej niż HD660S. Inżynierowie Sennheisera nie zdecydowali się na rewolucyjne zmiany, a jedynie na lekkie poprawki. Dzięki temu jakość dźwięku jest bardzo dobra. Konstruktorom udało się zachować wierność reprodukcji brzmienia – czego oczekują od firmy profesjonalści – z przymocnością odsłuchu, której tak bardzo pożądamy audiofile.

I chociaż nadal grając naturalnie, oddają intencje twórców, to

jednocześnie ich brzmienie stało się bardziej intrygujące, mocne, głębokie i dynamiczne. Sekcja basowa brzmi świetnie i wręcz buzuje energią. Na szczęście niskie tony wcale nie dominują, a jakość wokali potrafi przyprawić o dreszcze.

Trzeba jednak pamiętać, że nie jest to model, który warto podłączyć do smartfona, odpalić serwis streamingowy i wyjść na miasto. Jeśli mają do tego służyć, to szkoda pieniędzy. Testowany model to bowiem słuchawki, które najlepiej brzmią podłączone do dobrego domowego sprzętu audio. Wówczas słychać, za co się płaci.

Wady? Szkoda, że Sennheiser zdecydował się skrócić dołączane w zestawie kable – niesymetryczny jack 6,35 oraz symetryczny Pentaconn 4,4 mm – do zaledwie 1,8 m. To zdecydowanie za mało, a zakup dodatkowego dłuższego kabla wysokiej jakości to już niestety istotny wydatek. Poza tym zamiast porządnego futerału do przenoszenia słuchawek w pudełku jest tylko marny woreczek ze ściągaczem pasujący raczej do modeli za kilkadziesiąt złotych. Dla wielu użytkowników największym minusem będzie jednak wysoka cena. Za najnowszą wersję kultowego modelu trzeba zapłacić 2582 zł. ©





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Ruś to nie Moskwa

Używane dzisiaj w mowie potocznej słowa „ruscy” czy „ruskie” budzą pogardliwe lub negatywne skojarzenia. Stało się tak, gdyż za czasów PRL i w latach 90. zwykło się określać tak nie tylko sowieckich Rosjan, lecz także w ogóle ludzi pochodzących z dawnego ZSRS. Ruskimi nazywano zarówno mieszkańców Moskwy, jak i Ukraińców oraz Białorusinów przyjeżdżających do nas na handel albo do pracy na czarno. Tak samo

Rzeczpospolitą, w której skład wchodziły księstwa ruskie, nigdy niebędące pod władzą carów. Z biegiem czasu bowiem podobiane były przez Litwę, aby w końcu na mocy unii polsko-litewskiej wejść w skład Korony.

Jakie to były ziemie? Zaczniemy od Rusi Czerwonej, która przyłączona została jeszcze za czasów Kazimierza Wielkiego i w XVII w. dzieliła się na ziemie: przemyską, sanocką, lwowską, halicką i województwo bełskie.

Tworzyły one jedno województwo, którego części wchodziły nawet dziś w skład Podkarpacia. Kolejną Rusią w składzie Rzeczypospolitej była Ruś Kijowska, która zniszczona przez Tatarów utraciła pozycję najsilniejszego i najbardziej rozwiniętego księstwa ruskiego. W dawnej Polsce nie używano

cze kultury i Europy. Ciekawe, że w XVII w. pojawia się już nazwa „Ukraińcy”, np. w pamiątkach Albrychta Stanisława Radziwiłła. Oznaczała ona po prostu szlachtę – obywateli wschodnich prowincji państwa.

W skład Rzeczypospolitej wchodziła jeszcze Ruś Czarna – dziś południowa część Białorusi, kraina rozciągająca się od Nowogródka po Dniepr, Bobrujsk i Mozyr na wschodzie. W większości było to województwo nowogródzkie z południową częścią mińskiego. Na północ od niej rozciągała się Ruś Biała, której nazwa dała początek współczesnej Białorusi – tereny województw: wspomnianego mińskiego, wileńskiego, połockiego. Mieszkańcy tych ziem określali się często „Rusinami”, co oznaczało ich terytorialne pochodzenie, podobnie jak mówiono: Mazurzy, Wielkopolacy itd. Nazwa ta nie miała jednak nic wspólnego z późniejszą Rosją, którą w XVI i XVII w. określano mianem Moskwy, a jej mieszkańców „Moskalami”, „Moskwicinami”, aż do wieku XIX. Słowo to miało zresztą w sobie dużą nutę pogardy. „Moskali” już w czasach Batorego nikt nie lubił, a i oni sami, podobnie jak dzisiaj, niewiele dawali powodów do pozytywnych opinii. Sami jednak uważali siebie za „Ruś”, „Świętą Ruś” czy Carstwo Moskiewskie. Dopiero na początku XVII w. zaczęła pojawiać się nazwa „Wszzechruś”, czyli Rosja, symbolizująca imperialne zapędy Moskwy, która rościła sobie pretensję do wszystkich Rusi – Kijowskiej, Nowogródzkiej, Białej, Czarnej i Czerwonej. Jednak aż do upadku Rzeczypospolitej nigdy nad większością z nich nie miała żadnej władzy. ©



mówiono na Rosjan z Królewca albo spod Pskowa czy z Donbasu, nie rozróżniając, że dawni mieszkańcy ZSRS dzielili się już wówczas na obywateli przynajmniej teoretycznie suwerennych państw. Na fali niechęci do Rosji po ataku na Ukrainę nawet pierogi „ruskie” zmieniano na „ukraińskie”. Bez sensu, bo słowa „Ruś” i „ruski” nie mają nic wspólnego z dzisiejszą Rosją (oczywiście Moskale później je zawłaszczyli), za to znacznie więcej z dawną

jednak prawie tego określenia. Zamiast tego tereny nad Dnieprem nazywano „Kijowszczyzną”, „Kijowskim” albo „kijowskim województwem”, bo taką jednostkę terytorialną tworzyła. Było to jedno gigantyczne wręcz województwo, większe niż Mazowsze ze wszystkimi ziemiami. Tereny te, razem z dwoma innymi województwami – braćławskim i czernihowskim – określano także mianem Ukrainy, co znaczyło kraj „u kraja”, to znaczy pograni-



SIOSTRY GOTUJĄ

ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

Niezwyuczajne właściwości fasolki szparagowej

Wakacje pod gruszą to ulubiony sposób na wypoczynek wielu z nas. My spędzałyśmy tak wakacje w wsi Stojców koło Dąbrowy Tarnowskiej i do dzisiaj wspominamy ten czas jako najwspanialszy w naszym życiu. Co gotowała nam babcia? To, co akurat było. Czyli jedzenie sezonowe – wspaniała mizeria z dojrzałych ogórków i śmietany wiejskiej, młode ziemniaczki z koperkiem, zupa jarzynowa z fasolką szparagową i z czosnkiem, placki ziemniaczane, a na deser kompot z agrestu albo ciasto drożdżowe z wiśniami.

Zachęcamy, by jeść to, co świeże, młode, prosto z grodu. Dlatego proponujemy fasolkę szparagową. Tak bardzo popularna szczególnie latem i szczególnie przez nas ulubiona. W zależności od upodobań jedni z nas wolą zieloną, a inni żółtą odmianę. Obydwie jednak są bardzo zdrowe, choć nieco różnią się wartościami odżywczymi i smakowymi – fasolka żółta jest bardziej delikatna i kremowa, idealna do przygotowania zup, zielona natomiast jest bardziej wytrawna, a w smaku wyrazista. Ze względu na zielony kolor zawiera więcej kwasu foliowego oraz witaminę A, która doskonale

wpływa na wzrok. Obydwie mają witaminy z grupy B oraz A i K.

Fasolkę możemy jeść tylko po obróbce termicznej, ponieważ na surowo jest szkodliwa, zawiera fazyne – substancję o właściwościach trujących. Fasolkę można ugotować tradycyjnie w osolonej wodzie lub na parze i wówczas zachowa więcej wartości. Możemy również ją upiec razem z mięsem albo dodać do tart czy do sałatek. Najlepiej jednak smakuje polana masłem z bułką tartą i odrobiną czosnku.

Zupa jarzynowa z żółtą fasolką i czosnkiem, zabielana kwaśną śmietaną

- pęczek młodej włoszczyzny
- ćwiartka kurczaka
- 2 ząbki czosnku
- 2 duże ziemniaki
- natka pietruszki
- 1/4 kilograma żółtej fasolki szparagowej
- sól, pieprz, bulion warzywny w kostce
- śmietana kwaśna 18-procentowa

Do zimnej wody wkładamy ćwiartkę kurczaka, bulion w kostce i gotujemy ok. 30 min. Włoszczyznę obieramy, kroimy w kostkę i wrzucamy do gotującego się mięsa. Fasolkę kroimy na centymetrowe kawałki, ziemniaki w kostkę. Gotujemy do miękkości ok. 20–30 min. Na koniec dodajemy czosnek przeciśnięty przez praskę i zabielamy śmietaną. Posypujemy świeżą natką. ©©

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Szybcy i wściekli

Cały Internet, w tym prominentni publicyści, już się wypowiedział na temat wypadku w Krakowie; no cóż, dołożę swój głos. Między innymi ceniony przeze mnie Piotr Zaremba napisał, że w majestacie śmierci nie godzi się krytykować tych młodych ludzi. Otóż uważam, że nawet majestat śmierci nie może przesłonić okoliczności, w których do tego doszło. Czterech jeźdźców Apokalipsy pędziło głównymi ulicami Krakowa (ciekawe, z jaką szybkością; to tajemnica policyjna) samochodem, który miał pod maską 400 KM. Żółtym, notabene, coś za zadziwiająco zbieżność z żółtym mercedesem Algierczyka Nahila, którego niedawno zastrzelili policjanci we Francji.

Prowadził Patryk Peretti, syn nieznanej mi bliżej celebrytki, potencjalny zabójca i jako takiego należy go traktować. Na schodach, gdzie żółty samochód wypadł z drogi, zazwyczaj siedzą młodzi ludzie. Tym razem nikogo nie było, cud, że nikt nie zginął. To był szczególnie tragiczny w skutkach wypadek, ale rajdy samochodów na ulicach miast nie są niczym szczególnym ani nowym. Wytuningowane maszyny słysząc wieczorami w wielu miejscach Warszawy i innych miast, w tym także Krakowa. I, o dziwo, miejsca te lepiej znane są mieszkańcom niż policji. Ta pojawia

się czasami, najczęściej przywołana, i nakłada skromne mandaciki na posiadaczy samochodów wartych kilkaset tysięcy. Tamci mają to wliczone w koszty imprezy i śmieją się władzy w nos.

To wszystko nie dzieje się w próżni. To dzieje się w kontekście atmosfery społecznej tworzonej przez media. Podsumował to internauta Łukasz Kościuk w komentarzu, którego fragment cytuję. „W latach 90. jedyną możliwością, aby 20-latek poszalał, była instalacja gry »Need For Speed« na kompie. Samochód, jaki mógł zakupić (po odkładowaniu każdego grosza i zebraniu kasy po rodzinie), to był maluch lub stary opel o niskiej mocy. Obecnie młodych dofinansowują bogaci rodzice i nie kontrolują tego, ponieważ sami są niezbyt rozgarnięci. Kult kasy i promowanie głupoty, programy w TV, których bohaterami są kretyni, burdelmamy, sutenerzy itd. Takie kwiatki, o dziwo, w tej najmądrzejszej na świecie telewizji TVN”.

Jeszcze bardziej oburzające jest obwinianie o wypadek Bogu ducha winnego przechodnia, który przypadkowo znalazł się na drodze hamowania czterech szybkich i wściekłych. Gdyby renault kilkakrotnie nie przekroczył dozwolonej prędkości, to nic by się nie stało. ©©



FOT. ADAM STOK



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Big Pharmus operandi

Kiedy przychodzą listy do redakcji w sprawie moich felietoników, to zawsze się martwię, że coś narozrabiałem i trzeba będzie sprostować. Ale niekiedy udaje mi się te uwagi przekuć w coś nowego i teraz tak czynię. Otóż napisała do mnie pani Marzena Godlewska z uwagami dotyczącymi mego tekstu z poprzedniego tygodnia o kociej grypie. Zarzuciła mi kilka drobnotek, z którymi nie będę polemizował, gdyż nie zmieniają one zasadniczego przekazu mego tekstu. Za to zwróciła mi uwagę na pewną interesującą rzecz.

Otóż w zesłotygodniowym numerze spekulowałem, po co ta zadyma z kocią gripą, że może to panika do zarobienia na testach czy lekarstwach czy żeby pognać polskich hodowców drobiu. Pani Marzena otworzyła dodatkowy, ciekawy wątek. Chodzi o covidowy dorebek, powtórzenie modus operandi z pandemii. Otóż okazało się, że w lutym tego roku wszedł unijny przepis zabraniający weterynarzom ordynowania leków przeciwwirusowych (amantadyna, oseltamiwir, nitazoxidane). To luty. W marcu, czyli w następnym miesiącu, pojawiają się informacje, że farmacja przygotowuje szczepionkę na ptasią gripę „na wszelki wypadek”.

Powtarza się więc scenariusz covidowy. Pojawia się wirus, a jednocześnie zabrania się stosowania zatwierdzo-

nych dotychczas leków na infekcję. Jednocześnie wyskakuje szczepionka na patogen, co prawda, niedobadana jeszcze, ale można ją dopuścić szybko, poza procedurami kontrolnymi, wtedy gdy nie ma lekarstwa na wirusa. A nie ma, bo właśnie je wycofaliśmy. W związku z tym w powszechnym obiegu pojawia się preparat niezbadany co do skuteczności, a także bezpieczeństwa stosowania.

Mamy więc powtórkę z rozrywki, z tym że tylko Big Pharma się dobrze tu bawi. Jak za COVID – zakaz leczenia niewielkiej frakcji patogenu wywołuje prawdziwą pandemię i nagle jak z nieba spada szczepionka, która właśnie przypadkiem przechodziła obok z tragarzami. Wprowadza się ją w trybie przyspieszonego dopuszczenia, bez badań, tylko dlatego, że cudownym sposobem nie ma tego czym leczyć, bo działające lekarstwo właśnie skreśliłmy z listy.

Stawiam dolary przeciwko orzechom, że niedługo otrzymamy radosną wiadomość, na którą czekają kociarze: Jest! Jest szczepionka na ptasią gripę i zostaliśmy z puszkami-okruszkami uratowani! Pozostaje jedynie pytanie: Czy będą szczepić tylko koty czy ludzi? A może drób cały? I znowu ta Big Pharma – ci to wciąż wracają: wyrzuceni covidowymi drzwiami wracają oknem. Na oklep, na kocie. Jak młody Pawlak w „Samych swoich”. © ©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Pogoda dla pedofilów

W momencie, gdy Mariusz Zielke w głośnym reportażu przypomniał pedofilskie dokonania Krzysztofa S., gdy opinia publiczna znów dowiaduje się o wręcz systemowej bezkarności sprawców, Państwowa Komisja ds. Pedofilii kolejny miesiąc jest sparaliżowana brakiem szefa. Misja prof. Błażeja Kmiecika skończyła się 14 kwietnia i od tego czasu Sejm nie jest w stanie wyłonić nowej kandydatury.

Nonszalancja, z jaką władze Sejmu, ale nie tylko, lecz także wszystkie kluby odnoszą się do konieczności delegowania ekspertów do prac komisji, pokazuje prawdziwy stosunek naszych polityków do problemu pedofilii. Ignorowanie zjawiska wykorzystywania nieletnich, lekceważenie dramatu ofiar, co w konsekwencji tylko utrwała sprzyjającą „pogodę” dla krzywdzicieli, nie jest tylko przypadłością parlamentarzystów. Podobnie w „głębokim poważaniu” kwestie pedofilii mają organizacje i instytucje, do których zwracała się komisja. Chodziło o zgłaszanie przypadków lub niepokojących sytuacji, które miały miejsce w ich działalności.

Niektóre związki i organizacje sportowe, organizacje harcerskie, turystyczne i zespoły artystyczne w ogóle nie odpowiadały, inne odpowiadały z opóźnieniem (chlubnym wyjątkiem byli Skauci Europy). Większość „olała” zapytania komisji. A przecież skandaliczny

przypadek Krzysztofa S. to właśnie nadużycia, których się dopuszczał w ramach edukacyjnych działań PSJ.

Wyjątkowo beczelnie zachowała się Naczelna Izba Lekarska. Choć nie jest tajemnicą, że nadużycia popełniane przez medyków wobec pacjentów mają miejsce, to Naczelna Izba Lekarska i Rzecznik Odpowiedzialności Zawodowej NIL kompletnie zignorowali apele komisji. Kto by się przejmował pedofilią, skoro władze izb i sądy lekarskie bohatercko ścigają lekarzy, którzy mieli odwagę zakwestionować globalne metody tzw. walki z pandemią?

Do całości obrazu trudności, z którymi mierzy komisja, należy brak dostępu do dokumentów duchowieństwa, które dotyczą spraw skierowanych do Watykanu. Okazuje się, że choć dokumenty fizycznie są np. w kuriach diecezjalnych, to od momentu skierowania sprawy do watykańskiej Dykasterii Nauki Wiary papiery pozostają w wyłącznej dyspozycji Watykanu i żaden organ państwowy nie ma do nich prawa. Biorąc pod uwagę to, że nowym prefektem tej kongregacji Franciszek mianował abp. Victora Manuela Fernández, autora książki o całowaniu (pisanej tak, jak twierdzą czytelnicy i recenzenci, jakby autor miał spore doświadczenie praktyczne w tej kwestii), dokumenty dotyczące skandali seksualnych zapewne są we właściwych rękach. © ©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

CWIERKOT

Tęczowy kubraczek!

Krajem wstrząsnęła szlachetna interwencja Zbigniewa Ziobry. Stop. Młoda dziewczyna, Marika, trafiła na trzy lata do więzienia za szarpanie torby. Stop. Torba nie została wyszarpana, ale była w kolorach LGBT, więc sprawa została zakwalifikowana jako rozbój. Stop. I wtedy wkroczył Ziobro. Stop. To znaczy nie wtedy, tylko jak dziewczyna już przesiedziała rok za kratami. Stop. „Sąd z przyczyn politycznych i ideologicznych pozbawił młodą kobietę wolności” – grzmiał na konferencji prasowej. Stop. Tu się objawił, niestety, problem. Stop. To podległy ministrowi prokurator żądał dla dziewczyny kary więzienia za rzekomy rozbój. Stop. Nie wiemy, czy prokurator żądał więzienia dla dziewczyny z powodów ideologicznych LGBT, ale wiemy, że podlega Ziobrze. Stop.

Katarzyna A., ulubienica opozycji zwana „Babcią Kasią”, złała policjanta kijem. Stop. Naruszenie nietykalności cielesnej funkcjonariusza jest przez Kodeks karny traktowane surowiej niż zwykłego obywatela. Stop. W związku z tym sąd skazał „Babcię Kasię” na 500 zł grzywny i 300 zł nawiązki dla policjanta. Stop. Dodajmy, że wcześniej lekko szurnięta pani opłula policjanta. Stop. Wniosek? Jeśli chcesz popełniać przestępstwa, to gdzieś tęczowy kubraczek, w zasadzie masz gwarancję bezkarności. Stop.

W TVN pełną parą idą przygotowania do nowego show.

Stop. Gwiazdy będą występować w roli drag queen. Stop. W jury zasiądzie Andrzej Seweryn, który grał już babę. Stop. Przypomnijmy, że najbardziej znana ostatnio rola Seweryna to filmik, w którym poucza dziecko: „Tym wszystkim Trumpom, Orbánom, Kaczyńskim trzeba przyp...dolić”. Stop. Polska jest cudownym krajem, tu się nie można skompromitować. Stop.

Interia opublikowała rozmowę z siostrą Różą z zakonu elżbietanek w Jerozolimie. Stop. Plucie, wyzwiska i brutalne ataki na zakon przez ortodoksyjnych Żydów to codzienność – mówi siostra. Być może wkrótce dowiemy się, że każdy, kto opisuje łajdactwa Żydów z Jerozolimy, jest obrzydliwym antysemitą. Stop.

UEFA rozważa przyznawanie „dzikich kart” pozwalających na grę w Lidze Mistrzów drużynom z Arabii Saudyjskiej. Stop. Spotkanie sędziego piłkarskiego ze Sławomirem Mentzenem to obrzydlistwo, ale wartości Arabii Saudyjskiej są dla UEFA OK. Stop. Kurtyzana to droższa wersja prostytutki, niemniej wartości te same: pieniądze. Stop.

W ostatnim odcinku „Resetu” ujawniono nowe dokumenty. Stop. „Będę wielce zobowiązany za pańskie życzliwe poparcie dla kandydatury pana Włodzimierza Cimoszewicza na stanowisko sekretarza generalnego Rady Europy” – prosił Tusk Putina, nie żartuję. Ciekawe, jak bardzo byłby zobowiązany? Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

W szponach terroru

Dokładnie dwa lata temu, pod koniec upalnego lipca roku 2021, cała Polska z partym tchem wsłuchiwała się w słowa ministra Adama Nierdzielskiego. „Doszło do aktu terroru, który jest skierowany nie tylko do tych osób, które tu pracują, ale aktu terroru wobec państwa” – mówił na tle podpalonego w Zamościu kontenera, służącego za tymczasowy punkt szczepień. „Mielśmy do czynienia z kampanią fake newsów z kampanią oszczerstw, kłamstw, które po prostu były puszczane w eter. Ich dementowanie, które w zasadzie jest niemożliwe przy takim natłoku informacji, prowadziło absolutnie nie do podjęcia dyskusji, tylko prowadziło do coraz większych oszczerstw, coraz większej eskalacji, również agresji w sieci [...]”. Te osoby, które również inspirowały tego sprawcę, na pewno mają świadomość, że nie jest to tylko i wyłącznie atak na ten kontener, który stoi za mną, ale to jest atak na państwo polskie. W zasadzie nie ma innego słowa, nie ma innego określenia, jak właśnie powiedzenie, że mamy do czynienia z aktem terroru” – kontynuował nieprzebiegający w słowach minister. I dodawał: „Zero tolerancji dla takich zachowań. Z całą surowością, z całą konsekwencją będziemy ścigali tych bandytów, bo tak to trzeba nazwać”.

Nic dziwnego, że do poszukiwania „terrorystów” i „bandytów” dziarsko zabrała

się policja. „Poleciłem Komendantowi Wojewódzkiemu Policji w Lublinie powołanie specjalnej grupy operacyjno-dochodzeniowej, która już zajmuje się tą sprawą” – powiedział gen. insp. Jarosław Szymczyk. Minister Nierdzielski ufundował nawet nagrodę w wysokości 10 tys. zł dla osoby gotowej zidentyfikować siewców terroru.

Parę miesięcy temu pan minister zaatakował publicznie producentów szczepionek. Oskarżył firmę Pfizer; że „planuje dostarczyć do Europy setki milionów szczepionek, choć jest to całkowicie bezcelowe z punktu widzenia zdrowia publicznego”, i podkreślił, że „konieczna jest gruntowna zmiana kontraktów szczepionkowych”. Odkrył też, że „akceptacja (zakupu) tych szczepionek powoduje ogromne obciążenie finansowe nawet dla władz rozwiniętych krajów europejskich, utrudniając zabezpieczenie pozostałych potrzeb zdrowotnych”.

Jeszcze dwa lata temu głoszenie podobnych poglądów nazywane było przez ministra Nierdzielskiego „inspirowaniem aktów terroru” i „atakami na państwo polskie”. Czy ufundowana przez niego nagroda nie pozostaje przypadkiem nieodebrana? Gdyby zadenuncjował sam siebie, mógłby przeznaczyć odebraną nagrodę na kampanię wyborczą. Antyszczepionkowców nikt już nie ściga, a za 10 tys. zł można pewnie wykupić w Pile jakiś billboard. ©©



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Gdzie te kobiety, prawdziwe takie?

W roku 1983 urodziło się w Polsce 723 tys. dzieci, a w 2022 – 305 tys. Dodajmy, że w minionym roku zmarło w naszym kraju blisko 450 tys. osób. Rok wcześniej ten bilans był jeszcze gorszy: 330 tys. urodzin, 520 tys. zgonów. W ciągu dwóch lat „skurczyliśmy się” o 335 tys. ludzi, czyli o mniej więcej tyle, ilu mieszkańców liczy Bydgoszcz (ósmie co do wielkości miasto w Polsce). Były w ostatnich latach różne dodatkowe czynniki, które wpływały na sytuację demograficzną. W 2021 r. w liczbie zgonów „pomógł” tzw. COVID. W roku 2017 urodziło się 402 tys. dzieci i tyleż osób zmarło – bilans wyszedł „na zero”. Wtedy pomogła może – na krótko – dodana przez państwo zachęta: tzw. 500+. Co byłoby w następnych latach, gdyby tego programu nie było? Nie byłoby mniej źle, na pewno. Ale jest źle i będzie gorzej. Na gwałtowny spadek liczby urodzin wpływa bowiem błyskawicznie kurcząca się liczba kobiet w wieku rozrodczym. To zaś jest pokłosiem niżu demograficznego, dramatycznie pogłębiającego się od połowy lat 90. W roku 2013 było np. ok. 360 tys. 30-latek, teraz jest ich niewiele ponad 230 tys. Za 10 lat będzie ich 170 tys. Jest i będzie coraz mniej „potencjalnych matek”. Tym ważniejsza staje się kwestia, czy młode kobiety będą w ogóle chciały mieć dzieci.

Pytanie to ma sens egzystencjalny (być albo nie być) i cywilizacyjny (po co być?). Zastanowiłem się nad nim z nowej dla siebie perspektywy, kiedy wysłuchałem sprawozdania z badania wykonanego przez zespół z wyższej uczelni w Radomiu,

a dotyczącego ambicji młodych mieszkańców średniej wielkości miasta w Polsce. Badaniem objęta była grupa uczniów klas wyższych w szkołach średnich i studentów. Powinienem tu dodać odpowiednie rodzajniki, nie tylko męski i żeński zresztą. Okazało się bowiem, że 6 proc. ankietowanych w szkołach średnich na pytanie o płeć nie wybrało ani męskiej, ani żeńskiej (wśród studentów nie było – jeszcze? – tego zjawiska). Badanie nie dotyczyło jednak kwestii „genderowych”, tylko pomysłów na życie młodych ludzi. Wszystkie dziewczęta chcą studiować, wszystkie chcą się „samorealizować” i w zdecydowanej większości chcą wyjechać ze swojego miasta „wyżej” w ramach owej „samorealizacji” – do stolicy. Mniej albo wcale nie myślą o założeniu rodziny. Chłopcy są jakby mniej „ambitni”. Mniej niż 40 proc. z licealistów myśli o samych studiach, większość o łączeniu studiów z pracą lub o samej pracy. Młodzi panowie, znacznie częściej niż panie, chcą pozostać w swoim mieście, widzą w nim jakieś perspektywy. W uproszczeniu: panny chcą wyjechać ze swojego rodzinnego miasta, traktując je jako prowincję, z której trzeba uciec do lepszego świata (takiego jak np. w „Wysokich Obcasach”?). Chłopaki bardziej trzymają się swojego miejsca na ziemi. Przynajmniej większość z nich. Tak to jakoś wychodzi z radomskiego badania.

Dziewczyny wyjadą więc do „wielkiego świata” (Krakowa, Warszawy, Poznania, zanim część z nich ruszy wyżej jeszcze, do Londynu, Brukseli czy Barcelony...). W wielkich polskich miastach naturalnie

więcej będzie w tej sytuacji panien niż kawalerów. Na tzw. prowincji odwrotnie: zostaną chłopcy bez pary. Chyba że zaczną łączyć się w pary między sobą. Ale dzieci, tak czy inaczej, z tego nie będzie.

To jest właśnie problem cywilizacyjny. Dobrze streścił go kiedyś mój ulubiony serial kryminalny, „ Fargo”. W serii drugiej reprezentuje ów problem „trenerka emancypacji”, namawiająca młodą żonę rzeźnika z prowincjonalnego miasteczka, by ta wyzwoliła się z więzów małżeńskiej niewoli, krępującej jej możliwości. Kobieta (grana przez Kirsten Dunst) powinna się „samorealizować”, tak jak podpowiadają jej to setki magazynów temu poświęconych, kursów, które mają ją nauczyć, jak owa „samorealizacja” ma wyglądać. Przede wszystkim: żadnych dzieci. Liczę się tylko JA, zgodna z wyobrażeniami, które niewolniczo przyjmuję za „gościniami” emancypacyjnych talk-show. Nie kończy się to dobrze. Jak, nie będę streszczał. Zacytuje tylko ostatnie słowa wstrząśniętej konsekwencjami swojej woli „samorealizacji” młodej kobiety: „Ja tylko chciałam być kimś”. Aresztujący ją policjant stawia kropkę nad i: „Cóż, teraz jesteś kimś”.

Jest jednak inna bohaterka tej opowieści, żona owego dobrego policjanta. Jest chora na raka, ale walczy do końca o rodzinę, o dobro córeczki. Widzi w tym sens. Nie narzeka i nie ucieka. Która z tych dwóch postaw przeważa? Jak odzyskać kobiety w świecie, który chce je „wyzwolić” od rodziny, od nich samych? Jeśli nie znajdziemy odpowiedzi na to pytanie, to nie będzie nas. Będzie las? Tak pocieszają ekolodzy... ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Czym się różni więzień polityczny od zwykłego? Sąd skazuje za poglądy, a reszta to pretekst. Formalnie wyrok może być za cokolwiek. Za komuny rozrzucanie ulotek antyrządowych mogło się skończyć wyrokiem za „zaśmianie miasta”.

Czy mamy w Polsce więźniów politycznych? Jednego mamy na pewno, od kilku dni ma przerwę w wykonywaniu wyroku, ale formalnie nadal jest skazańcem. Przyznał to publicznie minister Ziobro. Czyli pod jego nosem i za jego rządów Polska dorobiła się co najmniej jednego więźnia politycznego.

A czy w USA są więźniowie polityczni? Są i przynajmniej Departament Sprawiedliwości. Setki osób siedzą bez wyroku i bez wyznaczonego terminu rozprawy, ba... bez postawionych zarzutów. Siedzą z powodu tego, że kilka lat temu „wdarli się na Kapitol”. Nikt im tego nie udowodnił, nikt nie postawił zarzutów, ale siedzą. Od kilku lat bez wyroków! Zwolennicy Trumpa, którzy przyszliznęli na jego wiec. Tam nawet nie było porządknej burdy, ochrona budynku otworzyła drzwi, ludzie weszli i spacerowali. Wznosili patriotyczne okrzyki.

Skoro więźniowie polityczni u Łukaszenki są zjawiskiem oburającym, to jak powinniśmy odnieść się do kwestii więźniów politycznych w Polsce i USA? Łukaszenka wsadza za „działalność antypaństwową”. Na przykład za to, że ktoś należy do Związku Polaków na Białorusi. A za co wsadza Polska? Podobnie...



Dwudziestoletnią dziewczynę skazano na trzy lata więzienia za szarpanie tęczowej torebki. (Odsiedziała rok, teraz ma przerwę w odbywaniu kary). Torebka warta była 15 zł. Szarpanina miała miejsce na wiecu LGBT. Szarpanina nie dotyczyła torebki jako takiej, nie była próbą rabunku, lecz był to protest lub scysja polityczna albo uliczna burda. I za tego typu rzeczy prawo nie przewiduje trzech lat w kryminale. Mandat, jakiś mały wyrok w zawiasach, ale nie odsiadka.

Sędzia (płci żeńskiej) uznała, że okolicznością uzasadniającą drażniący wyrok jest to, że „oskarżona udzielała się w Młodzieży Wszechpolskiej”.

Konstytucja gwarantuje swobodę zrzeszania się, Młodzież Wszechpolska jest organizacją legalną, a zatem członkostwo w tej organizacji nie powinno być okolicznością obciążającą, ba – nie powinno być w ogóle brane pod uwagę. Temida ma być ślepa na takie okoliczności. Bo w jakim kierunku zmierza taka logika sędziowska? Urzędnik wziął łapówkę i jeżeli jest z Konfederacji, to należy mu się większa kara, niż gdyby był z SLD? Czemu? Bo lewica nie chodzi do kościoła i zawsze kradnie, a Konfederacja chodzi, czyli nie powinna nigdy kraść?

Minister Ziobro uaktywnił się w sprawie wyroku za

szarpanie torebki, ale zrobił to dopiero teraz, gdy mleko już rozlane – skazana siedziała w pierdlu rok.

Dla porównania: aktywiści aborcyjni za zdewastowanie ciężarówki grupy pro-life dostali prace społeczne.

Jedną z cech dyktatury jest to, że władza jest nieusuwalna. I w sądownictwie polskim tak właśnie jest – sędziowie nie odpowiadają przed narodem. Sędzię od tęczowej torebki może usunąć ze stołka tylko inny sędzia, a powinien to robić naród w wyborach lokalnych. Powinniśmy sami wybierać swoich sędziów. I gdyby któryś miał rękę zbyt twardą (i wsadził na trzy lata za szarpaninę), to WON. Lub gdyby miał rękę zbyt miękką i za zdemolowanie samochodu wyznaczył prace społeczne, to też WON. A oceniającym twardość i miękkość jest naród, a nie kolega z palestry.

A w ogóle to czym oni się zajmują? Czy to jest sprawa dla sądu? Gdyby coś takiego trafiło do porządnego sądu grodzkiego, gdzie sędzia byłby wybrany w lokalnych wyborach, to powinien nawrzeszczyć na obie strony, przyfałsić grzywnę za zawracanie Wysokiemu Sądowi tyłka i wywalić za drzwi.

– Panie się szarpały na wiecu politycznym?! Którejś się coś stało? Torebka się

rozerwała? Obie Panie pełnoletnie? Obie poszły na wiec nieprzymuszone? Pokłóciły się o LGBT? Od tego właśnie są wiece polityczne! Woni mi stąd, bo ja tu mam sprawy POWAŻNE, a nie szmaciana torba za 15 zł.

Zjawisko LGBT dawno przekroczyło granice przyzwoitości i pokojowego współistnienia. Normalni ludzie też mają prawa! Tak – istnieją w przyrodzie pewne zjawiska, ale to nie oznacza, że mamy je akceptować tylko dlatego, że istnieją. Jest jeszcze rozum, który ocenia, czy dane zjawisko warto akceptować czy może należy zwalczać lub unikać, lub cokolwiek poza akceptacją. Rak istnieje w naturze, pleśń istnieje i borelioza też. Ale zwalczamy je, unikamy, leczymy. Jeżeli ktoś chciałby tolerować naturalny smród spod pachy, to jego sprawa, ale ja nie muszę.

Państwo się szokują tym językiem i porównaniami? A ja... ja już nie mam czasu na gładkie słówka, bo stary jestem. I też mam swoje prawa. Ludzie w moim wieku BRZYDZĄ SIĘ zjawiskami tęczowymi.

I grzecznie przyjmuję inwektywę „homofob”. To słowo ma być obraźliwe, ale oznacza prawidłowy stosunek do wynaturzeń. Oznacza odruchowy lęk, niechęć, niesmak, sprzeciw. A co, nie wolno mi się brzydzić? Przecież moje obrzydzenie nie zniknie nawet, gdy zostanie prawnie zakazane w Eurozonie.

Słyszeli państwo o tym merze we Francji, który zmęczony ciągłym nagabywaniem zezwolił wreszcie na pokojową paradę miłości, ale wyznaczył im trasę w dzielnicy muzulmańskiej? Geniusz. ©

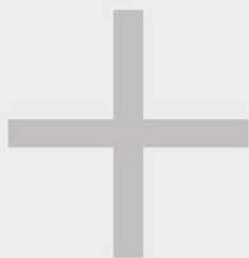
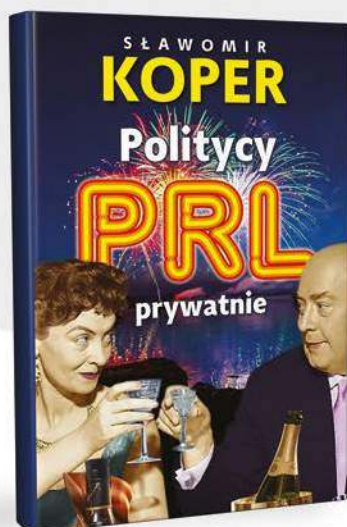
FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOWSKI

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„POLITYCY PRL PRYWATNIE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~600~~ Zł

233,00 Zł

OSZCZĘDNOŚĆ 375 Zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 49ff0fe1c5



ROK DO IGRZYSK! CZEKAMY NA OLIMPIJSKIE EMOCJE! #TEAMPOLSKA



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Główny Partner Medyczny

